Grodzki – opowieść o zwykłym łapówkarzu

Marszałek Czarzasty i ludzie od mokrej roboty. Bardzo mroczna historia

Bądź czujny! Poradnik, jak się bronić przed ruską dywersją

GAZETAPOLSKA.PL

Strefa Wolnego Słowa

GAZETA POLSKA

#TYGODNIK NIEPODLEGŁEGO POLAKA #W KAŻDĄ ŚRODĘ W TWOIM KIOSKU

BEZRADNOŚĆ WŁADZY
TERRORYŚCI NA TORACH

CENA 10.90 PLN (w tym 8% VAT) www.gazetapolska.pl indeks 320919 #48 (1682) 26/11/2025

Numer w sprzedaży do 02.12.2025

ISSN 1230-4581

OKŁADKA: FAFIK

Wspieraj Media Strefy Wolnego Słowa

Dla wolnej i niezależnej Polski!

GAZETA POLSKA | Gazeta Polska codziennie | niezależna.pl | REPUBLIKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO | radio REPUBLIKA

REPUBLIKA

Numer konta: **90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz TV Republika**

Konto do wpłat zagranicznych: **PL 90 1240 6003 1111 0010 6960 7476**
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Telewizja Republika S.A. Plac Bankowy 2, 00-095 Warszawa

SKANUJ KOD

FUNDACJA NIEZALEŻNE MEDIA

Numer konta: **62 1240 1053 1111 0010 5517 7864**
Tytuł przelewu: **Darowizna na rzecz Fundacji Niezależne Media**

Konto do wpłat zagranicznych: PL 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
SWIFT/BIC: PKOPPLPW

Adres: Fundacja Niezależne Media ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FUNDACJA REPUBLIKA

Numer konta: **23 1090 1883 0000 0001 5859 5543**
Tytuł przelewu: **Darowizna na wolne media**

Adres: Fundacja Republika ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

FELIETON { WRÓG LUDU }

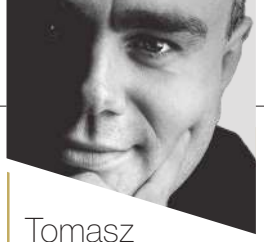

Tomasz
Sakiewicz

UWAGA NA ROSJĘ – TAM COŚ MOŻE BYĆ

Gdyby ktoś nakręcił czarną komedię, w której dwóch ruskich szpiegów wysadza tory, a służby odpowiedzialne za bezpieczeństwo państwa nie zatrzymują ruchu pociągów, bo „jest ciemno", to pewnie byśmy uznali, że to taniocha dla przygłupów, żeby się pośmiać przy piwie po tygodniu pracy. Niestety, nie jest to tania komedia, szyny wyleciały w powietrze, na szczęście jeden z ładunków nie eksplodował i zamiast wielkiej dziury była trochę mniejsza. Po wysadzonych torach, według rozkładu jazdy, przejechało przynajmniej osiem pociągów. Ile dokładnie? Nikt nie wie, włącznie z szefem MSWiA, bo przecież oprócz powszechnie dostępnego rozkładu jazdy, wysyłano pociągi towarowe, a być może i specjalne, na przykład z amunicją. W końcu ten kierunek obsługuje dostawy sprzętu wojskowego na wojnę na Ukrainie. Jak wreszcie wykryto akt dywersji? Otóż kolejarze jadący po rozwalonym torze zorientowali się, że coś jest nie tak. Jeden zaczął ostrzegać drugiego, że: „tam coś może być". W dodatku zaczęło świtać. Wreszcie, jadący wolno pociąg zatrzymał się na dziurze, przy której był nie tylko kabel od odpalonej bomby, lecz także – jeżeli dobrze rozumiem komunikaty władzy – jeszcze nieodpalony ładunek. Ewakuowano ludzi i ściągnięto ponownie policję i służby. Ponownie, bo okazuje się, że dziewięć godzin wcześniej policja została poinformowana o potężnym wybuchu, ale nic nie znalazła, bo, jak wspomniałem, „było ciemno…". Okazuje się, że w XXI wieku na linii kolejowej obsługującej dostawy na front jedynym systemem monitorowania jest wzrok motorniczego. Oczywiście tylko w dzień.

Terroryści, notowani wcześniej jako osoby zamieszane w akty sabotażu, spokojnie i legalnie wjechali z Białorusi do Polski, a potem wyjechali, zanim ktokolwiek zauważył, że właśnie wysadzili tory. Ale to nie koniec tej epopei. Kilkanaście godzin później na tej samej linii, 20 kilometrów dalej, zostały zatrzymane pociągi, które też ktoś próbował wykoleić. Czy to byli ci sami sabotażyści, czy jacyś inni, tak do końca nie wiadomo. Nie wiadomo też, dlaczego po wykryciu eksplozji nikt nie sprawdził całej linii. Równie dobrze ładunki mogły być rozmieszczone co kilometr. Zresztą może tam dalej są, tylko nikt tego nie weryfikuje. Skąd mamy wiedzieć. Wysłano wojsko, więc teraz nikt już nie sprawdzi. Wścibskich odgonią.

Służby nie mają czasu na takie bzdety jak podpalenia, eksplozje na torach czy wlatujące do Polski drony. Ważne, gdzie i kiedy Ziobro publicznie rozmawia – na takie wywiady jest kontrwywiad. Niezwykle istotne jest też, jak dopaść Republikę. Tu rzucili wszystko, co mają. A co z Moskwą i Putinem? Założę się, że nawet przy planowaniu zasadniczych działań państwa sam premier czasem wspomni jak ten kolejarz: „Uwaga na Rosję, tam coś może być…".

Żeby nie było, że nie mówił... **GP**

Rafał
Zawistowski

W numerze

TEMAT NUMERU

6 Kapitulacja Tuska przed rosyjską dywersją
Grzegorz Wierzchołowski

10 Nowy front wojny i agentura proxy
Piotr Grochmalski

14 „Żelazna piątka Tuska", czyli festiwal hipokryzji
Wojciech Mucha

KRAJ

24 Portu nie będzie. Będzie park
Jacek Liziniewicz

26 Schronów jeszcze długo nie będzie
Hubert Kowalski

28 Jak rosyjskie służby zdobywają tajemnice polskich przedsiębiorstw
Piotr Nisztor

PUBLICYSTYKA

38 Polska – poligon Berlina i Moskwy
Dawid Wildstein

40 Zakazana oprawa. Reprezentacja potrzebuje kibiców, ale nie chce ich rząd
Grzegorz Wszołek

46 Polska lumpenliberałów, czyli Tusk z popcornem w stróżówce z dykty
Krzysztof Wołodźko

50 Kopiści sowieckich wzorców
Jakub Maciejewski

52 Rosja i kamienie na chińskiej planszy
Mateusz Matyszkowicz

ŚWIAT

58 Interwencja USA w Nigerii?
Antoni Rybczyński

GOSPODARKA

62 Walki o tańszy prąd ciąg dalszy
Maciej Pawlak

HISTORIA

72 Tańcząc z morową dziewicą
Łukasz Czarnecki

ŚRODOWISKO

78 Warszawa już nie poradzi sobie z dzikami
Jacek Liziniewicz

Marszałek Czarzasty i ludzie od mokrej roboty. Mroczna historia z Ordynackiej
Piotr Lisiewicz

Stałe

1 Tomasz Sakiewicz
4 ZYZIU NA KONIU HYZIU
21 Witold Gadowski
32 OBRONNOŚĆ
35 Jacek Liziniewicz
35 Krzysztof Karnkowski
36 W INTERNETACH
43 ks. Jarosław Wąsowicz SDB
44 Tadeusz M. Płużański
44 Józef Wieczorek
45 Marcin Wolski
45 Tomasz Łysiak
49 Dawid Wildstein
61 ROSJA ABSURDEM STOI
65 WIEŚCI Z UE
66 KLUBY „GAZETY POLSKIEJ"
82 PODRÓŻE
86 KULINARIA

87 NAUKA
89 Katarzyna Gójska

Historia o zwykłym łapówkarzu
Tomasz Duklanowski

Trump w środku huraganu Epstein
Maciej Kożuszek

Twarz romantyka nad umierającym księciem
Tomasz Łysiak

InPost | GAZETA POLSKA

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!
prenumerata.swsmedia.pl

Piotr
Lisiewicz

ZYZIU NA KONIU HYZIU

Sejm wybrał na marszałka Włodzimierza Czarzastego, swoje imię zawdzięczającego Leninowi, w 100. rocznicę śmierci Stefana Żeromskiego. Co pisał Żeromski o Czarzastym i jego politycznym środowisku? Dużo i ciekawie, na przykład tak: „Drodzy Moskale! Przyjaciele Moskale, opiekunowie Moskale, bracia Moskale! – Bodaj was syfilis jadł, a cholera zamykała powieki, bodaj każde dziecko wasze rodziło się bez mózgu, bodaj wasze żony szczenięta rodziły". Jak pisarz reagował na język rosyjski, ten, w którym powstawały liczne literackie arcydzieła? „W zetknięciu z Moskalami nabrałem takiej nadwrażliwości, że trzęsę się, usłyszawszy ten psi język". Jak patrzył na tych, którzy nie chcieli powstań, a tylko pracy organicznej? „W jarzmie się tylko zdycha. Przyprawcie pracy organicznej skrzydła, którymi niech leci do niepodległości – wtedy wam uwierzę". No i jeszcze o tych, którzy wierzyli w komunizm, pisał: „Nie będziemy u Moskali szukać odbudowania Polski… Bawcie się, dzieci, marzcie o niedoli robotników całego świata, łączcie się z Moskalami i moskalcie się sami. Nie będziemy was ścigać nawet uśmiechem wzgardy". To takie przypomnienie, jakie podejście do Rosji powinien mieć polski patriota, dla tych wszystkich, których już antyrosyjskość nie kręci i bredzą o ukrainizacji oraz tym, że to Ukraina wysadziła u nas tory, by wciągnąć Polskę do wojny.

„Marszałkowskie weto" Czarzastego jest w tym samym stopniu zgodne z prawem, co „ludowa sprawiedliwość", „demokracja socjalistyczna", „dyktatura proletariatu" czy współczesne „prawo, tak jak my je rozumiemy". Bolszewik Czarzasty jako twarz obecnej władzy przy Tusku odnajdzie się świetnie, pasują do siebie jak ruskie ze szkopami. Poróżnić ich może tylko sytuacja, w której Czarzasty będzie demonstrował, że jest jeszcze bardziej antypisowski od Tuska, starając się przejąć najbardziej sfanatyzowany, antypisowski elektorat. A to już w pierwszych dniach zaczęło się dziać. Wtedy Tusk może nawet przypomnieć sobie, że jest antykomunistą, a Czarzasty to prawie najgorszy bolszewik, oczywiście zaraz po pisowcach.

„Marszałkowskie weto" Czarzastego jest tym, co „ludowa sprawiedliwość", „demokracja socjalistyczna", „dyktatura proletariatu" czy „prawo, tak jak my je rozumiemy".

„Bracia Moskale! Bodaj was syfilis jadł, a cholera zamykała powieki, bodaj każde dziecko wasze rodziło się bez mózgu, bodaj wasze żony szczenięta rodziły"
Stefan Żeromski, „Dzienniki"

Á propos bolszewików. Jan Dziadul z tygodnika „Polityka” napisał o wniosku prezydenta Karola Nawrockiego o delegalizację Komunistycznej Partii Polski: „KPP nie udało się zlikwidować za rządów PiS, bo wniosek Ziobry przeleżał w trybunalskich szafach… prawie pięć lat. Pierwszą rozprawę w sprawie delegalizacji wyznaczono na październik 2025! To szmat czasu od utraty władzy przez Zjednoczoną Prawicę. W związku z tym, że nie stawił się wnioskodawca (prokurator generalny), sprawa została odroczona bezterminowo. Waldemar Żurek, nowy minister sprawiedliwości i prokurator generalny, został zawiadomiony o posiedzeniu TK, ale odpowiedział, że nie weźmie w nim udziału – choć nie wycofał wniosku poprzednika”. Żurek nie chciał komunistów delegalizować, bo ma w koalicji Czarzastego, ale nie wycofał wniosku, by nie musiał wysłuchiwać od internautów, że jest bolszewikiem, w czym jest skądinąd sporo racji. Ale mnie dziwi tu co innego – postawa redaktora Dziadula, który z jednej strony skądś zna nazwiska liderów współczesnej KPP (Państwo też znają?), a z drugiej pisze o sprawie bez emocji. Tak chyba nie wypada przedstawicielowi dawnego organu KC PZPR z siedzibą w Pałacu Kultury!

FOT. WIKIPEDIA

Media atakowały Karola Nawrockiego za to, że kibicowskie ustawki, w których brał udział, nazwał rodzajem „szlachetnej, męskiej walki wręcz”. Bo rywalizują w nich ci, którzy mają na taką walkę ochotę, trenują i chcą się sprawdzić. Jak piszę dzisiaj, komunistyczna organizacja studencka SZSP, której wiceprzewodniczącym był marszałek Włodzimierz Czarzasty, ma zgoła inne tradycje. Zajmowała się biciem opozycyjnych inteligentów z Uniwersytetu Latającego. Biła niewinnych ludzi, którzy bynajmniej nie życzyli sobie takiego starcia. Mając zapewnioną bezkarność przez milicję i SB. Jeden z głównych organizatorów tych bojówek jest dziś wśród bliskich współpracowników marszałka Czarzastego. I nawet fakt, że bojówkarze ci wybili szybę w drzwiach klatki schodowej Adamem Michnikiem, nie spowoduje burzy wokół tej sprawy.

Dominika Długosz z „Newsweeka” po tym, jak prezydent Karol Nawrocki wyświetlił na Pałacu Prezydenckim zakazaną przez Kierwińskiego na meczu reprezentacji oprawę „Do boju, Polsko”, dowiedziała się, że przygotowali ją ultrasi ŁKS-u. Natychmiast wygooglała, jak można podejrzewać, słowa „kibole”, „ŁKS” i „przestępcy”, no i natrafiwszy na artykuły w stylu „GW”, przypisujące bycie „kibolami” dowolnym przestępcom, tryumfalnie ogłosiła, że takich to ultrasów wsparł prezydent. Na co cały świat kibicowski wybuchnął śmiechem. Bo to typowy błąd u dziennikarzy, którzy nie mają pojęcia, o czym piszą. Słowo „ultrasi” kojarzy im się z czymś radykalnym i groźnym. W rzeczywistości ultrasi to stadionowi artyści, którzy malują oprawy. I nie należy mylić ich z chuliganami, którzy na przykład walczą w ustawkach.

Coś na poprawę humoru, czyli reportaż „Przystanek Czarzasty” na Wirtualnej Polsce sprzed 20 lat, z 10 sierpnia 2005 roku: „Grozili śmiercią panu Czarzastemu. Jeden biegał z szablą po lokalu i odstraszał mi klientów – właścicielka tawerny koło Węgorzewa na Mazurach składa policjantom doniesienie na członków Akcji Alternatywnej Naszość. Pensjonat Chata u pirata oferuje noclegi… Gospodarz chaty nie nosi czarnej przepaski i nazywa się Włodzimierz Czarzasty… »Ordynacka – łódź piracka«, »Kup mi Mamo klocki Lego, zrobię sobie Czarzastego« – takie okrzyki słyszą w lipcowe południe zdziwieni wczasowicze. Na pomost Chaty u pirata wdzierają się członkowie Akcji Alternatywnej Naszość. Jeden wymachuje szablą z XVII wieku, drugi równie zabytkową maczetą… Półnadzy, na twarzach mają czarne opaski, kolorowe chusty, w rękach butelki z alkoholem. Nie tylko dziewczyny noszą kolorowe koraliki. Piraci rozpoczynają pierwszą w historii okupację... pomostu na jeziorze. W Chacie u pirata wybucha popłoch. Dwie kobiety zarządzające pensjonatem szybko zatrzaskują bramę i zawiadamiają policję… – Dowiedziałem się, że w jednej z pobliskich knajp połamano krzesła, stoły. U mnie nic się nie stało – tak relacjonuje zdarzenia na łamach Węgorzewskiego Tygodnia sam Czarzasty”. **GP**

Mirosław **Andrzejewski**

{ RODZINA WACIAKÓW }

Grzegorz
Wierzchołowski
RED. NACZELNY NIEZALEZNA.PL
albicla.com/GrzegorzWierzcholowski

KAPITULACJA TUSKA PRZED ROSYJSKĄ DYWERSJĄ

FOT. PAP/WOJTEK JARGIŁO

TEKTUROWE SŁUŻBY KOALICJI 13 GRUDNIA

Polską wstrząsnęła seria bezprecedensowych aktów dywersji na kluczowej linii kolejowej Warszawa–Lublin. Wysadzone tory i zamocowana na szynach obejma stalowa omal nie doprowadziły do katastrofy pociągu. Przerażenie budzić mogą nie tylko same ataki, lecz także reakcja rządu Donalda Tuska oraz podległych mu służb. Informacyjny chaos, próby zbagatelizowania zagrożenia, a wreszcie szokująca bezradność w obliczu faktu, że sprawcy – prorosyjscy dywersanci – swobodnie wjechali, wykonali zadanie i uciekli z Polski, malują obraz państwa pozbawionego zdolności do obrony zarówno swoich obywateli, jak i strategicznej infrastruktury.

Wydarzenia z weekendu 15–16 listopada – choć pierwotnie próbowano przedstawiać je jako niegroźny incydent lub młodzieżowy wybryk – okazały się elementem skoordynowanej operacji wymierzonej w podstawy polskiego bezpieczeństwa, i to o charakterze stricte terrorystycznym. Premier Donald Tusk, dopiero po ponad dobie medialnej presji (w poniedziałek 17 listopada rano), przyznał, że „niestety potwierdziły się najgorsze przypuszczenia. Na trasie Warszawa–Lublin (wieś Mika) doszło do aktu dywersji".

Tyle że to spóźnione zmierzenie się szefa rządu z faktami nie jest w stanie „przykryć" serii zaniechań, które do tej kompromitacji doprowadziły. Lider opozycji Jarosław Kaczyński – odnosząc się do stwierdzeń Tuska – wskazał, że „jakakolwiek szansa zatrzymania tych, którzy uciekli po przeprowadzeniu operacji z Polski, została zmarnowana". Trudno się z tym nie zgodzić: opieszałość służb i początkowe lekceważenie sygnałów o wybuchu stworzyły dywersantom komfortowe warunki do ucieczki.

Jak TV Republika przełamała zmowę milczenia

W niedzielę 16 listopada 2025 roku, wczesnym rankiem, na linii kolejowej numer 7, łączącej Warszawę z Dorohuskiem, być może tylko dzięki refleksowi maszynisty pociągu osobowego Kolei Mazowieckich relacji Warszawa Zachodnia–Dęblin udało się uniknąć tragedii. W rejonie miejscowości Życzyn, niedaleko stacji PKP Mika w powiecie garwolińskim, zauważył on w ostatniej chwili wyrwę w torowisku o długości około jednego metra. Na miejsce natychmiast skierowano służby, które ewakuowały podróżnych i załogę pociągu. Już wstępne oględziny, jak podała mazowiecka policja, wykazały uszkodzenie fragmentu torowiska (dwóch szyn).

Ale to, co dla większości mediów było początkowo jedynie informacją o „nieprawidłowościach w infrastrukturze", zaalarmowało niektórych przedstawicieli lokalnych władz oraz dziennikarzy TV Republika. To właśnie ta stacja jako pierwsza poinformowała, że sprawa ma drugie, znacznie groźniejsze dno. Jak wynikało z jej doniesień, już w sobotę 15 listopada wieczorem, po godz. 21.00, policja otrzymała zgłoszenie o głośnej eksplozji w tej samej okolicy. Funkcjonariusze ograniczyli się, niestety, tylko do przyjazdu na miejsce zgłoszenia (choć wybuch słyszeli świadkowie, a eksplozja – jak się potem okazało – została nagrana przez monitoring!). Dziś już wiemy, że tylko niewiarygodne szczęście ocaliło pasażerów pociągów przejeżdżających tymi torami w sobotni wieczór. Na szynach zamontowano bowiem ładunek wybuchowy, który eksplodował o godz. 20.58. Donald Tusk informował potem, że chodziło o „ładunek wybuchowy typu wojskowego C4", co oznacza, że był to prawdopodobnie materiał plastyczny o dużej sile, którego głównym składnikiem był heksogen (około 91 proc.). Do jego zdetonowania konieczny był impuls z zapalnika, co tłumaczy, dlaczego w pobliżu znaleziono kabel elektryczny prowadzący do pobliskiego parkingu.

Wróćmy jednak do niedzieli 16 listopada. Podczas gdy rząd i podległe mu służby nabrały wody w usta, TV Republika relacjonowała wydarzenia na żywo, docierając do kluczowych świadków i lokalnych urzędników. To na jej antenie starosta powiatu garwolińskiego Iwona Kurowska, która była na miejscu zdarzenia, jako pierwsza przedstawicielka władzy publicznej odważyła się nazwać rzeczy po imieniu. „Służby nie mają co do tego wątpliwości, zdarzył się akt dywersji, zdarzył się akt sabotażu. Była eksplozja, huk, materiał wybuchowy" – mówiła stanowczo.

Wkrótce okazało się, że incydent w powiecie garwolińskim nie był odosobniony. Tego samego dnia, w niedzielę wieczorem, doszło do kolejnego niebezpiecznego zdarzenia na tej samej linii kolejowej. Między stacjami Puławy Azoty a Puławy Chemia awaryjnie zatrzymano pociąg Intercity relacji Świnoujście–Rzeszów, którym podróżowało 475 osób. Oględziny dokonane w niedzielę wieczorem wykazały, że dywersanci uszkodzili sieć trakcyjną nad torem, co spowodowało wybicie szyb w jednym z wagonów wspomnianego składu Intercity, a kilkaset metrów dalej zainstalowali na torze obejmę stalową,

która przypuszczalnie miała spowodować wykolejenie się pociągu (obok przytwierdzono taśmą izolacyjną telefon z powerbankiem mający zarejestrować tragedię lub monitorować przebieg akcji dywersyjnej). Obejma została przecięta przez przejeżdżające wcześniej pociągi. Dwa ataki w nieodległych od siebie miejscach – na tej samej, strategicznie ważnej trasie, i to w ciągu jednego dnia – nie były z pewnością dziełem przypadku.

Gdy media prorządowe milczały, czekając – jak można się domyślać – na oficjalny przekaz z kancelarii premiera, tylko dziennikarze Strefy Wolnego Słowa informowali społeczeństwo o realnym zagrożeniu. Tomasz Sakiewicz podsumował: „Gdyby nie było Telewizji Republika, społeczeństwo mogłoby się o tym nie dowiedzieć". W wyniku medialnej presji największej stacji telewizyjnej w Polsce rząd Donalda Tuska nie mógł dłużej udawać, że nic się nie stało. Jednakże sposób, w jaki próbował zarządzać kryzysem informacyjnym, okazał się kolejną kompromitacją.

Festiwal kłamstw i sprzecznych komunikatów

Obowiązkiem państwa w obliczu realnego zagrożenia terrorystycznego powinno być – zdawałoby się – natychmiastowe i rzetelne informowanie obywateli na temat tego, co się stało i co może się stać. Rząd Donalda Tuska nie tylko nie sprostał temu zadaniu, ale świadomie pogłębił chaos, serwując Polakom festiwal sprzecznych komunikatów, półprawd i otwartych kłamstw.

Pierwszy oficjalny komunikat pojawił się dopiero w niedzielę po godz. 16.00, gdy rzeczniczka MSWiA Karolina Gałecka napisała: „Sprawę bada policja i prokuratura. Na ten moment brak podstaw, by mówić o celowym działaniu osób trzecich. Apelujemy o rozwagę". Oświadczenie to, w świetle zebranych już dowodów – relacji o wybuchu, znalezionego przewodu elektrycznego i słów starosty Iwony Kurowskiej – było jawną próbą zakłamywania rzeczywistości.

Wicepremier Krzysztof Gawkowski dopowiadał zaś: „Może być sabotaż, może być też kradzież. Ludzie w takich sytuacjach wycinają jakieś tory, działają z premedytacją, czasami to jest też głupota, bo ktoś może być, kto zrealizował jakiś zakład albo inne wyzwanie, które było nowoczesnym challenge'em".

Jednak prawdziwy chaos informacyjny rozpętał się godzinę później. Premier Donald Tusk, najwyraźniej zaniepokojony pogłębiającym się rozdźwiękiem między oficjalnymi enuncjacjami a zatrważającymi doniesieniami medialnymi, napisał na portalu X, że jest „niewykluczone, że mamy do czynienia z aktem dywersji". W jednej chwili Polacy otrzymali więc dwa całkowicie sprzeczne sygnały od kluczowych osób w państwie. Były minister cyfryzacji Janusz Cieszyński komentował na antenie TV Republika: „O 16.00 pani rzecznik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (...) pisze »nie spekulujmy«, a po 17.00 odzywa się Donald Tusk i co robi? Spekuluje. To jest po prostu kompletne partactwo".

Z kolei wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Maciej Duszczyk, pytany w Polsacie News o sprawę uszkodzenia torów na trasie Warszawa–Dęblin, zaznaczył, że od dłuższego czasu mamy w Polsce do czynienia z wieloma różnego rodzaju sabotażami. Zaapelował wszak o to, by... nie posądzać o każde działanie Rosji. „Bo Rosja nie jest aż tak potężna, żeby każde podpalenie, każda tego typu sytuacja była prowokowana przez Rosję" – stwierdził.

Zamiast wyjaśnić sytuację, rządowa machina propagandowa ruszyła do ataku na osobę, która jako pierwsza odważyła się mówić prawdę – starostę Iwonę Kurowską. Rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Jacek Dobrzyński w skandalicznym wpisie oskarżył ją o „przechwalanie się" rzekomymi informacjami od Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. „Stanowczo oświadczam, że nikt z ABW nie kontaktował się ze starostą garwolińskim ani nie udzielał żadnych informacji" – grzmiał Dobrzyński.

Reakcja starosty Kurowskiej była natychmiastowa. W rozmowie z red. Michałem Rachoniem określiła wpis Dobrzyńskiego wprost jako kłamstwo. Wyjaśniła, że nigdy nie twierdziła, iż kontaktowała się z nią ABW, a informacje o dywersji uzyskała od lokalnych służb obecnych na miejscu zdarzenia. „Pan Jacek Dobrzyński kłamie i ja proszę o sprostowanie albo podanie mojej odpowiedzi, do tej pory się nie doczekałam. Nie sądzę, żeby mnie za to przeprosił i sprostował" – powiedziała z goryczą. Dodała też – obnażając niekompetencję rzecznika służb specjalnych – że działania na miejscu prowadziło Centralne Biuro Śledcze Policji, a nie ABW.

Twarze dywersji

Dziś wiemy, że sprawcami nie byli, jak próbowano początkowo sugerować, przypadkowi wandale czy autorzy „głupiego żartu". Za atakami na polską kolej stali profesjonalni dywersanci, działający na zlecenie rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU.

19 listopada na konferencji prasowej prokuratury oficjalnie poinformowano, że postawiono zarzuty dwóm obywatelom Ukrainy: Ołeksandrowi K. (rocznik 1986) oraz Jewhenijowi I. (rocznik 1984). Jak podkreślili śledczy, mężczyźni mieli dokonać „aktów dywersji o charakterze terrorystycznym na rzecz wywiadu Rosji przeciwko Polsce". Według ustaleń sabotaż był nie tylko nagrywany przez sprawców, ale również transmitowany.

Choć prokuratura posługiwała się inicjałami, tożsamość jednego z kluczowych sprawców jako pierwszy ujawnił portal Niezależna.pl. Chodzi o Jewhenija Iwanowa, urodzonego w 1984 roku w obwodzie charkowskim. Iwanow nie jest anonimowym najemnikiem. To człowiek od dawna znajdujący się na radarze ukraińskich służb, zwerbowany przez oficera GRU Jurija Syzowa. Co najbardziej kompromitujące dla polskich władz, Iwanow na kilka miesięcy przed atakiem w Polsce został zaocznie skazany przez sąd we Lwowie za akty dywersji na terenie Ukrainy.

Media na Ukrainie, choćby portal Sądowy Reporter, już w lipcu 2024 roku z detalami omawiały jego dywersyjną działalność. Donosiły, że Iwanow koordynował na zlecenie GRU próbę wysadzenia zakładu produkującego drony NWP Athlon Avia we Lwowie. Zwerbował do tego zadania byłego pracownika zakładu, któremu za podłożenie ładunków wybuchowych obiecano 40 tys. dolarów. Szczęśliwie cała

operacja była kontrwywiadowczo kontrolowana przez Służbę Bezpieczeństwa Ukrainy (SBU), która unieszkodliwiła bomby, a następnie, po sfingowanym wybuchu, doprowadziła do ujawnienia rosyjskich mocodawców. Mimo że Iwanow przebywał już wtedy w Rosji, został mu postawiony zarzut m.in. zdrady stanu i udziału w dywersji.

Jak wspomnieliśmy – oficerem prowadzącym Iwanowa na Ukrainie był oficer rosyjskiego wywiadu wojskowego Jurij Syzow. Na ukraińskich stronach rządowych znajduje się akt oskarżenia przeciw niemu. Został on oskarżony o terroryzm, dywersję, kierowanie grupą przestępczą i nielegalne przekraczanie granicy. Jego formalne stanowisko to starszy specjalista wydziału operacji specjalnych zarządu operacji specjalnych Głównego Zarządu Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych FR.

Ukraiński akt oskarżenia stwierdza, że do obowiązków Syzowa, jako przedstawiciela służb specjalnych Federacji Rosyjskiej, należało prowadzenie działalności wywiadowczo-dywersyjnej przeciwko Ukrainie. Werbował obywateli Ukrainy do poufnej współpracy w celu ich dalszego wykorzystania do działań na szkodę Ukrainy.

Syzow pozyskał Iwanowa, który zajmował się także poszukiwaniem i tworzeniem sieci agenturalnej spośród osób zamieszkujących terytorium Ukrainy. Iwanow przelewał pieniądze ze środków otrzymanych od Syzowa na Ukrainę dla bezpośrednich wykonawców poleceń, a także zapewniał transport środków oraz narzędzia potrzebne do aktów dywersji. Wiadomo, że w kwietniu 2024 roku Syzow planował zamachy terrorystyczne w Kijowie. Zaangażował (znowu) Iwanowa, a następnie Borysenkę (współpracującego ze służbami) oraz Dmytra Biłokonia. Celem były wybuchy w centrach handlowych Leroy Merlin w Kijowie oraz przy kawiarni Ofenziva. Sizow zorganizował przekazanie Borysence (poprzez nieświadomego kuriera) 15 urządzeń wybuchowych ukrytych w paczkach herbaty. Eksplozja miała nastąpić 10 maja 2024 roku o godz. 4.00, lecz operacja została przerwana dzień wcześniej przez zatrzymanie Biłokonia na miejscu niedoszłego zamachu. „Przestępstwo nie zostało dokończone z przyczyn niezależnych od woli sprawcy (Syzowa)" – stwierdza akt oskarżenia.

Incydent w powiecie garwolińskim nie był odosobniony. Tego samego dnia doszło do kolejnego niebezpiecznego zdarzenia na tej samej linii kolejowej. Między stacjami Puławy Azoty a Puławy Chemia awaryjnie zatrzymano pociąg Intercity relacji Świnoujście–Rzeszów, którym podróżowało 475 osób.

Granica otwarta dla terrorystów

Premier Donald Tusk podczas swojego wystąpienia w Sejmie sam dostarczył dowód na kompletną bezradność służb. Przyznał, że sprawcy „po dokonaniu aktu dywersji w miejscowości Mika opuścili teren Polski przez przejście graniczne w Terespolu. Tuż po przeprowadzeniu tego zamachu, gdy nie byli jeszcze zidentyfikowani przez służby".

Szczególnie bulwersujący jest fakt, że dywersanci wjechali do Polski i wyjechali z naszego kraju przez przejście w Terespolu. Przypomnijmy: w nocy z 11 na 12 września 2025 roku zostało ono zamknięte ze względów bezpieczeństwa, w związku z nalotem na Polskę rosyjskich dronów i ćwiczeniami wojskowymi Zapad 2025. Jednak zaledwie dwa tygodnie później, w nocy z 24 na 25 września, rząd Donalda Tuska – mimo braku jakichkolwiek przesłanek, że Białoruś choć na krok odstępuje od wrogiej antypolskiej polityki – podjął niezrozumiałą decyzję o jego ponownym otwarciu.

Oczywiście rodzi się też zasadnicze pytanie – jak to możliwe, że człowiek skazany za dywersję na Ukrainie mógł bez problemu przekroczyć polską granicę? Odpowiedź jest równie prosta, co kompromitująca: polskie służby nie zrobiły absolutnie nic, by go zweryfikować. Jak ujawniła na antenie TV Republika redaktor Katarzyna Gójska, „Ukraina ma system informatyczny, w którym można bez problemu, dosłownie w ciągu kilku minut zweryfikować, czy taki delikwent, jak ten skazany we Lwowie (...), figuruje właśnie jako taki człowiek w ukraińskich kartotekach". Wystarczył jeden telefon do Kijowa, prośba o sprawdzenie w bazie danych, by dowiedzieć się, że obywatel Ukrainy wjeżdżający na terytorium RP z Białorusi to potencjalny zamachowiec. Tego telefonu nikt nie wykonał. Państwo polskie okazało się ślepe i głuche, a jego bierność stworzyła idealne warunki do przeprowadzenia zamachu.

Problem z otwarciem państwa polskiego na penetrację przez rosyjską agenturę jest niestety znacznie szerszy. Od miesięcy kwitnie bowiem zdumiewający proceder codziennych (!) kursów autobusowych z polskich miast na tereny Ukrainy okupowane przez Rosję. Bez żadnych przeszkód można kupić bilet i pojechać na przykład z dworca Warszawa Zachodnia do Doniecka czy zrównanego z ziemią Mariupola. Firmy transportowe – o nazwach takich jak CrimeaBus czy DonbassTrans – bez przeszkód reklamują swoje usługi w internecie. Cena biletu to około 250–300 euro. Trasa do Mariupola? Na przykład przez Litwę, Łotwę/Estonię, Moskwę i Rostów nad Donem, choć na przykład na stronie przewoźnika CrimeaBus jest ciekawa adnotacja: „Obywatele Ukrainy podróżują na terytorium okupowane przez Mińsk na Białorusi. Wylot z lotniska w Mińsku do Moskwy, lotnisko Szeremietiewo. Na lotnisku Szeremietiewo obywatele Ukrainy przechodzą kontrolę rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB). Następnie mogą kontynuować podróż minibusem firmowym do wybranego miasta na terytorium okupowanym Ukrainy". **GP**

Piotr
Grochmalski

NOWY FRONT WOJNY I AGENTURA PROXY

OPERACJA GRU W POLSCE

W momencie gdy wielka afera korupcyjna potężnie osłabiła Zełenskiego, został ujawniony plan pokojowy Trumpa, którego przyjęcie może wywołać polityczne niepokoje w Kijowie, ale który jest też daleki od politycznych celów Rosji. Obie strony będą z niego niezadowolone, a jego podpisanie nie będzie dawało żadnych gwarancji, że Rosja wkrótce znów nie zaatakuje Ukrainy. Dokładnie w takim momencie Kreml uderza w Polskę.

FOT. ADOBE STOCK

Nieudane próby wykolejenia pociągów 15 i 17 listopada, dokonane najprawdopodobniej przez Ukraińców Jewhienija Iwanowa i Ołeksandra Kononowa, działających na zlecenie rosyjskich służb, a także atak 16 listopada w Petersburgu na polskiego ambasadora Krzysztofa Krajewskiego, przeprowadzony przez putinowskie bojówki, pokazuje, że Rosja wchodzi w kolejną fazę wielkoskalowej agresji przeciwko Polsce. Kreml umiejętnie wykorzystuje osłabienie kluczowych służb naszego państwa zaangażowanych w totalną wojnę, jaką wytoczył Tusk środowiskom patriotycznym i partiom opozycyjnym. Te działania stanowią śmiertelne zagrożenia dla bezpieczeństwa RP.

„Faza zero”

Według analityków waszyngtońskiego Institute for the Study of War (ISW) ze strony Rosji jest to już „faza zero”, która poprzedza militarną agresję. Kreml toczy z Polską pełnoskalową wojnę informacyjną, kognitywną, hybrydową, wspartą operacjami dywersyjnymi, dążąc do maksymalnego poszerzenia obszaru działań poniżej progu wojny kinetycznej. Masowe uderzenie 10 września dronami w obszar Polski gwałtownie przyspieszyło spiralę agresywnych działań FR wobec Polski. A 17 listopada 2025 roku szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego Wiesław Kukuła ostrzegł, że Polska znajduje się w „sytuacji przedwojennej”, w której Rosja stwarza sprzyjające warunki do „potencjalnej agresji na terytorium Polski”. ISW uważa, że ta opinia jest spójna „z ciągłą oceną ISW, że Rosja intensyfikuje kampanię »fazy zero«, aby destabilizować Europę, podważyć spójność NATO i stworzyć warunki polityczne, informacyjne i psychologiczne dla potencjalnej przyszłej wojny Rosji z NATO”.

Przypomnijmy, że 9 października 2025 roku na antenie Radia Wnet gen. Andrzej Kowalski, były szef wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, a obecnie wiceszef Biura Bezpieczeństwa Narodowego, stwierdził, że rosyjskie służby od lat ćwiczą scenariusze uderzeń nie tylko militarno-technicznych, lecz także personalnych, wymierzonych w elity państwa. Jak podkreślił: „Na pewno pan prezydent i w ogóle duża część polskiego establishmentu jest w tej chwili na listach do likwidacji, którymi dysponuje Specnaz”. Ekipa 13 grudnia po dojściu do władzy dokonała głębokich czystek w polskich służbach i skierowała je do systemowej walki z całym obozem Zjednoczonej Prawicy. To sparaliżowało lub radykalnie ograniczyło pracę głównie SKW, SWW i ABW. Rosja wykorzystała ten moment skutecznie, rozbudowując agenturę proxy w Polsce, która stała się głównym celem operacji Służby Wywiadu Zagranicznego (SWR), Federalnej Służby Bezpieczeństwa (FSB) i Głównego Zarządu Wywiadowczego (GRU).

Po agresji Rosji na Ukrainę doszło do fali masowych wydaleń rosyjskich szpiegów z Zachodu. Już w marcu 2022 roku Polska wyrzuciła 45 tzw. dyplomatów FR, a faktycznie szpiegów pracujących na rzecz wszystkich trzech rosyjskich agencji. Skala tego uderzenia w ich zasoby agenturalne spowodowała, że w wyniku presji Kremla przestał obowiązywać wcześniejszy podział zadań między rosyjskimi agencjami. Powszechnie przyjęto zasadę, że „wszyscy robią teraz wszystko”. Podróże na Zachód stały się bardzo niebezpieczne dla rosyjskich agentów wywiadu, dlatego pozostało ich bardzo niewielu w terenie. Zaczęła się też toczyć swoista konkurencja między agencjami o rekrutowanie i tworzenie nowych siatek agentów. Największe straty w terenie poniosła GRU, która miała najbardziej rozbudowane zasoby swoich agentów w placówkach dyplomatycznych. A ci, którzy przetrwali owe uderzenie, mieli bardzo ograniczone możliwości działania. Wiele państw ograniczyło swobodę przemieszczania się rosyjskich dyplomatów, a w Polsce personelowi ambasady rosyjskiej zabroniono podróżowania poza region, w którym działa.

Radykalna zmiana strategii rosyjskich służb

Ta gigantyczna czystka zasobów rosyjskich służb na Zachodzie po wybuchu wojny na Ukrainie zmusiła GRU, FSB i SWR do radykalnej zmiany taktyki operacyjnej. Wcześniej spece od dywersji, skupieni w odbudowanej Jednostce 29155 GRU, mogli operować na terytorium całej Europy. To oni wysadzili składy amunicji w Czechach w 2014 roku, zniszczyli sześć zakładów i składów amunicji w Bułgarii w latach 2014–2015, dokonali nieudanego zamachu stanu w Czarnogórze w 2016 roku oraz próby zamordowania Siergieja Skripala w 2018 roku w Wielkiej Brytanii. Przeprowadzili do 2022 roku operacje dywersyjno-terrorystyczne w większości państw europejskich, a dowódca tej formacji gen. Andriej Awerjanow wielokrotnie w trakcie koordynacji tych operacji podróżował po Europie. Bywał też w Warszawie. Dobrze znał realia polskie. W 2004 roku był młodszym attaché w rosyjskiej ambasadzie w Polsce, by wspierać odbudowę zasobów agenturalnych GRU w naszym państwie. Zmiana po 2022 roku była radykalna.

Pułkownik rezerwy kontrwywiadu Adam Jawor sygnalizował w październiku 2025 roku na łamach CyberDefence24, że „rosyjskie służby stworzyły sieć przeznaczoną do rekrutacji »agentów jednorazowego użytku«. Jej efekty widać gołym okiem: od 2022 r. rośnie liczba np. podpaleń czy aktów szpiegostwa na Zachodzie. Jesteśmy świadkami »tajnej« kampanii sabotażu GRU, której jednoznaczna atrybucja nie jest łatwa”. Jak zaznaczał, owa agentura proxy „opiera się na botach na Telegramie i jest amplifikowana przez prorosyjskich blogerów, pseudoukraińskie kanały oraz zachodnich radykałów”. Według ustaleń portalu Настоящее Время (Current Time) operację GRU w sieci wspierają tacy blogerzy, jak Yevgeny Rasskazov, używający kryptonimu „Topaz”, i bojownicy tzw. brygady Española, formacji paramilitarnej, stworzonej przez GRU w 2022 roku. To ta grupa współtworzyła szereg sieciowych narzędzi, w tym uruchomionego w sierpniu 2025 roku bota GRU. Jak zauważają autorzy Current Time, bot o nazwie GRU, technicznie rzecz biorąc, niczym nie różni się od tysięcy innych botów do przesyłania opinii: operator bota jest anonimowy, a osoby wysyłające do niego wiadomości nie”. Po uruchomieniu bota GRU dziennikarz Current Time „został powitany wiadomością z propozycją udzielenia rosyjskiemu wywiadowi wojskowemu »pomocy« w walce o »jego historię, kulturę

i wartości« przeciwko »bandzie wściekłych szumowin z rządów krajów zachodnich«. Po kliknięciu przycisku »Start« pojawiło się menu z możliwością wyboru języka (rosyjski lub angielski), a następnie prośba o wypełnienie krótkiej ankiety: jak zwracać się do użytkownika bota, gdzie mieszka, czym się zajmuje i jakie są jego motywacje". W ramach eksperymentu dziennikarz Current Time podszywał się pod mieszkańca Rygi, „mającego dostęp do różnych udogodnień". Według Current Time „mieszkańcy krajów bałtyckich są jedną z głównych grup docelowych bota, sądząc po kanałach dystrybucji (…). Po wypełnieniu ankiety w oknie czatu pojawiła się automatyczna odpowiedź: »Twoja wiadomość została wysłana do GRU«".

Jak informuje portal, „dziennikarz wypełnił ankietę późnym wieczorem w dzień powszedni. Trzy minuty później bot zaczął otrzymywać wiadomości od prawdziwego człowieka. »Dobry wieczór. Cieszymy się, że zostali jeszcze rosyjscy patrioci. Jak możecie nam pomóc?«". Dziennikarz odpowiedział wymijająco: „A co cię w ogóle interesuje?". Operator GRU od razu wpisał na czacie: „Te cysterny z paliwem są ukraińskie. Czy wiesz, gdzie je znaleźć?". Podczas gdy dziennikarz się wahał, operator GRU narzucił inicjatywę: „W porcie [w Rydze]. To [cywilne cysterny z paliwem]. [Musimy] wiedzieć, gdzie są, i zrobić im zdjęcie". Current Time zwraca uwagę, że „typowy schemat rekrutacji prorosyjskich »freelancerów« sabotażystów w krajach europejskich wygląda następująco: anonimowy operator zdalnie wydaje »jednorazowemu« agentowi stosunkowo proste zadanie za niewielką opłatą: na przykład sfotografowanie obiektu cywilnego lub namalowanie prorosyjskiego hasła na ścianie budynku mieszkalnego. Jeśli »misja« zakończy się sukcesem, nowo mianowany agent otrzymuje bardziej złożone zadanie (takie jak podpalenie) i wyższą opłatę. Sytuacja powtarza się, dopóki »freelancer« nie zostanie złapany przez organy ścigania kraju, w którym działa".

Prosty, tani, lecz skuteczny model

Szokująca jest prostota środków, jakimi posługuje się GRU do tworzenia swojej agentury proxy. Pozornie zwykłe, banalne narzędzie feedbackowe, pozwalające na szybką komunikację zwrotną, daje możliwość zbudowania mechanizmu „lejka rekrutacyjnego". Jest stosunkowo bezpiecznym narzędziem dla GRU, ale wykorzystuje potencjał sieci i buduje od początku przewagę anonimowego operatora nad osobą, która nawiązuje kontakt, często z głupoty lub ciekawości. Pułkownik Adam Jawor, powołując się na raport Organized Crime and Corruption Reporting Project (OCCRP), zauważa, że „już w 2024 r. anonimowe konta na Telegramie instruowały mieszkańców UE, jak podpalać magazyny czy wykonywać ataki na infrastrukturę, a kontakt i rozliczenia proponowano w kryptowalutach; częścią tej siatki był tzw. Privet bot". „Rozsyłanie linków do botów odbywa się falami: najpierw w rosyjskiej infosferze »Z«, później w pseudoukraińskich kanałach podszywających się pod lokalne media, a następnie w środowiskach europejskiej skrajnej prawicy – od Hiszpanii po Wielką Brytanię". Ten prosty model okazuje się skuteczny, co widać po lawinowym wzroście podpaleń i działań dywersyjnych dokonywanych przez agenturę proxy. Dużą rolę w całej operacji odgrywają „brygady Española". Jak zauważa Jawor, „tam właśnie miała powstawać »operacyjna sieć« botów: ich tworzenie, obsługa i rozmowy z ochotnikami-rekrutami, których zgłoszenia następnie »wynoszono wyżej« do struktur GRU… Mapa tych działań i ich ewolucja pokazują, że nie chodzi wyłącznie o »tanią dywersję«, ale o szerszy szkielet wojny hybrydowej".

Analitycy wywiadu zauważają niepokojącą rzecz – GRU w tych operacjach coraz częściej sięga do sieci kryminalnych, aby zlecać sabotaż, podpalenia czy działania dezinformacyjne. W ten sposób pogłębia się też kryminalizację społeczeństw zachodnich i czyni się je bardziej podatnymi na działanie rosyjskich służb. Sam mechanizm tworzenia agentury proxy, oparty na łańcuchu relacji rekrut–operator–analityk–oficer GRU, jest tak skonstruowany, że każdy uczestnik tego łańcucha widzi tylko fragment procesu. Tylko oficer GRU ma pełny przegląd operacyjny, ale dotyczący jedynie jednego rekruta. Sieć budowana jest dopiero na szczeblu operacyjnym GRU. To utrudnia rozpracowanie i ściganie agentury proxy, a jednocześnie pozwala tworzyć dowolne kombinacje operacyjne, a w przypadku spalenia danego łańcucha decyzyjnego pozwala go łatwo zastępować. Adam Jawor, jeden z wybitnych europejskich ekspertów od rosyjskich służb, ostrzega, że „kluczowe dla odporności społeczeństw jest rozpoznawanie wektorów rekrutacji i szybkie zgłaszanie podejrzanych ofert. Mechanika jest prosta: z pozoru niewinne zadania (»zrób zdjęcie«, »sprawdź, co jest za płotem«, »naklej nalepki«) bywają wstępem do eskalacji, szantażu lub do przestępstwa, którego ciężar prawny i konsekwencje poniesie wykonawca, a nie zleceniodawca". Według Jawora „boty Telegrama nie są jedynie elementem rosyjskiej propagandy, lecz pełnią funkcję kanału rekrutacyjnego, osadzonego w strukturach operacyjnych, w których krzyżują się interesy GRU, paramilitarnych formacji ochotniczych i środowisk skrajnej prawicy. Gdy zestawimy te ustalenia z materiałami publikowanymi przez OCCRP oraz wnioskami z raportów i analiz AP, EBU Investigations, UNITED24 Media i The Guardian, to wyłania się spójny obraz »taniej«, skalowalnej, trudnej do jednoznacznej atrybucji kampanii sabotażu – takiej, która w równym stopniu opiera się zarówno na nowych technologiach, jak i na starych wzorcach »aktywnych działań« znanych jeszcze z czasów zimnej wojny".

GRU używa w Polsce agentury proxy

Wykorzystanie przez GRU do dywersji w Polsce Ukraińców Jewhienija Iwanowa i Ołeksandra Kononowa jest przykładem użycia agentury proxy. Należy się spodziewać kolejnych takich operacji, tym bardziej że w wyniku paranoicznej obsesji Tuska totalnej wojny ze środowiskami polskich patriotów i opozycji służby utraciły bezpowrotnie bezcenny czas, który Rosja skutecznie wykorzystała. A przecież od lat dysponowaliśmy pełną wiedzą na temat mechanizmów, jakie Rosja stosuje przy budowie agentury proxy. To dzięki temu udało się ABW w 2023 roku rozbić i zneutralizować siatkę 16 osób pozyskanych do

działań dywersyjnych wobec RP. Miały być one głównie skierowane w logistykę dostaw sprzętu do Ukrainy. Rozbito ją w porę.

Tym razem tylko przypadek spowodował, że wybuchy nie doprowadziły do kolejowej katastrofy. A przecież przez wyrwę w torach, wywołaną wybuchem, miało przejechać nawet 12 składów pociągów, zanim zatrzymano ruch linii kolejowej. Fakt, że Iwanow mógł przeprowadzić taką operację, jest szokujący, bo nawet bieżąca analiza otwartych źródeł informacji przez polskie służby w ramach OSINT powinna pozwolić na rozbicie operacji i schwytanie szpiega GRU. Wcześniej uczestniczył on bowiem w operacji dywersyjnej na Ukrainie, której celem było wysadzenie we Lwowie zakładu Atlon Avia, produkującego na potrzeby armii drony. Ukraińskie media już latem 2024 roku opisały sprawę i szczególną rolę Iwanowa, byłego mieszkańca obwodu charkowskiego, który wcześniej, od 2015 roku, przebywał w rosyjskim Biełgorodzie i trudnił się przerzutem ludzi przez granicę. Dziennikarze ujawnili też, że Iwanow działał jako pośrednik między ukraińskim wykonawcą a Jurijem Syzowem, oficerem GRU. Fakt, iż Iwanow mógł spokojnie wjechać do Polski – i to z Białorusi – a potem powrócić tam bez przeszkód, pokazuje, że nasze służby nie posiadają rozbudowanych zdolności analitycznych. A te niewielkie, jakimi dysponują, są skierowane do działań przeciw polskiej opozycji.

Nowa formacja dywersyjna GRU

W 2023 roku GRU stworzyło Służby Operacji Specjalnych, na czele których gen. Awerianow, wiceszef GRU, postawił płk. Denisa Smoljaninowa. Wcześniej odpowiadał za wysyłanie najemników do Donbasu, nadzorował też prywatną firmę wojskową Longifolia i stworzył siatkę wywiadowczą na Ukrainie w przededniu agresji. Do formacji włączono też Jednostkę 29155. W skład nowej formacji dywersyjnej wszedł Eduard Szyszmakow, były attaché ambasady rosyjskiej w Polsce. To on miał stać za próbą zamachu stanu w Czarnogórze. Innym podwładnym Smoljaninowa został Władimir Lipczenko. To on stał za operacją dywersyjną na Łotwie w 2024 roku. Jako użytkownik Telegrama o pseudonimie Wlodek Lach zwerbował mężczyznę, który obrzucił koktajlami Mołotowa Muzeum Okupacji w Rydze. Członkiem zespołu jest też 36-letni major sił specjalnych GRU Jurij Sizow, który zwerbował Jewhienija Iwanowa do przeprowadzenia ataku na zakład Atlon Avia na Ukrainie i do operacji dywersyjnej w Polsce. Na Telegramie jest on członkiem grup protestacyjnych, ruchów prawicowych oraz Klubu Niezadowolonych Patriotów Igora Striełkowa. W lutym 2016 roku Sizow trzykrotnie osłaniał Ksenię Szojgu podczas podróży rosyjskim superpociągiem Sapsan. Wówczas była córką ówczesnego szefa rosyjskiego resortu obrony Siergieja Szojgu. W Służbie Operacji Specjalnych (SOP) GRU działa też Aleksandr Sapetko, który wcześniej współpracował ze Smoljaninowem w 172. Centrum GRU.

> ***Staliśmy się głównym frontem aktywności służb Kremla, które także w swoich działaniach współpracują z białoruskim KGB i chińskim MSS.***

Zespół SOP buduje agenturę proxy głównie za pośrednictwem czatów. Jeden z „liderów grup agentów" obiecał GRU zorganizowanie europejskich protestów lewicowych przeciwko NATO w kilku miastach Europy Zachodniej. Zażądał 7500 euro na każdy protest. W organizacji tych działań miała pomóc prorosyjska ukraińska organizacja Borotb, która wcześniej współpracowała z „antymajdanem". Zespół Smoljaninowa stał za kampanią dezinformacyjną pod koniec 2023 roku, kiedy to w czasie wojny izraelsko-palestyńskiej grupa obywateli Mołdawii namalowała gwiazdy Dawida na budynkach w Paryżu. Wcześniej przeprowadzili podobną operację w stolicy Francji, skierowaną przeciw prezydentowi Turcji Recepowi Tayyipowi Erdoğanowi, w czasie gdy Turcja blokowała członkostwo Szwecji w NATO, a działania GRU miały zaostrzyć napięcia w Sojuszu. Smoljaninow próbował stworzyć prokremlowską siatkę na Litwie, złożoną ze zwolenników polityka Algirdasa Paleckisa, skazanego za współpracę z rosyjskimi służbami wywiadowczymi, a także na Łotwie, za pośrednictwem byłego przywódcy Związku Rosyjskiego w Dyneburgu Jurija Zajcewa i byłego członka RNU Jewgienija Osipowa.

SOP do działań sabotażowych sięga również po przestępców z Europy Zachodniej, w tym z Polski. W Paryżu, na krótko przed igrzyskami olimpijskimi, francuskie służby ujęły rosyjskiego żołnierza, po tym jak przypadkowo zdetonował w swoim pokoju hotelowym bombę, która miała być użyta w trakcie olimpiady. A w maju 2024 roku w Berlinie przez ponad trzy dni płonął zakład należący do koncernu zbrojeniowego Diehl Group, którego produkty są eksportowane na Ukrainę. Lokalny kontrwywiad uważa, że zakład został podpalony przez doświadczonych fachowców na rozkaz Rosji. Jedną z najbardziej śmiałych operacji GRU była próba zamordowania Armina Pappergera, szefa niemieckiej firmy Rheinmetall. Według źródeł CNN morderstwo to miało być jednym z serii ataków na szefów zachodnich producentów przemysłu zbrojeniowego.

Zamiast zakończenia

W tej wojnie w ukryciu, której szczególnym celem jest Polska, GRU oraz formacja Awerianowa i Smoljaninowa odgrywają kluczową rolę. Staliśmy się głównym frontem aktywności służb Kremla, które także w swoich działaniach współpracują z białoruskim KGB i chińskim MSS. Działania rządu 13 grudnia, destabilizujące wszystkie kluczowe instytucje państwa, a także próby dokonania zamachu stanu, odcinanie prezydenta RP i Biura Bezpieczeństwa Narodowego od informacji z polskich służb, a także szerokie otwarcie instytucji państwa na ludzi Marka Dukaczewskiego, przez lata aktywnie współpracujących, współdziałających i wyszkolonych przez rosyjskie służby, pokazują skalę zagrożenia naszego narodowego bytu. **GP**

„ŻELAZNA PIĄTKA TUSKA", CZYLI FESTIWAL HIPOKRYZJI

NARRACJA W CZASIE KRYZYSU

Propaganda rządu koalicji 13 grudnia weszła w ostatnich dniach na poziom absurdu nieznany nawet w ich wieloletnim, także z poprzedniej kadencji, dorobku. Propaganda ta jednak jest groźna wyjątkowo, ponieważ pomimo swojej groteskowości dotyka fundamentalnych dla Polski spraw bezpieczeństwa.

Wojciech **Mucha**

Zaczęło się od komunikacyjnej (chodzi o kwestie informacyjne – nie infrastrukturalne) kompromitacji wokół szczęśliwie nieudanej próby sabotażu na torach kolejowych w miejscowości Mika. Jeszcze w poniedziałek, dobrze ponad dobę po tym zdarzeniu i przy niemal powszechnej pewności co do faktów, wicepremier Krzysztof Gawkowski drwił z ataku, usiłując przekierować uwagę na rzekomych złomiarzy lub dowcipnisiów, którzy mieli wysadzić tory w ramach koleżeńskiego zakładu. Kiedy okazało się, że sprawa jest jednak poważna i ustalenia m.in. Telewizji Republika mają pokrycie w rzeczywistości, a służby – policja i SOK, a także prawdopodobnie inne organy – zbagatelizowały sprawę wybuchu i w konsekwencji pozwoliły sprawcom ulotnić się z Polski, zarządzono propagandowy zwrot o 180 stopni.

Tusk straszy i przestrzega

Najpierw grzmiał Tusk, a Radosław Sikorski atakował prezydenta Nawrockiego.

DZIEL I RZĄDŹ

Projekt rzekomego politycznego „zawieszenia broni w obliczu kluczowego roku 2026", czyli „pięć żelaznych zasad" Tuska, to nie tylko szczyt hipokryzji, ale jawna bezczelność.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

Jednocześnie czwórka ministrów (minister spraw wewnętrznych i administracji Marcin Kierwiński, minister koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak, minister sprawiedliwości Waldemar Żurek oraz minister infrastruktury Dariusz Klimczak) wystąpiła na konferencji prasowej, mówiąc o „krytycznym zagrożeniu".

Trzeba to z całą mocą przyznać – niezależnie od intencji współpracujących z rosyjskim wywiadem obywateli Ukrainy (w tym rosyjskojęzycznych mieszkańców okupowanego przez Rosję Donbasu) zagrożenie było bardzo poważne. Cóż jednak z tego, skoro Tusk poza informowaniem o postępach śledztwa, w tym przyznaniem, że dywersanci przybyli z terenu Białorusi i błyskawicznie tam wrócili, skupił się na kreowaniu atmosfery „najpoważniejszego zagrożenia od początku pełnoskalowej wojny na Ukrainie", po czym zaprezentował coś, co zapewne uznano w tęgich głowach specjalistów od propagandy za majstersztyk public relations. Mowa o projekcie rzekomego politycznego „zawieszenia broni w obliczu kluczowego roku 2026".

„Przed nami jest rok szczególny, 2026. Szczególny, bo mam powody sądzić, że może to być rok rozstrzygający dla wojny między Ukrainą i Rosją. Jesteśmy dorośli, więc nie muszę nikogo przekonywać, że jeśli będzie to rok rozstrzygający w wojnie, to będzie także rozstrzygający dla strategicznego bezpieczeństwa Polski, dla przyszłości naszego narodu i państwa. To nie jest slogan. To nie jest szczególnie oryginalna myśl. Wypowiadali ją przede mną wybitni Polacy. Nie będzie bezpiecznej, niepodległej Polski i Europy bez niepodległej Ukrainy" – mówił Donald Tusk na początku tygodnia, a już w piątek zabrał w Sejmie głos raz jeszcze, mówiąc m.in: „Strategia Moskwy jest czytelna. Według niej mamy być: skłóceni z Europą, skłóceni z Ukrainą i co najważniejsze – skłóceni wewnętrznie. Nie możemy dopuścić do tego, aby ten scenariusz albo jego część został zrealizowany. To zależy od nas samych i od nas wszystkich".

Wszystko prawda, tyle tylko, że jednocześnie Tusk jako rzekomą receptę przedstawił propozycję określoną od razu przez przyjazne media jako „pięć żelaznych zasad". Warto przyjrzeć się z bliska temu, co władza rzuca na stół jako rzekome „zasady współpracy", bo są to rzeczy niesamowite:

1. Nie atakuj polskich służb i wojska,
2. Nie powtarzaj rosyjskiej propagandy,
3. Koniec z wetami i sabotażem legislacyjnym,
4. Jestem za Zachodem, a nie Wschodem; nie podważam członkostwa w UE,
5. Jestem po stronie Ukrainy w wojnie z Rosją.

Domyślam się, że już od pierwszego punktu rozbawienie Czytelników „Gazety Polskiej" musi mieszać się ze zdumieniem. To prawda, czegoś podobnie bezczelnego jeszcze nie widzieliśmy.

Złodziej krzyczy „łapać złodzieja"

Gdy mowa o służbach, to trudno przecież o większą hipokryzję. Do „nieatakowania" ich (ktoś dziś atakuje?) wzywają ludzie, którzy przez wiele miesięcy wywołanego przez Rosję i Białoruś kryzysu na wschodniej granicy nie dość, że go bagatelizowali, to przy współpracy mediów, celebrytów oraz internetowych trolli wprost szkalowali zarówno polskie służby, jak i wojsko, przedstawiając zdarzenia na granicy jako „bestialstwo", „działanie niehumanitarne", a w najlepszym razie nieudolność władz. Jednocześnie to ci sami ludzie sprzeciwiali się budowie zapory mającej przeciwdziałać wrogim aktom ze strony Łukaszenki i Putina, które tuż przed pełnoskalową agresją na Ukrainę były testowaniem polskich zdolności reagowania. Kto wie – być może podobnie jak ma to miejsce w przypadku ostatnich wydarzeń na kolei. Za swoje działania ani Tusk, ani podlegli mu politycy, ani czereda celebrytów i mediów, wymyślających niestworzone historie, nigdy nie przeprosili.

Dalej jest tylko „ciekawiej", bo przecież doskonale wiemy, kto i do którego momentu powtarzał rosyjską propagandę i to nie tylko tę dotyczącą sytuacji na granicy. Czy mamy do znudzenia przypominać zarzuty o rzekomą rusofobię? Albo choćby to, że hasło „j***ć PiS" – a więc słynne „osiem gwiazdek" – to komunikaty, które na murach polskich miast umieszczali rosyjscy dywersanci? I że działo się to niemal równolegle z tym, gdy hasło te elity III RP wciągały sobie na sztandary, dekorowały nimi sale weselne (dziennikarz „Gazety Wyborczej"), tatuowały je sobie na rękach (działaczka PO z Myślenic), oklejały nimi samochody (poseł Witold Zembaczyński – ten zresztą do teraz przekonuje, że „osiem gwiazd" to jego motto życiowe) czy wręcz wypisywały na czołach (Aleksander Miszalski, ówczesny poseł, dziś niestety prezydent Krakowa)?

Na to, co działo się w kontekście sprzyjania rosyjskiej propagandzie w poprzed-

nich latach, szczególnie w czasach resetu, nie ma miejsca, by wspominać. Przypominam, że książka Michała Rachonia i prof. Sławomira Cenckiewicza m.in. na ten temat ma – bagatela – 750 stron. Skupmy się wiec na bieżących wątkach.

Prezydent jak dywersanci z GRU?

A te są bulwersujące. Bo co zawiera punkt trzeci „piątki": „Koniec z wetami i sabotażem legislacyjnym". Jest to punkt chyba najbardziej bezczelny i ujawniający w całej okazałości intencje twórców tej listy. Jest to bowiem nie tylko wezwanie do prezydenta Karola Nawrockiego, by ten sam skrępował sobie dłonie i zrezygnował ze swoich konstytucyjnych uprawnień – weta i inicjatywy legislacyjnej, do czego ma prawo i mandat od ponad 10 mln Polaków. Określenie „sabotaż legislacyjny" ma na celu semantyczne powiązanie działań prezydenta z tym, co stało się za sprawą sabotażystów działających na zlecenie rosyjskiego GRU. Polakom ma się więc zakodować, że działanie prezydenta, jeśli nie jest tożsame, to ma przynajmniej podobny ciężar gatunkowy, co próba wywołania katastrofy z licznymi ofiarami.

Tu zresztą mamy do czynienia z kontynuacją, bo tuż po incydencie w środowisku powiązanych z koalicją 13 grudnia internetowych trolli pojawiły się sugestie, że winny tego aktu dywersji jest… prezydent. Odpowiedzialność Karola Nawrockiego miałaby rzekomo polegać na tym, że kilka dni wcześniej odmówił nominacji na wyższe stopnie oficerskie młodych funkcjonariuszy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Służby Kontrwywiadu Wojskowego. Zresztą, z „obniżeniem bezpieczeństwa Polski" wiązał to sam rzecznik rządu Adam Szłapka.

Pozostałe dwa punkty („Jestem za Zachodem, a nie Wschodem; nie podważam członkostwa w UE", „Jestem po stronie Ukrainy w wojnie z Rosją") to z kolei pustosłowie. Nie wiadomo, czy za „podważanie członkostwa w UE" ludzie Tuska uznają jedynie nawoływanie do wyjścia z sojuszu czy też na przykład już za sprzeciw wobec federalizacji Unii można być sklasyfikowanym jako zaprzaniec.

Donald Tusk nawet nie ukrywa, że poprzez swoją retorykę nie tylko mobilizuje własny elektorat, lecz także dostarcza paliwo radykałom od Grzegorza Brauna i części środowiska Konfederacji.

Taki zresztą ma cel – pogrążyć PiS i jednocześnie doprowadzić do maksymalnej polaryzacji.

Wojny domowej być nie powinno

Co się zaś tyczy „bycia po stronie Ukrainy", to i tu można się zastanawiać, cóż takiego autor miał na myśli. Bo jeśli nie popieramy Putina, a jedynie na przykład uznajemy, że tak, trzeba pomagać Ukrainie i wspierać jej heroiczny bój, ale jednocześnie uznajemy za mało fortunne przekazanie przez szefa MSZ Radosława Sikorskiego Kijowowi 100 mln dolarów w sytuacji, gdy za naszą wschodnią granicą trwa właśnie największa afera korupcyjna, a kwoty łapówek opiewają na taką kwotę, to czy już zostaniemy według rządzących nazwani sojusznikami Kremla?

Nie ma zresztą sensu się nad tym zbytnio rozwodzić i zgadywać, co autorzy „piątki" mieli na myśli. Hasła te będą interpretować dowolnie. Stąd też nie powinna dziwić reakcja prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, który zapytany, czy podpisze się pod „zasadami", odparł: „Proszę nie żartować. Pani pyta kogoś, kto leży i jest kopany, o to, czy będzie się solidaryzował. Nie ma mowy. W naszym przekonaniu Tusk prowadzi politykę antynarodową" – odpowiedział. Wspomniał przy tym, że „wojny domowej nie powinno być", jednak „to Donald Tusk ją wywołuje prześladowaniami opozycji i w ogóle wręcz skandalicznymi zachowaniami. To jest jego metoda rządzenia".

Donald Tusk nawet nie ukrywa, że poprzez swoją retorykę nie tylko mobilizuje własny elektorat, ale i dostarcza paliwo radykałom od Grzegorza Brauna i części środowiska Konfederacji. Taki zresztą ma cel – pogrążyć PiS i jednocześnie doprowadzić do maksymalnej polaryzacji. Co ważne – pomysłów Prawa i Sprawiedliwości na kontrofensywę i wyjście z impasu na razie nie widać, a emocja społeczna po zwycięstwie Karola Nawrockiego została kompletnie roztrwoniona.

Metoda rządzenia przez podział będzie przez Tuska kontynuowana w 2026 roku – tego można być bardziej pewnym niż wdrożenia „pokojowego planu", który ma być jedynie zasłoną dymną. Nie minie więc zapewne wiele czasu, gdy przy okazji weta Karola Nawrockiego usłyszymy lub przeczytamy o „prezydenckich sabotażach", a każda krytyka unijnej polityki będzie przedstawiana jako sprzyjanie Federacji Rosyjskiej.

Z samym bezpieczeństwem ma to wspólnego niewiele. Jednocześnie z ogłoszeniem „piątki" koalicja 13 grudnia na sejmowej komisji finansów publicznych odrzuciła poprawki do budżetu zwiększające budżety: ABW o 250 mln zł i Agencji Wywiadu o 228 mln zł. O tym, że tylko tę decyzję można zakwalifikować jako złamanie co najmniej trzech punktów „planu" Tuska i odebrać jako „osłabianie bezpieczeństwa", szkoda nawet mówić. **GP**

MIESIĘCZNIK „NOWE PAŃSTWO”

DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!

Zamów na www.prenumerata.swsmedia.pl
i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

Prenumerata roczna ELEKTRONICZNA 99 PLN

Prenumerata roczna PAPIEROWA 155 PLN

Więcej informacji

NAPISZ / prenumerata@swsmedia.pl ZADZWOŃ / 605 900 002 SPRAWDŹ / www.panstwo.net
WEJDŹ / prenumerata.swsmedia.pl DANE DO PRZELEWU / **PL 82 1240 5963 1111 0010 3867 3017**
ADRES / Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o. o., ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

MARSZAŁEK CZARZASTY I LUDZIE OD MOKREJ ROBOTY. MROCZNA HISTORIA Z ORDYNACKIEJ

WYBILI SZYBĘ MICHNIKIEM

„Jak miliony Polaków był też członkiem PZPR, nigdy nie odwracał się jednak od swojej historii i ludzi, których wtedy poznał" – powiedział o Włodzimierzu Czarzastym w Sejmie Krzysztof Gawkowski. Cóż to za ludzie? „Tych od mokrej roboty można było rozpoznać po skórzanych, czarnych rękawiczkach. Bili na komendę" – pisał o bojówkarzach ze studenckiej organizacji SZSP opozycjonista Jan Józef Lipski. Jednym z organizatorów bojówek był Ireneusz Nawrocki. Gawkowski nie kłamał, Czarzasty nie odwrócił się od organizatora bojówek. Jak informowała 25 kwietnia 2025 roku strona Stowarzyszenia Ordynacka, zrzeszającego byłych działaczy tej organizacji, „Irek Nawrocki" brał udział w gali 75-lecia ZSP.

Piotr **Lisiewicz**
Z-CA RED. NACZELNEGO
albicla.com/PiotrLisiewicz

W ubiegłym tygodniu Włodzimierz Czarzasty został wybrany na marszałka Sejmu. Przed głosowaniem siedział zdenerwowany jak na szpilkach, bo nie był pewny wyniku. Działania na rzecz tego, by przejąć funkcję marszałka Sejmu, prowadził od wielu miesięcy – jak najmniej o tym mówiąc, za to intensywnie uruchamiając wszelkie

JAKA LEWICA?

Czarzasty nie ma nic wspólnego z lewicą pod jakimkolwiek względem „nową", a pozostaje cały czas postkomuną.

zakulisowe metody nacisku na posłów. Ostatecznie za jego kandydaturą głosowało 236 posłów, przy 209 przeciw i 2 wstrzymujących się. Poparli go wszyscy posłowie KO poza Michałem Kołodziejczakiem, wszyscy obecni na sali posłowie PSL i Lewicy oraz 28 posłów Polski 2050. Przeciw były nie tylko prawica, ale także lewicowa partia Razem, niemająca postkomunistycznego rodowodu.

70-latkowie, a nie młode „polityczki"

Dowodem na to, że Czarzasty nie odwraca się od kolegów, komunistycznych aparatczyków, jest powołanie na szefa Kancelarii Sejmu Marka Siwca, starszego kolegi z SZSP. Jego zastępcą został – co nie przebiło się w mediach – kolejny członek władz Ordynackiej, Jerzy Woźniak.

Bojówki Socjalistycznego Zrzeszenia Studentów Polskich (nazwa ta zmieniała się z ZSP na SZSP i odwrotnie) rozbijały spotkania opozycyjnego Uniwersytetu Latającego w latach 1978–1979, co młodszym wydawać się może zamierzchłą historią (przypomnimy ją za chwilę). Ale w 2025 roku to właśnie to środowisko wraca na sam szczyt polskiej polityki, jako zaplecze Włodzimierza Czarzastego.

Na lewicy po nominacji Siwca nie tylko w partii Razem rozległy się głosy zdziwienia: naprawdę musimy stawiać na 70-latków? To nie jakaś młoda feministka czy działaczka LGBT, a dinozaury z PZPR mają być twarzami naszej formacji? Co gorsza, terminem sytuacja ta zbiegła się z wyrzuceniem z Razem Pauliny Matysiak. Lewica pozbyła się jednej z młodych twarzy, a do wpływów doszła PZPR.

Ordynacka – zaplecze Czarzastego ważniejsze niż partia

Kto zadaje takie pytania, nie zna sposobu uprawiania polityki przez Włodzimierza Czarzastego. Niezależnie od funkcji partyjnych od dziesięcioleci tworzy on własną strukturę – Stowarzyszenie Ordynacka – i to jej ludzie obejmują ogromną władzę, gdy Czarzasty dochodzi do wpływów. Przewodniczącym Ordynackiej jest Dariusz Wieczorek, były minister nauki, który zasłynął z grożenia jednemu z rektorów likwidacją jego uczelni. W Ministerstwie Sportu Czarzasty umieścił jako wiceministra Ireneusza Nalazka, członka Komitetu Wykonawczego Ordynackiej. Likwidatorem Radia Poznań został z nadania Lewicy kolejny członek władz Ordynackiej i były działacz komunistycznej młodzieżówki z lat 80., Piotr Michalak, który niedawno chwalił się na stronie Ordynackiej odzyskaniem stalinowskiego sztandaru organizacji ZSP z 1953 roku.

Środowisko to do największych wpływów doszło za rządów SLD przed aferą Rywina, gdy prezesem TVP został Robert Kwiatkowski z Ordynackiej. I jednocześnie skompromitowało się udziałem w aferze. W 2005 roku, prowadząc dziennikarskie śledztwo na temat posiadłości postkomunistów na Mazurach, widziałem nocne, weekendowe spotkanie liderów Stowarzyszenia Ordynacka, odbywające się w należącym do Czarzastego pensjonacie Chata u Pirata koło Węgorzewa na Mazurach. Przyjechało na nie dużo luksusowych jak na owe czasy limuzyn. Koło północy przyjechał Marek Siwiec. Dylemat, czy pierwszego dnia tylko pijemy, czy również gadamy, rozstrzygnął Czarzasty twardym „gadamy" i rozpoczęło się dzielenie się wpływami w Polsce z czasów afery Rywina.

Nie był członkiem PZPR „jak miliony"

Prezydent Karol Nawrocki skomentował wybór Czarzastego: „Mamy dziś sytuację w państwie, w której prezydentem Polski jest antykomunista i były prezes Instytutu Pamięci Narodowej, marszałkiem Sejmu jest postkomunista, mamy bardzo odległe wizje państwa, przeszłości, myślę, że także naszej przyszłości".

„Jak miliony Polaków był też członkiem PZPR…" – ta pierwsza część zdania Gawkowskiego o Czarzastym to brzydka manipulacja. Miliony Polaków były zmuszane do zapisania się do PZPR i robiły to, by nie mieć kłopotów w pracy czy na uczelni. Natomiast Czarzasty i Siwiec byli wysoko w komunistycznym aparacie, który ich do tego nie przymuszał. Obaj brali też udział w nadzorowanym przez bezpiekę uwłaszczeniu nomenklatury.

Sam Czarzasty nie krył się z tym, że identyfikuje się z komunistami, gdy polemizował z Władysławem Frasyniukiem: „Drogi Władysławie Frasyniuku! Żeście komunistów pokonali? No nie. Wyście się z nami, k…a, przy Okrągłym Stole i 4 czerwca 1989 roku do-ga-da-li!".

Z wyzwolicielami z Armii Czerwonej, przeciwko Kuklińskiemu

Partia, której przewodniczącym jest Włodzimierz Czarzasty, nazywa się Nową Lewicą, ale fakt, że to on stoi na jej czele, stanowi polityczny oksymoron. Czarzasty

nie ma nic wspólnego z lewicą pod jakimkolwiek względem „nową", a pozostaje cały czas postkomuną, gdy mówi o wyzwoleniu Polski przez Armię Czerwoną czy o tym, że „ceni postać generała Wojciecha Jaruzelskiego", a pułkownika Ryszarda Kuklińskiego „uznaje za zdrajcę". Jawnie sympatyzuje więc ze Związkiem Sowieckim, a zdrajcą ogłasza człowieka, który przyczynił się do obalenia komunizmu. I nie tylko – także do tego, że Polska nie stała się atomową pustynią, bo to takie skutki sowieckich planów wojennych poznał Kukliński, gdy z własnej inicjatywy podejmował współpracę z Amerykanami, za co zapłacił śmiercią dwóch synów. „To człowiek oddany systemowi, który pochłonął tysiące ofiar niewinnych ludzi, polskich patriotów, bohaterów naszej wolności" – te słowa o Czarzastym padły w zeszłym tygodniu w spocie PiS.

Jak towarzysze z Ordynackiej wybili szybę w drzwiach Michnikiem

Natomiast tym, co wisi nad Stowarzyszeniem Ordynacka jak miecz Damoklesa, jest historia bojówek bijących opozycjonistów. To geneza niechęci do Czarzastego środowiska „Gazety Wyborczej", bo bojówki biły także będących w KOR ludzi związanych z Adamem Michnikiem. Ta niechęć najsilniej objawiła się w czasie afery Rywina, gdy Czarzasty przedstawiany był przez „GW" negatywnie. Dzisiaj również nie słychać w tym środowisku entuzjazmu wobec nowego marszałka.

Opisy działania bojówek SZSP brzmią bardzo drastycznie. „Napastnicy schwytali idącego do Kuronia Henryka Wujca. Bito jego głową w drzwi, aż do utraty przytomności. (...) Gdy Jacek Kuroń otworzył drzwi, by przyjść z pomocą przyjacielowi, bojówka wtargnęła do mieszkania. Napastnicy sprawiali wrażenie fachowców. Bili z widoczną wprawą i świadomością tego, jaki efekt ma każdy cios. Tych od mokrej roboty można było rozpoznać po skórzanych, czarnych rękawiczkach. Bili na komendę bądź na rozkaz przerywali. Grażynę Kuroniową uderzono raz po raz ciosami karate po obu rękach wykręconych do tyłu, po czym została podniesiona w górę za szyję. W tym momencie interweniował jeden z osobników kierujących akcją. Maciej, syn Jacka i Grażyny Kuroniów, uczeń ostatniej klasy liceum, również został pobity – rezultat: wstrząs mózgu" – tak akcję bojówki SZSP opisał w książce „KOR" z 1983 roku lewicowy działacz opozycji demokratycznej Jan Józef Lipski.

Czarzastego poparli wszyscy posłowie KO poza Michałem Kołodziejczakiem, wszyscy obecni na sali posłowie PSL i Lewicy oraz 28 posłów Polski 2050.

Przeciw były nie tylko prawica, lecz także lewicowa partia Razem, niemająca postkomunistycznego rodowodu.

W czasie gdy bojówkarze tłukli uczestników spotkania, ataku serca dostał leżący w łóżku chory ojciec Jacka Kuronia. Napastnicy nie pozwalali zadzwonić po pogotowie. Kuroń wydarzenie zapamiętał następująco: „Wtargnęli do środka, a ja stałem przyciśnięty do ściany i histerycznym głosem wołałem: – Ludzie, ludzie, mój ojciec umiera! Widziałem, jak tłukli Henia [Henryka Wujca – przyp. P.L.], jak zalewa go krew, jak głowa jego odbija się po schodach, po których go ciągnęli, aż wreszcie, jak rzucają go w śnieg. Byłem pewien, że już nie żyje. (...) A potem wbiegam do środka i widzę, jak katują mi syna. Potwornie i metodycznie. Kilku trzyma, jeden bije. (...) Jest stojący bierny tłum i wśród nich ci w czarnych rękawicach, ci od bicia" (relacja z książki „Gwiezdny czas", 1991).

Napady powtarzały się. 7 marca 1979 roku pobito studentów Mieczysława Książczaka i Jaremę Dubiela. 14 marca – Adama Michnika, oraz Konrada Bielińskiego i Jana Cywińskiego. Bojówkarze chwycili Michnika za ręce i wybili nim szybę w drzwiach klatki schodowej. Cywiński zapamiętał twarz napastnika. Dowiedział się, że bojówkarz nazywa się Ireneusz Tondera. W III RP z nadania ugrupowania Czarzastego Tondera był przez wiele lat radnym SLD na Pradze Północ.

Zamiast puenty

Miesiąc przed wyborem Czarzastego na marszałka zmarł Andrzej Kołakowski. Drugie miejsce na Ogólnopolskim Przeglądzie Piosenki Autorskiej w Hybrydach w 1984 roku dla niego jako 22-latka to było jak chwycić Pana Boga za nogi. Z Hybryd naturalną była droga do Opola czy Trójki Marka Niedźwieckiego, którego listy przebojów słuchało pół Polski. O tym, co się wydarzyło po tym sukcesie, Andrzej Kołakowski opowiadał mi w „Wywiadzie z chuliganem": – Alma-Art to była taka studencka agencja artystyczna. Oni powiedzieli do mnie: „Słuchaj, my ci kupujemy gitarę". Gitara to było wtedy marzenie! „No więc my ci kupujemy gitarę, płacimy ci kasę, ale raz na pół roku będziesz musiał napisać piosenkę". Pomyślałem sobie: „Dam radę" (śmiech). No i ten koleś mówi do mnie: „Ale wiesz, musisz się zapisać do Zrzeszenia Studentów Polskich". Ja na to: „Aha, to dziękuję". On na to: „Stary, ty nic nie rozumiesz. Te trzy literki ZSP ci przeszkadzają?!". „No mi jakoś przeszkadzają, cholera ciężka". No i nie zrobiłem kariery.

Wkrótce potem szefem agencji Alma-Art został Włodzimierz Czarzasty… **GP**

GAZETA POLSKA

Witold
Gadowski

Czerwony Włodek
I JEGO HAŁASTRA

Ostatnie podrygi starej ostrygi – tak najtrafniej można by określić wpełznięcie na fotel marszałka Sejmu starego komucha Włodzimierza Czarzastego.

To chyba ostatni zdatny do użytku bolszewik z frakcji „pieczeniarzy" Kwaśniewskiego, do której należą paskudy, takie jak: Marek Borowski, Włodzimierz Cimoszewicz, Dariusz Rosati, Danuta Hübner i kilku innych pogrobowców ostatniego pokolenia PZPR, które z lekkością zamieniło swoje członkostwo w partii zdrady na polityczne wpływy i pełne kieszenie. Cynicy, którzy gotowi byli sprzedać się każdemu, kto miałby siłę i wpływy, na ponad 30 lat skazili obraz polskiej polityki i wprowadzili do niego najniższe i najbardziej podłe motywacje.

W Polsce rośnie, niestety, pokolenie nowych czerwonych, oni jednak znacznie różnią się od bezideowych sierot po PZPR. To politycznie sfanatyzowani ludzie, dla których LGBT i postulaty wokeizmu są katechizmem; grupują się wokół takich wodzusiów jak Adrian Zandberg. Ci ludzie niewiele mają wspólnego z pokoleniem karierowiczów Kwaśniewskiego. W pokoleniu Czarzastego, wśród byłych sług Rosji sowieckiej, istniał podział na „pieczeniarzy" Kwaśniewskiego, sytuowanych bliżej starej frakcji „puławskiej" w łonie PZPR, i zwolenników Leszka Millera identyfikowanych bliżej starego „Natolina". Miller, po odejściu na polityczną emeryturę, sprawia wrażenie, jakby napił się „wody prawdy", i głosi poglądy bliskie realizmowi i faktom. On też jak najgorzej ocenia dziś postać karierowicza i czerwonego biznesmena Włodzimierza Czarzastego. To był ostatni – biograficznie – moment dla „czerwonego Włodka", w którym mógłby on objąć wysokie stanowisko państwowe. Oczywiście Czarzasty natychmiast zaczął za sobą wciągać do Sejmu starych towarzyszy Kwaśniewskiego – i tym właśnie sposobem szefem Kancelarii Sejmu został kumpel od kieliszka byłego prezydenta, niejaki Marek Siwiec, znany także z tego, że uchlany przedrzeźniał gesty papieża Jana Pawła II. Najważniejsze stanowiska w Sejmie zaczęli obejmować cyniczni karierowicze, którzy desantowali się z partii Płatnych Zdrajców Pachołków Rosji na pozycje „obrońców konstytucji i demokracji". Te obślizgłe typy powiedzą wszystko, co może im przynieść doraźne korzyści, a ich brak ideowości i honoru jest cechą rozpoznawczą dla całego tego bezwstydnego i wyrachowanego pokolenia partyjnych smrodów, które zatruły polską rzeczywistość na długie lata. Ich kariery były starannie ochraniane przez komunistycznych bezpieczniaków, z którymi robili interesy i wzajemnie świadczyli sobie rozmaite przysługi. Gdyby nie pokolenie Czarzastego, w Polsce nigdy nie doszłoby do kariery skrajnie cynicznego i pozbawionego wstydu tygodnika „Nie" i środowiska Jerzego Urbana, czerwonego gnoma bezwstydu, który promował kariery Cimoszewiczów czy Czarzastych. Nad karierą pieszczoszków Kwaśniewskiego od początku unosi się swąd ludzi takich jak gen. Marek Dukaczewski. Czego zatem możemy się spodziewać po zamianie głupawego politycznie Szymona Hołowni na sprytnego i cynicznego Czarzastego?

> Państwo polskie będzie musiało teraz płacić rachunki, jakie Czarzasty będzie wystawiał – za poparcie – Tuskowi.

Na pewno będzie więcej cynicznej bezczelności i nieuczciwości w działaniach władz Sejmu oraz wzmogą się represje wobec posłów, którzy nie zamierzają oddawać czci bożkowi „aktywnej demokracji uprawianej przez Donalda Tuska". Czarzasty na pewno zawarł już z Tuskiem kupiecką umowę, wedle której za każdą przysługę policzy sobie wynagrodzenie w nowych posadach dla swoich wspólników i serwitutach państwowych dla kliki podstarzałych bolszewików. Państwo polskie będzie musiało teraz płacić rachunki, jakie Czarzasty będzie wystawiał – za poparcie – Tuskowi. Korupcja polityczna wejdzie w apogeum w myśl zasady, że kto ma władzę, ten ma też posady i panowanie nad budżetowymi funduszami. Bezwstydny powrót na najbardziej eksponowane stanowiska najbardziej skompromitowanych PZPR-owców. A przecież Czarzasty to także weneryczna dla III RP „afera Rywina", no ale to już temat na odrębną opowieść. **GP**

HISTORIA O ZWYKŁYM ŁAPÓWKARZU

MARSZAŁEK, KTÓRY KOPERTOM SIĘ KŁANIAŁ

Wyrok uniewinniający Tomasza Sakiewicza to triumf prawdy nad kłamstwem powtarzanym wielokrotnie przez Grodzkiego i jego polityczne otoczenie. To także opowieść o zwykłym łapówkarzu, który został marszałkiem Senatu. I choć wiele lat temu poznaliśmy prawdę o jego ciemnej przeszłości, to partia Tuska zrobiła wszystko, aby Grodzki nie poniósł żadnej odpowiedzialności. Konsekwencje mieli za to ponieść tylko ci, którzy tę prawdę ujawnili.

Tomasz **Duklanowski**

Od początku ujawnienia afery korupcyjnej Grodzki przyjął postawę, która polegała na konsekwentnym zaprzeczeniu prawdy, robieniu z siebie ofiary i zastraszaniu dziennikarzy oraz świadków.

Zaprzeczenie prawdy

„Nigdy od nikogo nie żądałem pieniędzy ani nie przyjmowałem ich" – te słowa Tomasz Grodzki powiedział w styczniu 2020 roku w Senacie podczas konferencji prasowej. Było to już po tym, kiedy Radio Szczecin i „Gazeta Polska" ujawniły kilka relacji pacjentów i ich rodzin, którzy mówili o tym, że Grodzki brał łapówki. Powtarzał te słowa wielokrotnie, mimo że liczba świadków rosła, a prokuratura zebrała ogromny materiał dowodowy dotyczący korupcji prowadzonej na masową skalę w szpitalu kierowanym przez Grodzkiego. Z ustaleń śledczych wynika, że zanim został „trzecią osobą w państwie", najpierw brał indywidualnie łapówki od pacjentów, przeważnie w kopertach. Potem stworzył zorganizowaną strukturę przestępczą, która oszukiwała i wyłudzała pieniądze od pacjentów na masową skalę. Jak ustalili śledczy, służyła do tego założona przez Grodzkiego Fundacja Pomocy Transplantologii. Według ustaleń prokuratury fundacja przyjęła od pacjentów ponad 2 miliony złotych w zamian za przyspieszanie terminów operacji.

PRAWDA ZWYCIĘŻYŁA!

„Mieliśmy obowiązek stanąć w obronie tych dziesiątek skrzywdzonych ludzi. Bo krzywdzono zarówno tych, którym odmówiono pomocy, bo nie dali łapówki, bo ich nie było stać lub mieli opory moralne, ale skrzywdzono także tych, których złamano" – powiedział po wygranej redaktor Tomasz Sakiewicz.

FOT. TOMASZ HAMRAT/ GAZETA POLSKA

Zaprzeczał nie tylko Grodzki. Robiło to całe jego zaplecze polityczne, które dziś tworzy koalicję 13 grudnia. Najpierw nie zgodzili się na uchylenie immunitetu Grodzkiemu i pociągnięcie go do odpowiedzialności karnej. A po nielegalnym przejęciu prokuratury natychmiast skręcili śledztwo prowadzone przeciwko niemu.

Kłamliwy przekaz Grodzkiego powielał także cały kartel medialny III RP. A symbolem tego może być „Gazeta Wyborcza", która już po ujawnieniu korupcyjnej przeszłości Grodzkiego ogłosiła go Człowiekiem Roku.

Robienie z siebie ofiary

Podobnie jak wielu polityków Platformy Obywatelskiej oskarżanych o korupcję, także Grodzki twierdził, że ujawnienie tego, że brał łapówki, to sprawa polityczna. Tyle że w jego wypadku chodzi o coś więcej. „W tej chwili jest jasne, że jest to atak na Senat RP i na instytucję marszałka Senatu, dlatego wzywam ABW do pomocy w wyjaśnieniu, kto za tym stoi i jakie są motywy tego działania, bo ta akcja »Senatgate« wydaje się być elementem większego planu – nie wiem czyjego – pod roboczym kryptonimem »odzyskać Senat« i to metodami, które nie mają z demokracją nic wspólnego" – te bzdury opowiadał Grodzki w 2020 roku. I zapewniał, że o jego uczciwości może zapewnić „armia pacjentów", których leczył. Z tej „armii" wybrał jednego, który wystawił mu świadectwo moralności. Potem okazało się, że to Tadeusz Staszczyk, były oficer stalinowskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, który donosił nawet na własną żonę.

Zamykanie ust dziennikarzom

Równocześnie Grodzki prowadził działania mające na celu zniechęcenie i zastreszanie wszystkich, którzy starali się ujawnić prawdę o jego przeszłości. Nie chodziło wyłącznie o dziennikarzy, ale także o świadków, którzy mogliby potwierdzić w sądzie, że Grodzki brał łapówki. Tak było w przypadku prof. Popieli, która napisała w mediach społecznościowych, że Grodzki wziął od niej 500 dolarów.

Przeciwko Tomaszowi Sakiewiczowi Grodzki złożył prywatny akt oskarżenia z art. 212 i 216 Kodeksu karnego zagrożonego karą pozbawienia wolności. Co ciekawe, Grodzki robił to, równocześnie biorąc udział w demonstracjach „obozu demokratycznego" pod hasłem „wolne media". Wnioskował w sądzie o wyłączenie jawności rozprawy, tak aby nie mogli w niej brać udziału dziennikarze.

Co konkretnie Grodzki zarzucił redaktorowi Sakiewiczowi? Polityk poczuł się znieważony i zniesławiony określeniem, że jest „zwykłym łapówkarzem". Sakiewicz tak nazwał Grodzkiego po serii artykułów, które ukazały się w „Gazecie Polskiej" i „Gazecie Polskiej Codziennie". Wtedy już kilkunastu świadków potwierdziło, że „trzecia osoba w państwie" przyjmowała pieniądze w kopertach w zamian za przeprowadzenie operacji.

Redaktor naczelny Telewizji Republika zamieścił także wpis na portalu Twitter (obecnie X) w styczniu 2020 roku: „Platforma już głupiej nie potrafi bronić Grodzkiego, niż twierdzić, że ktoś przekupuje świadków. Są ich dziesiątki, a o łapówkach wiedziały setki osób. A Grodzki będzie jeszcze miał sprawę o fałszywe zawiadomienie".

Dowody przeważyły

Proces trwał kilka lat dlatego, że Sakiewicz przedstawił obszerny materiał dowodowy – dokumenty, a także liczne zaznania świadków. I właśnie to przeważyło. Sąd Rejonowy dla Warszawy-Woli nie miał innego wyjścia, jak tylko uniewinnić redaktora Tomasza Sakiewicza od fałszywych zarzutów Grodzkiego. Prawda tym razem wygrała w sądzie, choć nie zawsze tak jest. „Nie żałuję niczego" – powiedział w sądzie Tomasz Sakiewicz. „Mieliśmy obowiązek stanąć w obronie tych dziesiątek skrzywdzonych ludzi. Bo krzywdzono zarówno tych, którym odmówiono pomocy, bo nie dali łapówki, bo ich nie było stać lub mieli opory moralne, ale skrzywdzono także tych, których złamano".

Grodzki na ogłoszeniu wyroku się nie pojawił, ale na swoim profilu X napisał: „Dzisiejszy nieprawomocny wyrok uniewinniający Tomasza Sakiewicza budzi moje rozczarowanie. W podobnej sprawie inny sąd wydał wyrok skazujący. Nie znam jeszcze pisemnego uzasadnienia tego orzeczenia, ale gdy je poznam – złożę apelację. O dobre imię trzeba walczyć".

Tyle że w tym procesie Grodzki już nie powalczy o „dobre imię". Wyrok uprawomocni się w przyszłym miesiącu, bo sprawa przedawnia się w grudniu i na apelację nie ma już czasu. Dziś były marszałek Senatu już nie odgrywa większej roli w polityce. Wprawdzie został „trzecią osobą w państwie", ale zapamiętamy go raczej z tego, że okazał się zwykłym łapówkarzem. **GP**

PORTU NIE BĘDZIE. BĘDZIE PARK

KONIEC MARZEŃ O WIELKIEJ POLSCE

Rząd podjął decyzję o zarzuceniu koncepcji budowy terminala kontenerowego w Świnoujściu, który zaproponował PiS. Zamiast inwestycji o wartości 1,5 mld zł teraz ma być kosztujący 10 mld zł Przylądek Pomerania zrealizowany do 2029 roku z rozmachem, jakiego polskie morze nie widziało od 75 lat. – Chodzi o to, by tego nie zbudować – uważają politycy opozycji. I wskazują na realnie podejmowane działania w sprawie parku narodowego na Odrze, który zablokuje inwestycje w żeglugę śródlądową.

Minister Arkadiusz Marchewka, w którego rękach znajduje się kwestia gospodarki morskiej, przygotował się do zatrzymania inwestycji przygotowywanej przez PiS. Zaczęło się od frontalnego ataku na to przedsięwzięcie. Jego osią stało się to, że rząd PiS-u zaplanował budowę basenu portowego o głębokości 14,5 metra, który uniemożliwiał wpływanie największych jednostek. Minister powtarza tę wersję od kilkunastu dni. „Nasi poprzednicy zaplanowali budowę portu kontenerowego, do którego nie wpłynęłyby kontenerowce. Dlatego że głębokość nabrzeży byłaby za płytka. Wynosiła 14,5 metra. Największe kontenerowce, które wpływają na Bałtyk, takie jak wpływają do Gdańska, potrzebują nabrzeży o głębokości 17 metrów" – atakował w ubiegłym tygodniu w Sejmie Marchewka. Jego zdaniem nie było analiz opłacalności. W ocenie obecnego rządu inwestycja w takich parametrach nie zwróciłaby się przez 158 lat. Dla laika rzeczywiście opowieść brzmi kuriozalnie. Problem wygląda jednak inaczej, gdy zaczniemy się przyglądać szczegółom.

Najpierw baza

Dzisiaj bowiem do portu w Świnoujściu prowadzi tor wodny o głębokości 14,5 metra. Stąd też wynikała głębokość basenów portowych. Zaprojektowano to w ten sposób, aby nie dać pretekstu do zaskarżania inwestycji z użyciem argumentu o przeskalowaniu. Dlaczego nie założono pogłębienia podejścia? Tak się składa, że dzisiaj biegnie ono przez tereny sporne Niemiec i Polski. Nasi sąsiedzi, którzy doskonale potrafią pilnować swoich interesów ekonomicznych, z pewnością nie są skłonni, by ułatwiać nam budowę portu, który będzie dla nich bezpośrednią konkurencją. Dlatego też – już za PiS – powstała koncepcja budowy drugiego podejścia do portu, dłuższego o 3 godziny, ale za to omijającego naszych sąsiadów. Jednak najpierw rozpoczęto budowę i stworzenie bazy, aby potem ją rozbudowywać.

PiS rozpoczął, KO cofa

O tym, że plan rozbudowy był już na stole, piszą w oświadczeniu byli członkowie Zarządu Morskich Portów Szczecin i Świnoujście. Ich zdaniem obecnie przedstawiana przez rząd i Arkadiusza Marchewkę koncepcja budowy portu została wypracowana w latach 2022–2023. W jej przygotowaniu brali udział pracownicy insty-

FOT. JACK - STOCK.ADOBE.COM

Jacek
Liziniewicz
albicla.com/JacekLiziniewicz

W budżecie państwa na 2026 rok nie przewidziano żadnych środków na Przylądek Pomerania.

tucji, ale również inwestorzy, którzy mieli budować port kontenerowy. „Samo wymyślenie fantazyjnej nazwy »Przylądek Pomerania« (co nastąpiło we wrześniu 2025 roku) dla opracowanej naszym staraniem koncepcji z lat 2022–2023 nie czyni z nikogo jej autora. W celu uniknięcia wątpliwości, informujemy ponadto, że nie jest to koncepcja ani polityków PiS-u (…), ani koncepcja żadnego z rządów Rzeczpospolitej Polskiej. Potwierdzamy natomiast, że do połowy grudnia 2023 roku projekt wybudowania terminalu kontenerowego w porcie w Świnoujściu miał bezpośrednie i realne wsparcie rządu, przedstawicieli niektórych z ministerstw i wielu polityków" – napisali w oświadczeniu Krzysztof Urbaś, Daniel Stachiewicz i Jacek Cichocki. Jak wyjaśniają, koncepcja miała być realizowana przez kilkanaście lat, a wszystkie inwestycje od początku zakładały możliwość pogłębienia basenów portowych. W tym momencie warto przypomnieć, na jakim etapie znajdował się projekt realizowany za PiS-u. Po pierwsze, wybrany był inwestor. Byliśmy po podpisaniu przedwstępnej umowy ZMPSiŚ z belgijską firmą DEME CONCESSIONS N.V. oraz QTERMINALS W.L.L. z Kataru. Umowa zakładała 30-letnią dzierżawę portowego terenu, budowę i eksploatację terminalu. Wbrew temu, co dzisiaj opowiadają rządzący, oba te podmioty widziały interes w inwestowaniu w nowy port. Oprócz tego inwestycja przeszła już przez etap decyzji środowiskowej. Nie dość, że została ona wydana przez GDOŚ, to jeszcze w sierpniu tego roku obroniła się w sądzie. To duży sukces, bo przeciwnicy inwestycji robili wszystko, aby uznać, że jest ona nieopłacalna i szkodliwa dla ludzi oraz środowiska. Jej wydanie wymagało również postępowania transgranicznego, w którym strona niemiecka wskazywała na duże zagrożenie hałasem. O tym, jak kuriozalne zarzuty podnoszono, może świadczyć fakt, że Niemcy dopatrzyli się nawet, że hałas najprawdopodobniej będzie dochodził 5 metrów w głąb ich terytorium. Zarzucano też Polsce, że będzie wykorzystywała infrastrukturę w celach militarnych. Jeszcze większe wątpliwości mnożyły organizacje ekologiczne. Oskarżały Polskę o niszczenie siedlisk składających się z tego, co morze wyrzuca na plażę, a na których to glonach i innych pozostałościach miały kiełkować rośliny. Inwestorzy musieli się też nagimnastykować, aby jak najmniej ingerować w wydmy. Okazało się bowiem, że inwestycja mogła naruszyć więcej niż 1 proc. tego siedliska, co byłoby znaczącym oddziaływaniem na środowisko. To dlatego w zasadzie na lądzie planowano jedynie budowę torów i drogi dojazdowej, a cała reszta infrastruktury znajdowała się na morzu na usypanych wyspach.

Wygląda więc na to, że nowe władze będą przez to wszystko przechodzić jeszcze raz. Sama decyzja środowiskowa zajmie lata. Co ciekawe, w obecnym RDOŚ pracuje osoba, która przygotowywała dokumenty środowiskowe dla portu. Nasi rozmówcy, którzy znają kulisy, twierdzą, że uczestnicy procesu uznawali ją za osobę, która stała za przeciekami do mediów polskich i niemieckich. A medialne doniesienia utrudniały pracę i alarmowały aktywistów.

Park musi być

Podsumowując, nie ma najmniejszych szans na to, żeby inwestycja dużo większa od planowanej powstała do 2029 roku, czyli za cztery lata. To niemożliwe, tym bardziej że w budżecie państwa na 2026 rok nie przewidziano żadnych środków na Przylądek Pomerania. – Tusk i jego rząd realizują zalecenia z Berlina. Tej inwestycji po prostu nie będzie. Cała ta argumentacja Arkadiusza Marchewki jest po to, aby mydlić ludziom oczy. Może do 2027 roku zbudują jakiś fragment drogi i będą udawać, że to ich wielka inwestycja. To będzie tylko na potrzeby wyborów – mówi nam Marek Gróbarczyk, były minister gospodarki morskiej i żeglugi śródlądowej. Równolegle jednak rząd naciska ze wszystkich sił, aby stworzyć Park Narodowy Doliny Dolnej Odry. Ponieważ prezydent zgłosił weto, to teraz Paulina Hennig-Kloska zapowiada jego obchodzenie.

Wizja przyszłości tego rejonu przyszła z Niemiec. „Ekolodzy po obu stronach Odry jednak nie składają broni. Wspólnie zamierzają opracować plan współpracy. Celem jest zdobycie przyznawanego przez Światową Organizację Ochrony Środowiska tytułu »parku transgranicznego«. W Europie taki status ma już dziewięć obszarów" – napisał w ubiegłym tygodniu „Frankfurter Allgemeine Zeitung". Może się okazać, że wszystkie struktury, które zamierza stworzyć rząd, są właśnie po to, żeby to Niemcy mieli więcej do powiedzenia na temat żeglugi na Odrze. W tym przypadku działania rządu nie powinny budzić żadnych wątpliwości – przede wszystkim u naszych zachodnich sąsiadów. **GP**

Hubert
Kowalski
albicla.com/HubertKowalski

SCHRONÓW JESZCZE DŁUGO NIE BĘDZIE

BŁĘDY WŁADZY I BIUROKRACJA BLOKUJĄ INWESTYCJE NA RZECZ BEZPIECZEŃSTWA

Wciąż tylko niewielka część Polaków może realnie skorzystać z miejsca ukrycia w razie pojawienia się zagrożenia. W większości polskich miast jeszcze nie wbito łopaty pod budowę nowych schronów. Inwestycje nie startują z powodu niejasności związanych z finansowaniem, długiego oczekiwania na wytyczne oraz wątpliwości prawnych. Konieczna będzie kolejna nowelizacja ustawy, by ułatwić realizację planów. Perspektywy otwarcia schronów są więc nadal bardzo odległe.

Rząd od dawna obiecuje tworzenie różnego rodzaju miejsc schronienia dla Polaków w razie na przykład zagrożeń z powietrza. Chwalono się już przyznawaniem dużych środków na te cele, m.in. z Krajowego Planu Odbudowy, ale obecne procedury okazały się znacznie bardziej wymagające, niż przypuszczano. Bywa, że utworzenie nowego schronu pozostaje w sferze pomysłów i koncepcji.

Schron centralny pod znakiem zapytania

Choć rządzący od dawna mówili o planach budowy schronów oraz przygotowanych środkach na te cele, to najgłośniej o tym było po wrześniowym ataku rosyjskich dronów na Polskę. Na przykład władze Łodzi zapowiedziały nawet, że w centrum miasta powstanie duży schron dla ludności, nazwany już schronem centralnym. Jednak jak opisano na portalu Niezależna.pl, Urząd Miasta Łodzi dopiero poszukuje możliwości finansowania projektu, co stawia inwestycję pod znakiem zapytania.

Pieniądze na ten cel miały pochodzić z dotacji rządowych. Miasto poinformowało, że otrzyma środki na ochronę ludności i obronę cywilną, ale stworzenie schronu będzie problematyczne. Z Programu Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej planowane jest wykonanie ekspertyz dostosowania budowli ochronnych do obecnie obowiązujących standardów, zakup wyposażenia do miejsc doraźnego schronienia, m.in. agregatów prądotwórczych czy defibrylatorów. Te środki mają być wykorzystywane, podobnie jak w innych samorządach, również na organizację szkoleń dotyczących bezpieczeństwa. Jeśli chodzi jednak o budowę schronu, to władze Łodzi dopiero przygotowują koncepcję i ustalają źródła finansowania przedsięwzięcia, zwracają uwagę, że proces jest bardzo sformalizowany i wymaga czasu.

FOT. ADOBE STOCK

Potrzebna nowelizacja

Przepisy dotyczące Programu Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej wymagają jednak zmian. Wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Wiesław Szczepański zwracał niedawno uwagę w Sejmie, że wydatkowanie środków planowane jest do końca roku kalendarzowego, więc samorządy mają mało czasu na ich zrealizowanie. MSWiA zapowiedziało, że dopiero planuje zmiany. Resort przygotował nowelizację ustawy o ochronie ludności i obronie cywilnej. Chodzi m.in. o wyjątki od stosowania do tych inwestycji mocno wydłużających proces przepisów Prawa zamówień publicznych, aby przyspieszyć inwestycje, ale nie tylko. „Gazeta Polska" zapytała MSWiA, czy nowe przepisy pozwolą, aby środki z programów na ochronę ludności były niewygasające, i czy będą mogły być wykorzystywane po zakończeniu roku budżetowego.

„W ustawie, która weszła w życie 1 stycznia, nie ma zapisu o środkach niewygasających – pieniądze, zgodnie z konstrukcją budżetu, przyznajemy na dany rok kalendarzowy. Naszą propozycją dla samorządów jest nowelizacja ustawy i wydłużenie cyklu planowania inwestycji w ramach Programu Ochrony Ludności i Obrony Cywilnej do nawet pięciu lat. Miałoby to ogromne znaczenie przy takich projektach jak budowa obiektów zbiorowej ochrony, w tym schronów. Pozwoliłoby samorządom zachować ciągłość finansowania i realizowania zadań w wieloletnim horyzoncie czasowym. Projekt nowelizacji skierowaliśmy do uzgodnień międzyresortowych i opiniowania" – czytamy w odpowiedzi od MSWiA. Od 1 stycznia 2026 roku kondygnacje podziemne we wszystkich inwestycjach budowlanych mających charakter m.in. zabudowy wielorodzinnej czy budynków użyteczności publicznej będą obligatoryjnie uwzględniać utworzenie budowli ochronnej albo możliwość zorganizowania miejsc doraźnego schronienia.

Długa droga do rozporządzenia

Po publikacji na portalu Niezależna.pl łódzcy radni PiS wystosowali interpelację do władz miasta na temat schronu. W odpowiedzi potwierdzono, że Łódź dopiero szuka finansowania i rozważa różne możliwości. Do zamówienia ekspertyz dla budowy nowych schronów co do rozmiarów i pojemności potrzebne jest rozporządzenie szczegółowo określające warunki techniczne obowiązujące dla nowo powstających budowli ochronnych. Samorządy nie mogły więc ruszyć z miejsca bez tego dokumentu. Tymczasem projekt dotyczący tych kwestii pojawił się już w maju 2025 roku. Rozporządzenie ostatecznie weszło w życie jednak dopiero w ostatnich dniach. Dokument podlega notyfikacji, czyli obowiązkowi informowania UE o projektowanych krajowych aktach prawnych. Został notyfikowany dopiero w październiku tego roku. Jak poinformowało nas MSWiA, 31 października minister podpisał rozporządzenie, a następnie trafiło ono do kolejnych resortów. Dokument został ogłoszony w Dzienniku Ustaw z datą 13 listopada. Przepisy określają m.in. wytrzymałość konstrukcji, wymagania przeciwpożarowe, wymogi wyjść ewakuacyjnych, wentylacji, zaopatrzenia w wodę, kanalizacji i instalacji elektrycznych. Ale w branży budowlanej nie brakuje głosów krytycznych.

Od 1 stycznia 2026 roku kondygnacje podziemne we wszystkich inwestycjach budowlanych mających charakter m.in. zabudowy wielorodzinnej czy budynków użyteczności publicznej będą obligatoryjnie uwzględniać utworzenie budowli ochronnej albo możliwość zorganizowania miejsc doraźnego schronienia.

Różne interpretacje, różne standardy

Przemysław Kicowski, projektant instalacji elektrycznych, podkreśla w rozmowie z „GP", że opublikowane rozporządzenie było bardzo wyczekiwane, bo od 1 stycznia przyszłego roku każde nowe osiedle czy blok mieszkalny musi mieć miejsce schronienia. – Problem w tym, że choć dokument w wielu obszarach doprecyzowuje wymagania, to z perspektywy instalacji elektrycznych wciąż pozostawia kilka istotnych luk. Brakuje przede wszystkim jasnych wytycznych dotyczących klas reakcji na ogień dla kabli i przewodów. To podstawowa sprawa przy projektowaniu bezpiecznych instalacji. Chodzi o określenie typów przewodów i kabli. Musimy wiedzieć, jakie typy kabli mogą być użyte. Dzięki klasom wiemy m.in., jak długo topi się izolacja, jak się dymi i wiele innych kwestii mających znaczenie dla bezpieczeństwa – mówi projektant. Nasz rozmówca ocenia, że może dojść do sytuacji, w której w części miast będzie przyjęta standardowa klasa pożarowa, a w innych wyższa dla podobnych budynków. Niejasności dotyczą także innych kwestii technicznych, które są istotne z punktu widzenia bezpieczeństwa, m.in. czasu pracy awaryjnego źródła zasilania. – Będzie kilka standardów, w zależności od miasta. Będzie wiadomo, że w danym mieście można robić taniej, a w innym na podwyższonym standardzie. Widzimy zapisy, które trudno zinterpretować w praktyce bez jednoznacznych wskazówek – mówi projektant. Podkreśla, że tworzenie miejsc schronienia jest niezwykle istotne, ale przepisy muszą być precyzyjne. – Inaczej projektanci utkną w urzędach na interpretacji przepisów, ponieważ każdy będzie mógł je interpretować dowolnie – zwraca uwagę Przemysław Kicowski. **GP**

Piotr
Nisztor
albicla.com/PNisztor

JAK ROSYJSKIE SŁUŻBY ZDOBYWAJĄ TAJEMNICE POLSKICH PRZEDSIĘBIORSTW

SPÓŁKA Z CYPRU, DYREKTOR Z KRÓLEWCA I DANE W RĘKACH FSB?

Ponad 20 podmiotów z branży IT oferuje w Polsce wdrożenie i pomoc techniczną przy rosyjskim oprogramowaniu Bitrix24 do kompleksowego zarządzania przedsiębiorstwem. To flagowy produkt mającego siedzibę w Moskwie koncernu technologicznego, należącego do rosyjskiego oligarchy, od ponad trzech lat wpisanego na polską listę sankcji. Eksperci, z którymi rozmawialiśmy, ostrzegają, że gromadzone przez system dane trafiają do rosyjskich służb specjalnych.

24 lutego 2022 roku wojska rosyjskie zaatakowały Ukrainę. W efekcie Unia Europejska, Stany Zjednoczone, Kanada, Japonia, Australia i inne kraje świata zaczęły nakładać sankcje na Rosję rządzoną przez Władimira Putina. W Polsce w trybie ekspresowym uchwalono tzw. ustawę sankcyjną (weszła w życie 16 kwietnia 2022 roku), pozwalającą na zamrożenie

PYTANIA

Jak to możliwe, że mimo objęcia sankcjami Borisa Nuralieva oprogramowanie stworzone przez jego koncern jest używane i sprzedawane w Polsce? Jak duże stwarza to ryzyko dla polskiego bezpieczeństwa oraz podmiotów, które korzystają z Bitrix24? Czy dane użytkowników tego programowania lądują w Rosji?

FOT. ADOBE STOCK

majątków podmiotów oraz osób wspierających rosyjską agresję na Ukrainę, tworząc listę sankcyjną. O wpisie lub wykreśleniu z niej decyduje minister spraw wewnętrznych i administracji na wniosek 13 instytucji – nie tylko służb specjalnych, ale także na przykład Krajowej Administracji Skarbowej, Narodowego Banku Polskiego czy Komisji Nadzoru Finansowego. Obecnie na polskiej liście sankcji znajduje się ponad 100 podmiotów i ponad 430 osób fizycznych. Wśród nich 67-letni Boris Nuraliev, rosyjski oligarcha, którego majątek szacowany jest przez magazyn „Forbes" na 1,3 mld dolarów. To właściciel koncernu 1C – jednego z największych rosyjskich producentów i dystrybutorów oprogramowania. Na polską listę sankcji wpisano też dwie powiązane z nim spółki działające w Polsce. Mimo to – jak wynika z naszego dziennikarskiego śledztwa – flagowy produkt jego koncernu, oprogramowanie Bitrix24, cały czas jest oferowany polskim klientom. To platforma CRM (Customer Relationship Management) do kompleksowego zarządzania przedsiębiorstwem, mająca dostęp do szczegółowych danych o pracownikach, finansach, klientach i działalności. Formalnie za dystrybucję systemu na terenie Unii Europejskiej, w tym w Polsce, odpowiada spółka z Cypru, którą zarządza Rosjanin, menedżer koncernu 1C Company. Z kolei bezpośrednio wdrożeniem i pomocą techniczną zajmuje się nad Wisłą ponad 20 podmiotów z branży IT, część z nich należy do obywateli Białorusi lub Ukrainy. Z naszych ustaleń wynika, że z systemu Bitrix24 korzysta m.in. znany producent wody mineralnej oraz stołeczna firma zajmująca się wypożyczaniem aut dla taksówek i przewozu osób. W sumie takich podmiotów może być od kilkuset do nawet ponad tysiąca. To głównie małe i średnie przedsiębiorstwa. Generał Maciej Materka, były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, jak i płk Mariusz Kozłowski, emerytowany oficer Służby Kontrwywiadu Wojskowego, nie mają wątpliwości, że dane polskich firm korzystających z Bitrix24 trafiają do rosyjskich służb specjalnych. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego sprawy nie komentuje. Z kolei będący istotnym elementem polskiego cyberbezpieczeństwa instytut badawczy NASK (nadzorowany przez Krzysztofa Gawkowskiego, ministra cyfryzacji) przyznał, że nigdy nie zajmował się oprogramowaniem Bitrix24. Ujawniamy ustalenia dziennikarskiego śledztwa programu śledczego Republiki „Ściśle jawne" i „Gazety Polskiej".

Rosyjski koncern monopolistą na polskim rynku gier

„[Koncern 1C] jest jednym z największych rosyjskich producentów i dystrybutorów oprogramowania oraz największym rosyjskim franczyzodawcą. Oprogramowanie tworzone przez 1C ma mieć kluczowe znaczenie dla rosyjskich podmiotów gospodarczych, szczególnie w zakresie prowadzenia księgowości. W przypadku odcięcia FR od rynków IT, 1C zyska na

znaczeniu jako dostawca aplikacji dla przedsiębiorstw opartych na autorskiej platformie »1C: Enterprise«, będącej środowiskiem alternatywnym dla narzędzi opartych na rodzinie języków programowania C" – wynika z uzasadnienia decyzji o wpisaniu 25 kwietnia 2022 roku rosyjskiego oligarchy Borisa Nuralieva na polską listę sankcji. Przez lata kontrolowany przez niego koncern 1C, poprzez spółkę 1C Entertainment, specjalizował się też w produkcji i dystrybucji gier komputerowych. Był nawet liderem na tym rynku w Polsce. Wszystko za sprawą przejętej w 2005 roku spółki Cenega (Central European Games), będącej wydawcą gier komputerowych. Podmiot ten specjalizuje się w sprzedaży nie tylko własnych produkcji, ale również – dzięki współpracy ze światowymi liderami rynku – gier innych producentów. To właśnie koncern Nuralieva wprowadzał w Polsce takie hity, jak m.in. „Commandos 3", „Cyberpunk 2077", „GTA", „FIFA", „Football Manager", czy „Max Payne". Rosyjski monopol na polskim rynku gier złamała dopiero polska firma CD Projekt, która swój sukces zawdzięcza serii „Wiedźmin". Ostatecznie, tuż po rosyjskim ataku na Ukrainę, koncern Nuralieva sprzedał 1C Entertainment (wraz ze spółką Cenega) chińskiemu koncernowi Tencent. Gdyby nie doszło do transakcji, ten producent i dystrybutor gier trafiłby pewnie na polską listę sankcji.

Spółki objęte sankcjami i milczenie Ławrowa

Oprócz Nuralieva na polską listę sankcji trafiły też dwa związane z nim polskie podmioty. Pierwszym jest zarejestrowana w Krakowie firma Axioma. Została założona w połowie 2015 roku przez 42-letniego dziś Romana Gnatyshena i pięć lat od niego starszego Vitalija Kostyniuka. W 2019 roku część udziałów odkupił od nich koncern 1C. Spółka kierowana przez Gnatyshena oferowała rosyjskie oprogramowanie dla biznesu, m.in. w ramach pakietu 1C Drive. Swoją ofertę kierowała do małych i średnich przedsiębiorstw. Formalnie interesy w Polsce koncernu Nuralieva reprezentowała druga firma wpisana na polską listę sankcji – 1C Poland, kierowana przez Rosjanina Maksyma Ławrowa. Obecnie podmiot ten znajduje się w upadłości. Z kolei Ławrow w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego ma zarejestrowaną działalność gospodarczą Lamax Soft. Zapytaliśmy Rosjanina o szczegóły działalności w Polsce koncernu Nuralieva. Nie otrzymaliśmy jednak odpowiedzi. Z naszych ustaleń wynika, że obydwa objęte polskimi sankcjami podmioty sprzedawały w naszym kraju oprogramowanie Bitrix24. To platforma CRM oferująca kompleksowe zarządzanie nie tylko relacjami z klientami, sprzedażą czy marketingiem, ale całą firmą, administracją, finansami i księgowością, jednocześnie proponująca przechowywanie danych w chmurze.

Bitrix24 – symbol sukcesu rosyjskiego sektora IT

Z publikacji na rosyjskim portalu biznesowym tadviser.ru wynika, że po kolejnych sankcjach nakładanych na Rosję i odcinaniu rządzonego przez Putina kraju od zachodnich technologii, w tym zachodniego oprogramowania, Bitrix24 stał się jednym z podstawowych narzędzi dla rosyjskich przedsiębiorstw wykorzystywanych do zarządzania projektami. Jurij Wołoszyn, dyrektor ds. produktów spółki 1C-Bitrix, w czerwcu br. chwalił się w jednym z podcastów na portalu tadviser.ru nowymi możliwościami Bitrix24 (m.in. komunikatorem oraz wykorzystaniem AI), przedstawiając wręcz ten system jako symbol sukcesu rosyjskiego sektora IT. „(…) Weźmy zachodnie firmy. Z jakiegoś powodu w Rosji mamy takie przeświadczenie, że wszystko jest tam najwyższej klasy, najfajniejsze. Przepraszam, tam jest (…) mnóstwo badziewia, a rosyjskie oprogramowanie jest o wiele lepsze od tego [zachodniego – red.]. Tak, nie możemy wejść na ten rynek [zachodni – red.], powiedzmy, z rosyjskim oprogramowaniem w obecnej sytuacji, ale gdybyśmy to zrobili, moglibyśmy faktycznie skutecznie konkurować naszym oprogramowaniem – nie mówię tu o Bitrixie, ale o rosyjskim oprogramowaniu ogólnie" – podkreślał Wołoszyn.

Oficjalnie: 15 milionów firm i organizacji

Faktycznie koncern Nuralieva – mimo że jest kluczowy dla rosyjskich przedsiębiorstw, a co za tym idzie ma istotny wpływ na całą tamtejszą gospodarkę – bez problemu prowadzi interesy m.in. w Stanach Zjednoczonych i na terenie Unii Europejskiej. Oligarcha jest bowiem objęty sankcjami tylko w Polsce i na Ukrainie. Formalnie operatorem oprogramowania Bitrix24 w Unii Europejskiej, w tym w Polsce, jest zarejestrowana w Limassol na Cyprze firma Alaio Cloud Limited. Zarządza nią pochodzący z Królewca Dmirty Valyanow, absolwent tamtejszej Państwowej Bałtyckiej Akademii Floty Rybackiej, kształcącej specjalistów dla przemysłu stoczniowego. To jeden z menedżerów koncernu 1C Borisa Nuralieva. To właśnie cypryjski podmiot kierowany przez Valyanowa obsługuje stronę bitrix24.pl oferującą rosyjskie oprogramowanie polskim przedsiębiorcom. Najtańszy pakiet Basic kosztuje miesięcznie 199 zł i obejmuje pięciu użytkowników, najdroższy Enterprise to miesięczny koszt 1599 zł i obejmuje 250 użytkowników. W zależności od wybranego pakietu firma otrzymuje szereg narzędzi, aplikacji, a także wsparcie techniczne oraz miejsce w chmurze. W zależności od pakietu to od pięciu gigabajtów aż do trzech terabajtów. Jak ustaliliśmy, dane europejskich użytkowników Bitrix24 znajdują się na serwerach Amazona w niemieckim Frankfurcie. W sumie – jak wynika z oficjalnych informacji – oprogramowanie Bitrix24 jest lub było używane przez ponad 15 milionów firm i organizacji pozarządowych na świecie. Ile z tego to polskie podmioty? Nie wiadomo. Ustaliliśmy, że z rosyjskiego oprogramowania nie korzystają strategiczne spółki kontrolowane przez Skarb Państwa, jak m.in. Orlen, PZU, KGHM, Polska Grupa Zbrojeniowa, Polska Grupa Energetyczna, Polski Holding Nieruchomościowy czy Agencja Rozwoju Przemysłu. Z kolei wśród użytkowników Bitrix24 są m.in. znany producent wody mineralnej oraz stołeczna firma zajmująca się wypożyczaniem aut dla taksówek i przewozu osób. Żaden z użytkowników rosyjskiego

oprogramowania nie odpowiedział na nasze pytania.

„Ja się dwoma rękoma nie podpiszę, bo być może bym je stracił”

Sprzedażą i wdrożeniem w Polsce rosyjskiego oprogramowania Bitrix24 zajmuje się ponad 20 partnerów. To podmioty działające w branży IT z całej Polski, m.in. Warszawy, Poznania, Łodzi, Krakowa, Wrocławia i Człuchowa. Właścicielem lub współwłaścicielem dwóch z nich jest obywatel Białorusi. Czterech kolejnych, działających w formie działalności gospodarczej lub spółki, to obywatele Ukrainy. Pozostałe należą do obywateli Polski. Przedstawiciele podmiotów oferujących Bitrix24, z którymi rozmawialiśmy, nie chcieli zdradzić nazw firm korzystających z oprogramowania Bitrix24. Niektórzy próbowali wręcz przekonywać, że nie jest to rosyjski system i że gwarantują jego bezpieczeństwo. Jednym z nich jest przedstawiciel spółki Alpha Digital, zarejestrowanej w Warszawie w lipcu 2024 roku (z KRS wynika, że prezesem i jednym ze współwłaścicieli jest posiadający polskie obywatelstwo Oleg Goncharenko). „(…) Oprogramowanie nie jest rosyjskie” – przekonywał przedstawiciel tej spółki podczas rozmowy telefonicznej. Zaznaczył, że wszystko jest zgodne z europejskim i polskim prawem. „Ja mam kontrakt z firmą europejską, nie z rosyjską. Ja pracuję w Polsce z polskimi klientami (…). Jeżeli pan pyta mnie o sam system Bitrix24, to z tym pytaniem raczej trzeba zgłosić się do spółki na Cyprze, która jest właścicielem tego” – podkreślił, twierdząc, że nie sprawdzał, że za tym podmiotem w Limassol stoją Rosjanie. Z kolei przedstawiciel innego podmiotu, Aidem Art., potwierdził, że faktycznie Bitrix24 powstał w Rosji. „To oprogramowanie, które zostało stworzone w Rosji, (…) parenaście lat temu na potrzeby właśnie dystrybucji w Unii Europejskiej i w Ameryce zostało wyeksportowane do innej firmy [na Cyprze – red.]” – stwierdził nasz rozmówca z Aidem Art, jednocześnie zaprzeczył, aby wiedział, że Bitrix24 to oprogramowanie koncernu należącego do rosyjskiego oligarchy objętego polskimi sankcjami. Czy mu to nie przeszkadza? „Nie byłem świadomy tego, że są aż takie powiązania. Po drugie, ograniczyliśmy nasze działania do wsparcia polskich przedsiębiorstw, które korzystają z tego rozwiązania lub potrzebują wsparcia”.

„Sam system faktycznie powstał w Rosji” – tłumaczy z kolei przedstawiciel innego partnera Bitrix24 – sellergroup.pl. „Każdy o tym wie, wszyscy są świadomi” – dodaje.

Koncern Nuralieva – mimo że jest kluczowy dla rosyjskich przedsiębiorstw, a co za tym idzie ma istotny wpływ na całą tamtejszą gospodarkę – bez problemu prowadzi interesy m.in. w USA i na terenie Unii Europejskiej. Oligarcha jest objęty sankcjami tylko w Polsce i na Ukrainie.

„A panu to nie przeszkadza?” – pytamy. „Mnie? Nie” – odpowiedział. Jednocześnie zapytany o gwarancje bezpieczeństwa dla użytkowników przyznał: „(…) Ja się dwoma rękoma nie podpiszę, bo być może bym je stracił. Natomiast ogólnie informacja jest taka, że jest to [dane wprowadzane do systemu Bitrix24 – red.] zabezpieczone”.

Co robią służby?

Jak to możliwe, że mimo objęcia sankcjami Borisa Nuralieva oprogramowanie stworzone przez jego koncern jest używane i sprzedawane w Polsce? Jak duże stwarza to ryzyko dla polskiego bezpieczeństwa oraz podmiotów, które korzystają z Bitrix24? Czy dane użytkowników tego oprogramowania lądują w Rosji? Tomasz Siemioniak, minister koordynator ds. służb specjalnych, nie odpowiedział na nasze pytania. Z kolei Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego przyznała tylko, że „na bieżąco prowadzi rozpoznanie wobec zdarzeń i osób, które mogą stanowić potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa RP”. „NASK oraz zespół CERT Polska nie badał rozwiązania Bitrix24. Natomiast przypominamy, że każdy podmiot, który chce korzystać z danego oprogramowania, powinien wykonać wcześniej analizę ryzyka, która powinna uwzględniać m.in. kraj pochodzenia producenta i panujący tam porządek prawny” – odpowiedział z kolei instytut badawczy NASK, będący jednym z elementów polskiego systemu cyberbezpieczeństwa.

Eksperci alarmują: Bitrix to koń trojański FSB!

Pułkownik Mariusz Kozłowski, emerytowany oficer Służby Kontrwywiadu Wojskowego, nie ma wątpliwości, że dane Bitrix24 trafiają do Rosji, a samo oprogramowanie, podobnie jak inne rosyjskie, jest koniem trojańskim Federalnej Służby Bezpieczeństwa. – Sam fakt, że jest to rosyjskie oprogramowanie, świadczy o tym, że rosyjskie służby specjalne, a w szczególności Federalna Służba Bezpieczeństwa, mają kontrolę nad tym oprogramowaniem. Od 2005 roku w Federacji Rosyjskiej funkcjonuje ustawa, która pozwala rosyjskim firmom, również informatycznym, na całkowite współdziałanie z Federalną Służbą Bezpieczeństwa. Dane, które agregują te systemy, były przekazywane i są przekazywane bezpośrednio do Federalnej Służby Bezpieczeństwa – uważa płk Kozłowski. Przed zagrożeniem, jakie stanowi oprogramowanie Bitrix24, przestrzega też gen. Maciej Materka, były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego. – Taki system może być wykorzystywany jako infrastruktura wywiadowcza do pozyskiwania wprowadzanych tam danych na przykład na temat osób, które mogą być celami dla obcego wywiadu, a także do bieżącego monitorowania sytuacji w poszczególnych firmach. **GP**

Konrad
Wysocki
albicla.com/KonradWysocki

BĄDŹ CZUJNY!

PORADNIK BEZPIECZEŃSTWA „GP"

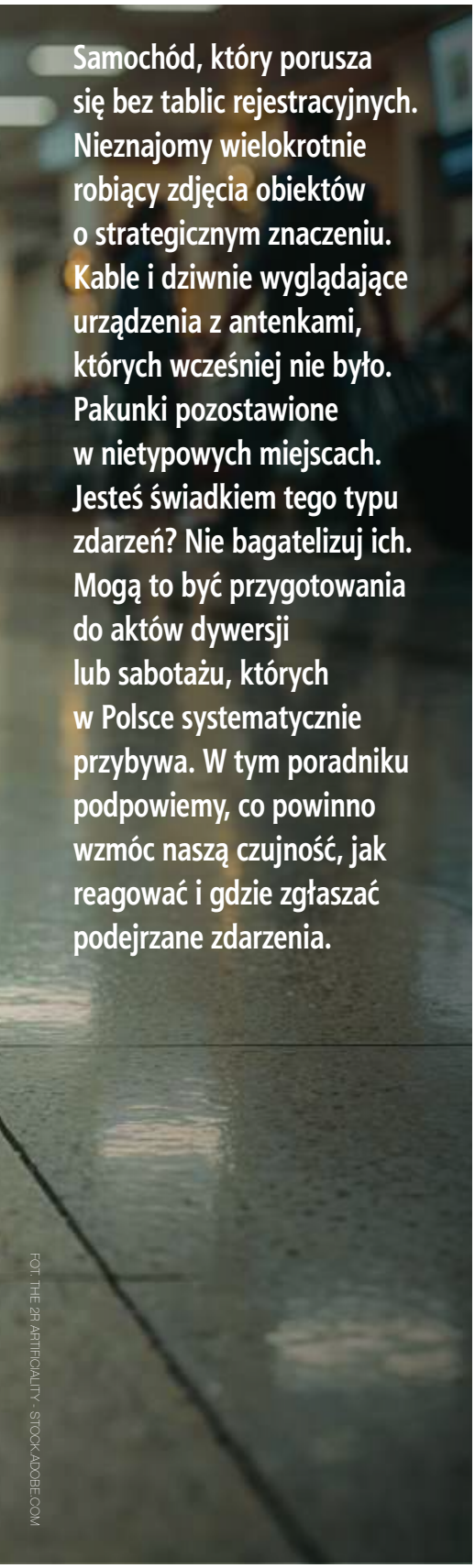

Samochód, który porusza się bez tablic rejestracyjnych. Nieznajomy wielokrotnie robiący zdjęcia obiektów o strategicznym znaczeniu. Kable i dziwnie wyglądające urządzenia z antenkami, których wcześniej nie było. Pakunki pozostawione w nietypowych miejscach. Jesteś świadkiem tego typu zdarzeń? Nie bagatelizuj ich. Mogą to być przygotowania do aktów dywersji lub sabotażu, których w Polsce systematycznie przybywa. W tym poradniku podpowiemy, co powinno wzmóc naszą czujność, jak reagować i gdzie zgłaszać podejrzane zdarzenia.

FOT. THE 2R ARTIFICIALITY - STOCK.ADOBE.COM

Seria podpaleń, działania wymierzone w infrastrukturę krytyczną, zakłócanie sygnałów i nadajników, operacje zwiadowcze i rozpoznawcze obiektów o znaczeniu strategicznym czy niedawne akty sabotażu na kolei, związane z uszkodzeniem trakcji i eksplozją, która zniszczyła fragment torów, co w konsekwencji mogło doprowadzić do gigantycznej katastrofy w ruchu lądowym, z wieloma ofiarami śmiertelnymi – wojna hybrydowa przeciwko Polsce eskaluje z każdym tygodniem, czego potwierdzeniem są wyżej wymienione zdarzenia. – W takich warunkach rośnie znaczenie czujności społecznej. Bezpiecznej, odpowiedzialnej i zgodnej z prawem. Każdy sygnał może mieć kolosalne znaczenie – mówi „GP" gen. bryg. pil. rez. Dariusz Wroński, były dowódca wojsk aeromobilnych, ekspert ds. bezpieczeństwa. – Podejrzane pakunki i urządzenia, zwłaszcza w miejscach istotnych z punktu widzenia logistyki, obronności czy infrastruktury krytycznej. Podejrzane, nieznajome pojazdy. Wreszcie osoby, które zadają nietypowe pytania, nagrywają ważne obiekty czy przez długi czas obserwują otoczenie. To powinno zapalić lampkę ostrzegawczą – dodaje.

Definicje

Czym jest akt dywersji? To celowe działanie obliczone na zakłócenie funkcjonowania lub zniszczenie infrastruktury, obiektów czy systemów o znaczeniu strategicznym dla danego państwa. Dokonywany jest w celu osłabienia bezpieczeństwa, wywołania chaosu w społeczeństwie i przetestowania istniejących zabezpieczeń. Nic więc dziwnego, że najczęściej na celowniku są takie obiekty, jak mosty, linie energetyczne, stacje i trasy kolejowe, magazyny paliw i żywności, jednostki wojskowe, składy amunicji, lotniska czy porty. Uderzenie w tego typu lokalizacje to zawsze potężny cios, a przecież o to głównie chodzi wrogowi.

Infrastruktura krytyczna odgrywa kluczową rolę w funkcjonowaniu państwa i życiu jego obywateli. Obejmuje systemy zaopatrzenia w energię, surowce energetyczne i paliwa, łączności, sieci teleinformatyczne, finansowe, zaopatrzenia w żywność i wodę, ochrony zdrowia, transportowe, ratownicze, zapewniające ciągłość działania administracji publicznej, produkcji, składowania, przechowywania i stosowania substancji chemicznych i promieniotwórczych, w tym rurociągi substancji niebezpiecznych. Paraliż usług, potężne awarie, w tym odcięcie od łączności, energii i źródeł ciepła, skażenie wody i żywności, wyciek poufnych danych, katastrofy w ruchu naziemnym, lotniczym i nawodnym – to możliwe następstwa ataku na infrastrukturę krytyczną.

MIEJSCA SZCZEGÓLNIE NARAŻONE NA AKTY DYWERSJI:

– mosty, linie i zakłady energetyczne, gazociągi, wodociągi;
– stacje i trasy kolejowe;
– magazyny paliw, żywności, lekarstw;
– ujęcia wody;
– centra logistyczne, porty, lotniska;
– jednostki wojskowe i obiekty związane z obronnością i bezpieczeństwem.

Jeżeli w pobliżu wymienionych miejsc znajdziemy pozostawiony plecak, dziwnie wyglądający pakunek, urządzenia mogące przypominać nadajniki, czujnik, rejestrator dźwięku lub głosu czy materiał wybuchowy, niezwłocznie należy powiadomić odpowiednie służby. Pamiętajmy jednak, by zachować podstawowe środki ostrożności.

Nieznajome osoby, podejrzane pojazdy

Turysta czy agent? Osoba robiąca pamiątkową fotografię czy sporządzająca dokumentację terenową? Bardzo często trudno na pierwszy rzut oka rozróżnić obydwa zachowania. Jeżeli jednak w naszym otoczeniu nagle pojawia się ktoś nieznajomy, kto robi zdjęcia niekoniecznie związane

NIEPOKOJĄCA SYTUACJA. CO ROBIĆ?

Jeżeli widzisz podejrzany przedmiot, zrób mu zdjęcie z odpowiedniej odległości, ale nie mniejszej niż kilkadziesiąt metrów.
Jeżeli niepokoi cię zachowanie danej osoby, również zrób jej zdjęcie, jeżeli okoliczności na to pozwalają. Zapamiętaj jak najwięcej szczegółów – wygląd, zachowanie, ubiór, rzeczy, którymi się posługuje, etc.
W przypadku podejrzanego pojazdu zapisz numer rejestracyjny, a jeżeli go nie ma, zapamiętaj markę, kolor, miejsca, wokół których krąży lub stoi samochód, liczbę osób siedzących w jego wnętrzu, godziny pojawiania się i odjazdu.

CZEGO NIE ROBIĆ?

Nie podchodź zbyt blisko podejrzanych przedmiotów ani ich nie dotykaj.
Nie baw się w szeryfa. Nie wiesz, z kim masz do czynienia. Zatrzymanie pozostaw służbom.
Nie publikuj żadnych zdjęć i informacji o sprawie w social mediach. Nie nagłaśniaj też sytuacji lokalnie, bo w ten sposób sabotażysta może dowiedzieć się, że jest pod obserwacją.
Nie wdawaj się w rozmowę z podejrzanym, nie ujawniaj żadnych informacji mogących mieć strategiczne znaczenie.

ZGŁOSZENIE SYTUACJI

Najlepiej zadzwonić pod numer 112 lub na policję pod nr 997. W szczególnych sytuacjach, jeżeli podejrzewasz, że masz do czynienia z działaniem obcych służb, dzwoń na dedykowaną linię Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego (ABW): 800 800 007.
Podaj adres. Jeżeli go nie znasz, podaj charakterystyczne elementy krajobrazu, co ułatwi ustalenie lokalizacji.
Opisz problem najlepiej, jak potrafisz. Jeżeli coś szczególnie cię niepokoi, niezwłocznie poinformuj o tym dyspozytora.

Ważne! Zgodnie z powiedzeniem, że lepiej dmuchać na zimne, zgłaszaj każdą sytuację, która wzbudza w Tobie niepokój. Zawiadomienie policji czy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego niczym Ci nie grozi. Twoje zgłoszenie zweryfikują służby i podejmą odpowiednie działania.
Nie obawiaj się, że zostaniesz oskarżony o blokowanie linii czy zgłaszanie głupot.

Prognozy ekspertów nie są optymistyczne. Aktów dywersji będzie wyłącznie przybywać.

z walorami turystycznymi, pyta o strategiczne obiekty, pojawia się w ich sąsiedztwie, obserwuje z ukrycia, ma przy sobie nietypowe przedmioty – powinno to wzbudzić w nas wzmożoną czujność. Podobnie jak pojazdy, które „przypadkowo" zatrzymują się przy ważnych obiektach. To samo dotyczy samochodów, w których tablice rejestracyjne są albo zdjęte, albo poddane kamuflażowi. Do sygnałów ostrzegawczych zalicza się też notoryczne kręcenie się samochodu wokół danego miejsca czy wielogodzinne parkowanie w jego pobliżu, a także przejazdy o dziwnych porach. Zwłaszcza jeżeli dochodzi do tego więcej niż jeden raz.

Podsumowanie

Żyjemy w czasach skrajnie niebezpiecznych, zarówno w ujęciu globalnym, jak i lokalnym. Wobec Polski od lat prowadzona jest wojna hybrydowa, w którą wpisuje się szereg prowokacyjnych działań, a także akty dywersji i sabotażu. Nikt nie ma wątpliwości, że odpowiedzialna za to jest Rosja, która w ten sposób chce nie tylko wywołać chaos i zamieszanie w społeczeństwie, lecz także przetestować systemy zabezpieczeń i zdolność naszej reakcji. Prognozy ekspertów nie są optymistyczne. Aktów dywersji będzie wyłącznie przybywać. Odkładając na bok cały aparat służb odpowiedzialnych za bezpieczeństwo, pamiętajmy, że my sami możemy być mimowolnymi świadkami tego typu zdarzeń. Dlatego tak ważne jest, by wiedzieć, jak zachować się w takiej sytuacji. – Dziś intuicja zwykłego obywatela potrafi zatrzymać łańcuch sabotażowy szybciej niż kamery – wskazuje gen. Wroński. Budujmy świadomość sytuacyjną. Otaczająca nas rzeczywistość potwierdza, że umiejętność ta może okazać się kluczowa. **GP**

FOT. JENS ROTHER - STOCK.ADOBE.COM

FELIETON

{ PAN JACEK DLA CIEBIE }

Jacek **Liziniewicz**

IMPERIUM

Polska jest 20. gospodarką świata. Propaganda rządowa lubi to podkreślać, budując narrację o jakimś tygrysie rozwoju. A potem przychodzi nagle „sprawdzam". Już nawet nie mówię o łapaniu rosyjskich dywersantów, ale o czymś zupełnie prostym. O elementarzu polityki zagranicznej. W Brazylii przez dwa tygodnie odbywał się COP30, czyli inaczej szczyt klimatyczny. Nie wiem, czy to wydarzenie ma jakikolwiek sens. Pewnie nie. To jednak obóz rządzący mnie na co dzień przekonuje, że muszę się poświęcać dla klimatu. Ceny energii się niemal podwoiły, ale to oczywisty koszt, bo przecież musimy płacić za emisję. Zużyte majtki i skarpety mam wozić na PSZOK, bo tego wymaga ode mnie gospodarka obiegu zamkniętego. Najlepiej też, gdybym w najbliższych latach kupił szereg rzeczy, które pomogą mi wpisać się w trend ratowania planety. No więc nasze imperium postanowiło wystawić poważną delegację do Brazylii. W Belém pojawiło się aż ośmiu przedstawicieli polskiego rządu. Dla porównania: takie państwo jak Mozambik wystawiło 25 osób. Aby Państwu zobrazować skalę porażki, najlepiej sięgnąć do liczb. Polski PKB wyniósł w 2025 roku 1039,62 mld dolarów. Mozambiku – 19 mld dolarów, czyli mniej więcej tyle, ile Polska wydaje na program Rodzina 800+. W przeliczeniu na mieszkańca PKB Polski wynosi 28 484 dolary. W Mozambiku jest to 587 dolarów. Mimo takiej przepaści okazało się więc, że jeden z najbiedniejszych krajów wysłał większą delegację niż nasze imperium. Jakby tego było mało, naszej ośmioosobowej ferajnie przewodniczył Krzysztof Bolesta. Na spotkanie z szefem ONZ wiceminister środowiska poszedł w jadowicie zielonych trampkach i tęczowych skarpetkach. Wyglądał jak przebieraniec i niepoważnie. A może to właśnie godne reprezentowanie państwa Donalda Tuska? Przypomina to bowiem, że mamy dziadowskie państwo, którego nie należy brać na poważnie. **GP**

W Belém pojawiło się aż ośmiu przedstawicieli polskiego rządu. Dla porównania: takie państwo jak Mozambik wystawiło 25 osób.

FELIETON

{ KRÓTKO I NA TEMAT }

Krzysztof **Karnkowski**

TERAPIA SZOKOWA

Polska polityka po 1989 roku miała kilka momentów przebudzenia. Gwałtownych zwrotów akcji, wstrząsów, przy których jednostki lub grupy wyborców odpadały od mainstreamu, jaki wytworzył się po Okrągłym Stole. Wpływało to na pewne zmiany, które jednak nie dokonywały się od razu, czasem nawet nie znajdowały odbicia w pierwszych po tym impulsie wyborach. Tak naprawdę nie ma w tym niczego wyjątkowego, przecież nawet rząd Gyurcsány'ego stracił władzę na Węgrzech dopiero cztery lata po ujawnieniu pamiętnych taśm (słowa „Kłamaliśmy rano, kłamaliśmy wieczorem", które na stałe weszły do języka współczesnej polityki, również w Polsce) i następujących po nim protestach. Pierwszą taką datą w Polsce był oczywiście 4 czerwca 1992 roku, który wielu ludziom otworzył oczy, ale wielu też na dobre zniechęcił, odbierając im ostatnie nadzieje i złudzenia, wyniesione z częściowo fikcyjnego przełomu roku 1989. Następną taką sytuacją była afera Rywina. Na scenę weszły już nowe wówczas media, a cały naród oglądał obrady komisji śledczej. I choć sprawa wybuchła z opóźnieniem, bo najpierw strony próbowały się jeszcze dogadać, to dla dużej części odbiorców była to trudna lekcja polityki. To na niej w największym stopniu stracili postkomuniści, a zbudowały się partie, które wówczas głosiły potrzebę zmiany – Platforma Obywatelska i PiS. Co było dalej, wiemy – pierwsi nie chcieli zmieniać niczego, drudzy rozbili się o ścianę układów i medialnych zmów. Wreszcie Smoleńsk i następny dramatyczny wstrząs, który jednak na wybory polityczne zbyt szybko się nie przełożył, choć kolejnej grupie otworzył oczy. W listopadzie 2025 roku dochodzimy do momentu, w którym, po wybraniu Włodzimierza Czarzastego na marszałka Sejmu, poza Pałacem Prezydenckim władza realna i symboliczna znajduje się już całkowicie w rękach środowisk, które były negatywnymi figurami wszystkich trzech wspomnianych wydarzeń. Kolejny wstrząs jest tylko kwestią czasu. **GP**

To na aferze Rywina w największym stopniu stracili postkomuniści, a zbudowały się partie, które głosiły potrzebę zmiany – PO i PiS.

POLSKA ZJEDNOCZONA KOALICJA OBYWATELSKA

Donald Tusk kontynuuje proces konsumowania przystawek, czyli po prostu anihilacji mniejszych partii wchodzących w skład tęczowej koalicji rządzącej Polską od dwóch lat. Teraz dodatkowo Tusk dostał jeszcze do rąk nowe narzędzie w osobie zrotowanego marszałka Sejmu Włodzimierza Czarzastego. Jeśli ktoś myśli, że Czarzasty będzie próbował wybijać się na jakąś niezależność, to jest w tzw. mylnym błędzie. Zarówno on, jak i reszta Lewicy, szorujący po dnie PSL i sieroty po Polsce 2050 będą przez najbliższe dwa lata robili wszystko, by zapewnić sobie miejsce w szeregach nowego, szerokiego frontu politycznego: Polskiej Zjednoczonej Koalicji Obywatelskiej!

ZŁOTE myśli #Czarzasty

Szymon Jadczak
@SzJadczak
Bohater afery Rywina Włodzimierz Czarzasty mianuje na szefa swojej kancelarii innego członka PZPR, Marka Siwca, który zasłynął z szydzenia z papieża Jana Pawła II. Ciekawe, ile osób stało w kolejkach wyborczych 15 października, żeby ta noc żywych trupów mogła się ziścić.

Ewa Zajączkowska-Hernik
@EwaZajaczkowska
Komuna spadła na cztery łapy. Włodzimierz Czarzasty, były członek PZPR, gloryfikujący Armię Czerwoną, która napadała na Polskę („Ci ludzie nas wyzwolili, dali nam wolność"), został właśnie... marszałkiem Sejmu!

Patryk Spaliński
@spalinskipatryk
Dla przeciętnego dwudziestolatka Czarzasty to dziadek z telewizora, który był w tym PZPR-ze, co upadł kilkanaście lat przed naszymi narodzinami. Ale dla ludzi, którzy widzieli na własne oczy aferę Rywina, a nawet PRL, to jest splunięcie w twarz. Coś poszło nie tak w III RP.

Dariusz Lipiński
@DarLipinski
Czarzasty (65 lat) na szefa Kancelarii Sejmu wybiera Siwca (70 lat). Tej fali młodości i świeżości nic już nie powstrzyma.

ZWYKŁY... PRZEGRANY

Sąd Rejonowy dla Warszawy Woli po sześciu (sic!) latach wydał wyrok w sprawie karnej, którą były marszałek Senatu Tomasz Grodzki wytoczył redaktorowi naczelnemu „Gazety Polskiej", „Gazety Polskiej Codziennie" i prezesowi TV Republika Tomaszowi Sakiewiczowi. Dziennikarz został uniewinniony od zarzucanych mu czynów zniesławienia i znieważenia Grodzkiego. O co poszło? Tomasz Sakiewicz swego czasu nazwał Grodzkiego „zwykłym łapówkarzem", co było m.in. odpowiedzią na próby porównywania się Grodzkiego do… księdza Jerzego Popiełuszki. Internauci zgodnie przyklasnęli wyrokowi, tym bardziej że były marszałek Senatu od lat bezczelnie chowa się za immunitetem, co uniemożliwia pełne wyjaśnienie afery korupcyjnej w szpitalu Szczecin-Zdunowo.

IDZIE ZIMA

To już nieuchronne. Kończy się jesień, a zaczyna zima. Dobre serca internautów zawsze pamiętają, by wobec takiej trudnej aury zadbać o potrzebujących, zwierzęta i inny inwentarz. Niektórzy zastanawiają się, czy konie w sezonie zimowym również wymagają specjalnej opieki… „Czy konie mnie słyszą?".

Dawid
Wildstein

POLSKA – poligon Berlina i Moskwy

Bezczelność ambasadora Niemiec – który za „grę na rzecz Putina” uznał informowanie o rozmiarach strat, jakie z powodu działań Niemiec poniosła Polska podczas II wojny światowej – szokuje. Niestety, tylko w Polsce. Smutna bowiem prawda jest taka, że Berlin i Moskwa, przy wydatnej pomocy Tuska i jego ludzi, osiągnęły sukces. Udało im się, na ten moment, zniszczyć temat rosyjskich wpływów w europejskiej debacie publicznej. Jest to sytuacja niebywale niebezpieczna dla całego Zachodu.

Wypowiedź ambasadora Niemiec, ten swoisty luz, z jakim wygłosił swoją tezę, pokazuje, że jest ona już oczywistym elementem dyskursu publicznego Unii Europejskiej. Może w Polsce wywołuje jeszcze reakcje (chociaż tylko po jednej stronie sporu politycznego), jednak sam fakt, że przedstawiciel Berlina w żaden sposób nie usiłował się z niej, chociażby częściowo, wycofać, nie usiłował chociaż niuansować tak – z naszej perspektywy – kuriozalnej wypowiedzi, pokazuje, jak jest pewny swego.

Agenturalna operacja Niemiec

To niestety ponury dowód na to, że Berlin zdołał, na ten moment, zniszczyć temat rosyjskich wpływów w europejskiej debacie publicznej. Jego sukces w tej materii pokazuje, jakie zasoby ma to państwo – będące jednak w znacznej mierze efektem dominacji w Brukseli i budowania, za pomocą instytucji unijnych, kompradorskich elit. Jedno jest pewne: implementacja tak absolutnego kłamstwa świadczy o sile. Nagle ci, którzy wspierali Putina, bez których nie tylko nie mógłby on zaatakować Ukrainy, więcej – najprawdopodobniej nie stworzyłby nawet swojego imperium; ci, którzy robili, co mogli, by Kijów przegrał tę wojnę w pierwszych etapach pełnoskalowej ofensywy, dziś są tymi, którzy mają ostateczne prawo wyrokowania o tym, kto sprzyja Rosji, a kto z nią walczy. Jednak wspomniane zwycięstwo Berlina jest niesłychanie niebezpieczne dla Europy. To, co zrobiły Niemcy, w swojej konstrukcji przypomina typową operację agenturalną, mającą wywołać jak największy szum informacyjny, uniemożliwić odbiorcom właściwe rozpoznawanie rzeczywistości, w celu ukrycia prawdziwych winowajców. Jednak ceną tego jest trwałe upośledzenie możliwości poznawczych całych społeczeństw.

Oczywiście pierwszym beneficjentem tego kłamstwa są same Niemcy, które nie tylko ponownie mogą sobie rościć prawo do bycia przywódcą Europy, lecz także dostają pełny immunitet na jakąkolwiek krytykę ich działań. Jest to jednak równie istotne zwycięstwo Putina. Taki szum informacyjny, chaos semantyczny, absolutne wypłukanie oskarżenia o sprzyjanie Putinowi z jakiejkolwiek realnej treści – to wymarzona sytuacja dla Rosji, to wręcz zaproszenie Moskwy do rozszerzania swoich wpływów. Więcej – to także idealna zasłona dymna, za którą ukryte zostaną przyszłe interesy niemiecko-rosyjskie, na które znaczna część polityków obu stron czeka (nie jest to zresztą specjalnie ukrywane, jak pokazują publiczne wypowiedzi Merkel). Skoro sam fakt przedstawiania skali zniszczeń, jakich dokonały Niemcy w naszym państwie, jest „grą na rzecz Putina”, to tak samo może się okazać, że sprzeciw wobec Nord Streamów 2, 3 i 4 czy blokowanie miliardowych kontraktów na zakup przez Moskwę uzbrojenia także będzie „wspieraniem Rosji”. To dokładnie ta sama skala absurdu.

Naturalna współpraca

Z powodu niemieckich działań oskarżenie o sprzyjanie Putinowi jest dziś równie puste, co nazywanie kogoś faszystą lub nazistą. Obie strony sporu politycznego mogą się tego typu inwektywami dowolnie przerzucać. Z powodu wypłukania tych określeń z jakiejkolwiek treści stają się one tylko formą estetycznego ozdobnika danego komunikatu, mającego wywołać

FOT. POOL/ABACA / ABACA PRESS / FORUM

histeryczne reakcje u tego, do kogo jest on skierowany. Tu nawet nie chodzi o to, że odbiorcy tej propagandy nie wierzą, że ich wrogowie to „faszyści" czy „sojusznicy Moskwy" – są zapewne o tym szczerze przekonani. Istotne jest jednak to, że politycy i media zarządzający ich emocjami mogą w dowolnym momencie wypełnić owe oskarżenia czymkolwiek. Na przykład tym, że obalenie lub skrajne ograniczenie demokracji jest koniecznym elementem walki z faszyzmem (to właściwie już się dzieje, jeśli chodzi o UE), czy – wspomnianą wyżej – narracją, że ten, kto przeciwstawia się kolejnym Nord Streamom i miliardowym dealom z Moskwą, jest sojusznikiem Putina (casus wypowiedzi ambasadora Niemiec pokazuje, że jesteśmy już blisko takiej sytuacji).

Zauważmy też, że dokładnie te dwie siły polityczne korzystają najbardziej na pustce semantycznej oskarżeń o faszyzm/nazizm i „sprzyjanie Rosji" – czyli Berlin i Moskwa. Jak widać na wielu poziomach, współpraca tych dwóch państw jest niejako naturalna, coś, co zawsze powinniśmy mieć z tyłu głowy. Prowadzi to też do kolejnego wniosku – mówienie tu o propagandzie tylko niemieckiej jest błędem, możemy być pewni, że także Moskwa wspiera tego typu „wypłukiwanie z treści" oskarżeń o proputinizm. To wspólna broń propagandowa obu tych państw, zaś najpierw została ona przetestowana na Polsce. To u nas doszło do absolutnego odwrócenia pojęć i zrobienia z tych, którzy latami wysługiwali się Putinowi, jego „największych przeciwników".

Gdyby operacja ta nie zakończyła się w Polsce sukcesem, wątpliwe, by Niemcy mogły dziś tak grać tą kartą. W tym kontekście nasz kraj okazał się swoistym poligonem doświadczalnym dla propagandy niemiecko-rosyjskiej, zaś ci, którzy nami rządzą, zrobili, co mogli, żeby propagandową broń tak Rosji, jak i Niemiec, skrajnie niebezpieczną nie tylko dla naszego państwa, lecz także Europy, udoskonalić do perfekcji.

Ich człowiek w Warszawie

Biorąc udział w tej, jak już dziś widzimy, szerszej operacji propagandowej, której celem była cała opinia publiczna Unii Europejskiej, zaś głównym rozgrywającym Berlin, Tusk i jego ugrupowanie osiągali też swoje partykularne cele. Są one analogiczne – acz w znacząco mniejszej skali – do tych, na których zależało Niemcom. Ośmieszając sam temat rosyjskich wpływów, robiąc z niego domenę wariatów i trolli od Pińskiego (z Piątkiem na czele) bądź oddając go takim „ekspertom" jak Dukaczewski, nie tylko zdejmują z siebie odium skrajnie prorosyjskiej polityki, jaką prowadzili przez lata. Dodatkowo mogą swobodnie ukrywać fakt, że nic się w tej materii nie zmieniło. Tusk robi bowiem wszystko, żeby Polska stała się celem ataków dywersyjnych naszych wrogów. Pamiętajmy bowiem o jednym: słabe i podzielone społeczeństwo, które za większego wroga ma własnych obywateli niż reprezentantów innych państw, jest idealnym celem każdej dywersji.

A teraz spróbujmy spojrzeć oczami Putina na to, co się dzieje w Polsce. Co widzimy? Mamy państwo, w którym władza przeznacza większość swoich zasobów na walkę z opozycją, w której służby zajęte są zbieraniem haków na oponentów politycznych (w tym także, jak pokazuje casus Hołowni, z własnej ekipy). W którym emocje rozkręcono, za pomocą propagandowych mediów premiera, do poziomu histerii, w której zamiast rozmowy o państwie mamy filmiki z żarciem zupy i rąbaniem drewna. Państwo, w którym sukcesywnie destruuje się wymiar sprawiedliwości do poziomu, w którym uchylane są wyroki mordercom dzieci i pedofilom. W końcu – i to chyba najważniejsze – w którym jeden z najważniejszych ośrodków gwarantujących bezpieczeństwo kraju (także na poziomie transatlantyckim), ośrodek prezydencki, jest obiektem nie tylko ciągłych ataków, nie tylko blokowany jest mu, w sposób bezprawny, dostęp do kluczowych informacji. Więcej – w ciągu ostatnich kilku tygodni ponownie premier i jego ugrupowanie zdecydowali się rozkręcić napisaną na Kremlu narrację o sfałszowanych wyborach prezydenckich.

W tym kontekście trudno się dziwić, że Rosjanie zdecydowali się na akty dywersyjne wymierzone w nasze państwo. W końcu dlaczego mieliby tego nie robić, skoro nadal mają tu Tuska, „swojego człowieka w Warszawie" – jak mawiał o naszym premierze sam Putin. **GP**

Grzegorz
Wszołek
albicla.com/GrzegorzWszolek

PUBLICYSTYKA

ZAKAZANA OPRAWA

Reprezentacja potrzebuje kibiców, ale nie chce ich rząd

Piłkarska reprezentacja przeżywa renesans formy i popularności w związku z poprawą gry za kadencji selekcjonera Jana Urbana, więc kibice z całej Polski chcą wspomagać piłkarzy z orzełkiem na piersiach, tworząc oprawy i żywiołowo dopingując zawodników. Niestety, problem z tym mają głównie politycy Koalicji Obywatelskiej. W trakcie meczu eliminacji do mundialu z Holandią na PGE Narodowym doszło do skandalicznych scen. – Organizacyjnie to była po prostu kompletna kicha, nie wpuszczono na mecz zwykłych ludzi, małżeństw z dziećmi, seniorów i nikt na to nie zareagował. To była po prostu ustawka, zajścia z policją miały miejsce przy wejściu numer dwa na PGE Narodowym, którym podążali kibice prowadzący oprawę – relacjonuje „Gazecie Polskiej" kapelan prezydenta ks. Jarosław Wąsowicz.

To miało być piłkarskie święto i przez blisko godzinę gry 14 listopada takowym było. Polacy prezentowali się jak za najlepszych czasów trenera Adama Nawałki na Euro 2016 w starciu z Holendrami i długimi fragmentami przeważali nad faworytami. Widowisko miało być okraszone dopingiem, którego zalążek słyszeliśmy w Kownie, podczas niedawnego spotkania towarzyskiego naszej reprezentacji z Litwą. Gniazdowy, przyśpiewki, mnóstwo biało-czerwonych flag. Święto zostało popsute fatalną organizacją skutkującą kilkugodzinnymi kolejkami tłumów przed PGE Narodowym, a także niedotrzymaniem umowy z fanami przez PZPN. W 63. minucie najbardziej zaangażowani kibice kadry narodowej w proteście opuścili stadion, a na boisko rzucono race.

Kibice zgnojeni przez policję

Według naszych informacji Stowarzyszenie „To My Polacy", założone kilka miesięcy temu, by organizować kibicowski doping na meczach polskiej kadry, było umówione z PZPN na wniesienie oprawy z orłem w koronie i napisem „Do boju, Polsko". Oprócz patriotycznego wydźwięku hasło na transparencie nawiązywało do tytułu słynnej piosenki śpiewaka operowego Marka Torzewskiego pod tym samym tytułem – był to nieoficjalny hymn polskich piłkarzy podczas mistrzostw świata w Korei i Japonii z 2002 roku, do których awansowali po 16 latach. Okazało się jednak tuż przed meczem z Holandią, że kibicowska oprawa nie jest mile widziana przez policję i nie może zostać wniesiona na Stadion Narodowy.

„Generalnie z jakiegoś nieznanego nam powodu zostaliśmy wręcz zdeptani. Była przygotowana piękna patriotyczna oprawa, wszystko było dopięte na ostatni guzik. Dziś po południu dowiedzieliśmy się, że nie będzie gniazda, że nie będzie możliwości wniesienia oprawy i że to decyzja służb mundurowych. Dla nas to niezrozumiała decyzja. To miało być patriotyczne święto, pojednanie wszystkich ludzi i kibiców z całej Polski" – komentował w Kanale Sportowym Mateusz Pilecki, prezes Stowarzyszenia „To My Polacy". Kibic opowiadał o tym, jak wyglądały działania policji przed stadionem, które przywołują na myśl

FOT. X.COM

traktowanie przez służby fanów Legii Warszawa (słynna akcja „Widelec") czy Jagielloni Białystok w latach 2008–2012. „Zostaliśmy upokorzeni. Byliśmy osłonieni kordonem policji. Wchodziliśmy do namiotu, gdzie zaglądano nam między pośladki i grzebano w majtkach. Nigdy w życiu nie było czegoś takiego. Na Litwie sama ochrona chwaliła nas za doping. Nie wypada mi nawet mówić, jak odzywała się do nas polska policja" – opowiadał Pilecki.

– Kibice byli umówieni z PZPN na oprawę spotkania z Holandią z transparentem, na którym widać orła i hasło „Do boju, Polsko". Ludzie wydali na nią pieniądze, przygotowali się zgodnie z umową, wydali też pieniądze na bilety na stadion, a finał był taki, że tłumy czekały aż trzy godziny pod PGE Narodowym. Część fanów w ogóle nie została wpuszczona na stadion, oprawę również zablokowano. Odpalono race podczas meczu, ale faktem jest, że nowe stowarzyszenie kibiców reprezentacji, które powstało niedawno, ma swój zarząd i utrzymuje kontakty z innymi stowarzyszeniami – umowa była taka, żeby na spotkania naszej kadry narodowej wrócił porządny doping. I to się udało na Litwie. W Warszawie to był pierwszy zorganizowany doping – miało być gniazdo, podkreślę, że była umowa na oprawę, z której się w dzień meczu PZPN wycofał, tłumacząc się zakazem policji. Służby uznały, że transparent z orłem będzie niebezpieczny dla widowiska masowego – mówi „Gazecie Polskiej" kapelan prezydenta Karola Nawrockiego i kibic ks. prof. Jarosław Wąsowicz. Dziwnym trafem dotąd nie było problemu z wejściem na PGE Narodowy podczas imprez masowych, gdy obiekt był wypełniony po brzegi – na przykład na koncertach Taylor Swift, Justina Timberlake'a albo Sanah.

Zakazana oprawa

Co było tak złowieszczego w przygotowanej za kilkadziesiąt tysięcy złotych oprawie? Nic. Trudno uwierzyć, by komukolwiek na poważnie przeszkadzał symbol naszego kraju i nieodłączny element, kojarzony z reprezentacją Polski w piłce nożnej, a więc orzeł. W haśle „Do boju, Polsko" też nie było nic kontrowersyjnego – co innego, gdyby na transparencie pojawiły się wulgaryzmy albo – od biedy – polityczne odniesienia. Choć tych nie brakowało. Sfrustrowani zachowaniem policji kibice w trakcie spotkania z Holandią krzyczeli jak za dawnych czasów: „J... PZPN!". Obrywało się standardowo Donaldowi Tuskowi przyśpiewką: „Donald, matole, twój rząd obalą kibole". Na znak protestu w 63. minucie meczu grupa fanów rzuciła zapalone race na murawę. UEFA zapewne ukarze PZPN finansowo, niewykluczone jest zamknięcie Stadionu Narodowego na kilka spotkań. Nie ma jednak wątpliwości, że gdyby PZPN nie uległ naciskom podlegającej ministrowi Kierwińskiemu policji i wywiązał się z umowy z kibicami, nie doszłoby do protestu.

– Wreszcie po tylu latach śledzenia poczynań polskich reprezentantów doping na PGE Narodowym prowadziła grupa, która jest środowiskowo zaangażowana – są to ludzie, którzy się nie identyfikują ze swoim klubem tylko na jeden mecz, na jakiś szlagier ligowy, tylko cały czas żyją futbolem, swoją lokalną drużyną, organizują się w stowarzyszeniach kibicowskich, jeżdżą za swoimi piłkarzami na spotkania wyjazdowe, angażują się w duże środowiskowe inicjatywy, charytatywne, patriotyczne. I teraz to właśnie oni doszli do porozumienia ze sobą, że mają na meczach reprezentacji wspólnie dopingować naszych zawodników, ponad podziałami klubowymi. I było widać w meczu z Holandią, że wszystko dobrze się układało, a piłkarzy niosło wsparcie fanów. Gdy wyszli po 63. minucie ze Stadionu Narodowego i po-

ściągali flagi, to każdy mógł posłuchać, jak ten doping wygląda – relacjonuje „Gazecie Polskiej" ks. Wąsowicz. Tak samo jak na Malcie, gdzie kibice urządzili kilkunastominutowy protest i przestali dopingować polskich piłkarzy. Widać było ogromną różnicę na stadionie – a warto zaznaczyć, że zaangażowanie fanów podobało się samym piłkarzom – Robertowi Lewandowskiemu czy Jakubowi Kamińskiemu.

Żywiołowy doping, w przeciwieństwie do standardowego, „piknikowego", jest obecny na wielu stadionach i nie tylko w Europie. Doświadczają go piłkarze Anglii, Turcji, Brazylii, Argentyny czy Islandii, której okrzyk wikingów „Huh" dosłownie niósł reprezentację w czasie Euro 2020. O tym, jak ważne jest wsparcie fanów, doskonale wiedzą gwiazdy Realu Madryt, które nie dokonywałyby w Lidze Mistrzów tylu historycznych remontad (odwrócenia niekorzystnego wyniku), gdyby nie pomoc Santiago Bernabéu. W Polsce jednak zaangażowanie społeczności kibicowskiej nie podoba się rządzącym, którzy – jak szef MSWiA Marcin Kierwiński czy były minister sportu Sławomir Nitras – uważają ją za element przestępczy.

„Do boju, Polsko" na Pałacu Prezydenckim. „To problem Nitrasa"

Nic dziwnego zatem, że za fanami reprezentacji wstawił się Karol Nawrocki. Przed ostatnim meczem eliminacji do mundialu z Maltą zablokowana oprawa została wyświetlona na Pałacu Prezydenckim. To gest w stronę kibiców – ważny o tyle, że społeczność ta ma wpływ na postawy młodych wyborców, a ci w 73 proc. deklarują poparcie dla głowy państwa. „Jeszcze niech zacznie race rzucać z okna" – nie krył irytacji Nitras na portalu X. Takich komentarzy polityków KO – w tym ostrzejszych – było wiele. – W każdym środowisku są różni ludzie, ja tam też według „Gazety Wyborczej" jestem tak naprawdę przestępcą, natomiast gdyby faktycznie takie osoby, o których mówił minister Marcin Kierwiński, przyszły kibicować reprezentacji Polski, to nie przeszłyby przez bramki na stadionie. Organizacyjnie to była po prostu kompletna kicha, zwykłych ludzi, małżeństw z dziećmi nie wpuszczano na mecz i nikt na to nie zareagował. To była po prostu ustawka i akurat główne zajścia z policją miały miejsce przy wejściu numer dwa na PGE Narodowy, którym podążali kibice prowadzący oprawę. Oni doskonale zdają sobie sprawę, w jaki sposób zostali oszukani – podkreśla ks. Wąsowicz. – To jest problem Sławomira Nitrasa, a nie prezydenta Karola Nawrockiego. Bardzo dobrze się stało, że zablokowana oprawa została uwieczniona na Pałacu Prezydenckim, wywołała ogólny entuzjazm, miliony wyświetleń w niektórych przypadkach i moc podziękowań za gest wyciągniętej ręki. Kibice stracili pieniądze, swój czas, poświęcili swoje zaangażowanie, chcieli, żeby impreza sportowa wyglądała pięknie, a zostali fatalnie potraktowani. Dlatego prezydent się za nimi wstawił – dodaje kapelan głowy państwa.

> ***Za fanami reprezentacji wstawił się Karol Nawrocki. Przed ostatnim meczem eliminacji do mundialu z Maltą zablokowana oprawa stadionowa została wyświetlona na Pałacu Prezydenckim.***

– Wiem na pewno, że zorganizowany doping podnosi piłkarzy na murawie. I buduje niesamowitą atmosferę na stadionie. Tak jak kiedyś Stadion Śląski był „Kotłem Czarownic", tak teraz można powiedzieć, że dzięki kibicom kadra narodowa zaczyna mieć takiego prawdziwego dwunastego zawodnika w meczach, które są rozgrywane w Warszawie. I jest to bardzo ważny element piłkarskiego święta – mówi Marcin Kawka ze Stowarzyszenia Kibiców Kolejorz (Lech Poznań).

– A dlaczego wszystko zmieniło się tak nagle? Mamy 2025 rok i po tylu latach kibice doszli do wniosku, że trzeba robić jakiś doping polskiej reprezentacji. Nie wiem, dlaczego akurat teraz tak się stało, ale jestem bardzo zadowolony z tego, że coś takiego ma miejsce, że taki doping się zaczyna. Chciałbym podkreślić, że takie zorganizowane wsparcie było na wyjazdach naszej reprezentacji. I co ciekawe, na naszych stadionach brakowało takiego dopingu. Teraz mecze wyglądają zdecydowanie ciekawiej – opowiada. – Ostatnio znowu wróciliśmy do dobrej atmosfery wokół reprezentacji narodowej, piłkarze odnoszą sukcesy, jest nowy selekcjoner, więc można się z kadrą narodową utożsamiać i świetnie by było, gdyby tego dopingu było więcej na stadionach – dodaje.

Niewykorzystana szansa PZPN

Z nieoficjalnych informacji wynika, że PZPN przestraszył się ewentualnej nagonki ze strony rządu, który najchętniej zmieniłby prezesa Cezarego Kuleszę. W tle są dawne umowy sponsorskie związku z firmą SportFive Poland, należącą do byłego funkcjonariusza SB, inwigilującego m.in. Jana Pawła II, Andrzeja Placzyńskiego. Dawny esbek (prywatnie dobry znajomy Zbigniewa Bońka), który został zatrzymany przez CBA w 2022 roku w śledztwie dotyczącym korupcji, chciałby wrócić do gry o wpływy w PZPN. Placzyńskiego nie akceptowało środowisko kibicowskie ponad podziałami. Kulesza powinien jednak pamiętać, że nawet uginanie się pod presją polityków nie zmieni jego notowań w środowisku obozu władzy, o czym świadczy choćby niedawny materiał TVN24 o umowach zwieranych przez PZPN.

– Po starciu z Holandią zaczęły się medialne przepychanki. Moim zdaniem w tych oświadczeniach wszyscy kłamią, włącznie z PZPN i policją, jedni na drugich spychają odpowiedzialność, tymczasem kibice zawsze dotrzymują słowa. Gdyby zaakceptowano oprawę i ludzie weszliby na stadion, race nie zostałyby rzucone na murawę Narodowego. Słychać było w pewnej chwili przyśpiewkę kibicowską: „Miała być oprawa, ale pali się murawa", i była to odpowiedź na to, co ich spotkało. Wybrano wojnę z kibicami piłkarskimi, podczas gdy PZPN miał rzadko spotykaną szansę, by stanąć po ich stronie i zyskać w oczach środowiska fanów polskiego futbolu. Związek nie wykorzystał tej szansy – uważa ks. Wąsowicz. **GP**

FELIETON

{ OKIEM KAPELANA / REFLEKSJE KIBICA }

ks. Jarosław **Wąsowicz** SDB

DO BOJU, POLSKO!

Mecz Polska–Holandia pod względem sportowym był jednym z lepszych, jakie przyszło nam oglądać w wykonaniu naszych orłów. Jednak tego dnia nie wydarzenia na boisku, lecz na kibicowskiej trybunie sprawiły, że w mediach wciąż pojawiają się na ten temat dyskusje. Wypowiedzieli się w tej sprawie już niemal wszyscy – od polityków, przez działaczy PZPN, po kibiców, którzy otrzymali największe ciosy, po raz kolejny oszukano ich i później dyskredytowano w wiadomych mediach. Warto więc uporządkować nieco fakty.

Od wielu lat doping na meczach reprezentacji Polski był przedmiotem drwin, humorystycznych dowcipów i internetowych memów. Pojawiło się nawet specjalne określenie na kibiców uczestniczących w tych sportowych zmaganiach naszych piłkarzy – „Janusze". Jak można najprościej scharakteryzować owo zjawisko tego typu kibiców reprezentacji? Bardzo prosto: „Janusze" zawsze na początku śpiewali głośno hymn, bywało, że kilka razy w trakcie meczu. Podczas zmagań na murawie najczęściej zabrzmiało też kilkakrotnie chóralne: „Polska, Biało-Czerwoni!", a jak przegraliśmy, tradycyjne: „Nic się nie stało, Polacy, nic się nie stało". Całe spotkanie z piwem lub popcornem w ręku, selfie na tle stadionu zrobione i do domu. Próbowano swego czasu nawet owych „Januszy" pobudzić przez spikera, który inicjował doping, wyświetlano na ekranach przyśpiewki, ale i tak niewiele to dało. „Janusze" pozostawali „Januszami". Tak przez lata wyglądała stadionowa rzeczywistość. Serce się krajało, że tak wygląda doping na meczach naszej reprezentacji.

Od wielu lat w środowisku kibicowskim dyskutowano, jak to zmienić. Najczęściej rozmawiano na meczach wyjazdowych, bo tylko tam pojawiały się ekipy z całej Polski. I dopingowały tak, żeby chociaż za granicą wstydu nie było. Po środowiskowej wymianie zdań powstało specjalne stowarzyszenie kibiców reprezentacji, które wzięło na siebie ciężar pertraktacji z PZPN, przygotowania opraw i dopingu, także rozmów i ustaleń z klubowymi środowiskami kibicowskimi. Coś drgnęło. Doping od kilku spotkań naszej drużyny był już niezły. Mecz z Holandią miał się stać przełomem.

Spotkanie rozgrywane trzy dni po Narodowym Święcie Niepodległości było okazją do wielkiej patriotycznej manifestacji. Niestety, zablokowano patriotyczną oprawę, która miała zostać zaprezentowana podczas spotkania. Policji przeszkadzał orzeł w koronie na tle narodowych barw i hasło: „Do boju, Polsko!". Nie pozwolono kibicom zbudować tzw. gniazda, czyli miejsca w sektorze na odpowiednim podwyższeniu dla prowadzących doping. Zabroniono także wnieść nagłośnienie, chociaż wszystko było dogadane na odpowiednim szczeblu. PZPN miał jedyną w swoim rodzaju okazję stanąć po stronie kibiców i jako organizator imprezy masowej, pomimo zakazu policji, wpuścić oprawę. Podreperować przez dekady zniszczoną w oczach piłkarskich fanów reputację. Niestety, tak się nie stało. Z tego, czego można było dowiedzieć się tu i ówdzie od uczestników pertraktacji, MSWiA zagroziło wyciągnięciem konsekwencji wobec związku w razie niezastosowania się do zakazu. No i PZPN wybrał szaleńczą i destrukcyjną drogę wyznaczoną przez podległych Kierwińskiemu funkcjonariuszy. A potem jedni i drudzy kłamali jak najęci we wszelkiej maści mediach.

Prawdopodobnie była to polityczna zemsta za antyrządowe hasła podczas meczu w Wilnie, gdzie premier usłyszał znane chyba wszystkim stadionowe przyśpiewki na swój temat. Mogła to równie dobrze być zwyczajna prowokacja, by kolejny raz uderzyć w środowisko kibicowskie. Wzniecić kolejne napięcia i podziały. Na to może wskazywać fakt, że dosłownie trzy dni później ukraińskim kibicom policja pozwoliła wnieść na stadion w Warszawie sektorówkę [dużą flagę wciąganą z dolnego sektora na górną część trybun – przyp. red.] o jednoznacznie politycznej wymowie. Przedstawiała ona ukraińskiego żołnierza na placu Czerwonym w Moskwie, na tle płonącej cerkwi Wasyla i baszt Kremla. Ukraińcom wolno wnieść bardzo mocną w swojej wymowie oprawę, Polakom w ich własnym państwie patriotycznej oprawy zaprezentować nie wolno. Trudno o lepszy motyw do kolejnego poróżnienia Polaków i Ukraińców, w interesie Rosji oczywiście.

> PZPN wybrał szaleńczą i destrukcyjną drogę wyznaczoną przez podległych Kierwińskiemu funkcjonariuszy.

W każdym razie Polscy kibice zostali sponiewierani, oszukani. Stracili czas, pieniądze, a przede wszystkim złudzenia, że jeśli się poważnie rozmawia, to zawsze się dotrzymuje danego słowa. W tej sprawie nikt z drugiej strony nie mówi prawdy albo całej prawdy – ani policja, ani PZPN. Tyle i aż tyle tytułem podsumowania. **GP**

FELIETON

{ PRZESZŁOŚĆ POWRÓCI IDEĄ }

KRÓTKA HISTORIA KPP

Tadeusz **Płużański**

28 listopada 1937 roku, w ramach wielkiego terroru, Józef Stalin podpisał dekret o „oczyszczeniu" Komunistycznej Partii Polski na terenie Związku Sowieckiego. „Oczyszczenie" oznaczało zamordowanie. Powód? Oficjalna propaganda mówiła o zinfiltrowaniu przez „agenturę piłsudczykowsko-peowiacką". Rzeczywistą przyczyną była rozprawa z konkurentami Stalina, tzw. starymi bolszewikami. Większość działaczy KPP uwięziono, zesłano do łagrów lub rozstrzelano. Przeżyli ci towarzysze, którzy przebywali w polskich więzieniach. Drugą grupą oszczędzonych byli aktywni szpiedzy Kremla w Polsce i funkcjonariusze aparatu NKWD. Komunistyczna Partia Polski – ekspozytura Międzynarodówki Komunistycznej (Kominternu) – istniała od 1918 roku przez pierwsze lata niepodległej Rzeczypospolitej pod nazwą Komunistyczna Partia Robotnicza Polski. Według wciąż niepełnych danych w okresie od kwietnia 1921 do końca 1924 roku bolszewickie bojówki przeprowadziły 260 ataków terrorystycznych. Z tego właśnie powodu władze II RP powołały Korpus Ochrony Pogranicza, rozbity dopiero 17 września 1939 roku podczas „wkroczenia", czyli agresji ZSRS. Oprócz penetrowania i rozbijania polskich posterunków i instytucji przygranicznych komuniści przygotowywali akcje wewnątrz naszego kraju. Polegały one na nasileniu strajków i demonstracji ulicznych, a z czasem na zwiększeniu terroru. Powód był prosty: wywołanie zamętu, a w konsekwencji rozpad II RP i zainstalowanie w niej – na drodze rewolucji – ustroju komunistycznego. Dwukrotnie próbowano zamordować marszałka Józefa Piłsudskiego. Druga Komunistyczna Partia Polski, założona w 1965 roku przez Kazimierza Mijala, polskiego maoistę (zwolennika chińskiego komunisty Mao Zedonga), w PRL była nielegalna, a istniała formalnie do 1996 roku. Trzecią KPP założyli w 2002 roku w Dąbrowie Górniczej towarzysze ze Związku Komunistów Polskich „Proletariat" (skrajnie lewicowy nurt dawnej PZPR). W tym samym roku partia została zarejestrowana w sądzie – mimo iż wprost nawiązuje do swojej poprzedniczki z II RP o tej samej nazwie. To jej delegalizacji domaga się teraz prezydent Karol Nawrocki. **GP**

FELIETON

{ PLAGI AKADEMICKIE }

KASOWANIE MYŚLĄCYCH INACZEJ

Józef **Wieczorek**

Nieraz słyszymy wypowiedzi rektorów, że istotą uniwersytetu jest dyskusja, debata, ale coraz częściej czytamy o wykluczaniu z dyskusji, odwoływaniu wykładów akademików o niewygodnych poglądach myślących inaczej. Ponoć tacy stanowią zagrożenie dla komfortu pozostałych – poprawnych akademicko. Widać istota uniwersytetu zanika. Uniwersytet przestaje być przestrzenią wolnej myśli i wymiany argumentów. Tak było w czasach komunistycznych z powodu zakazów/nakazów opresyjnego państwa zniewalającego obywateli, także akademickich. Dziś taki nadzór/dozór państwa nie jest już potrzebny. Sama latami formatowana społeczność akademicka trzyma się w ryzach poprawności, działając rzekomo w imię dobra wspólnoty. Jeśli się nie dopuszcza do głosu myślących inaczej, ograniczamy szansę na poznanie prawdy, ale chyba o to właśnie chodzi. Nie jest ona już potrzebna etatowym akademikom, zainteresowanym tylko stanowiskami, tytułami, a prawda może im tylko w tym przeszkadzać. Jeszcze pod koniec PRL młodzi ludzie potrafili protestować wobec kasowania niewygodnych, nonkonformistycznych akademików przez uległą wobec systemu „profesorię". Ostrzegali – jak się okazuje, proroczo – że takie metody nie wprowadzą nauki polskiej godnie w wiek XXI. Nadszedł wiek XXI, a godności uniwersytety zostały niemal pozbawione. „Profesoria" swoimi poczynaniami zdeprawowała tak swoich następców, że młodzież już się nie buntuje przeciwko odbieraniu innym głosu, a sama nie dopuszcza do głoszenia niewygodnych dla niej poglądów. Ostatnio taki przypadek miał miejsce na UJ, gdzie odwołano wykład znanego psychologa dr. Tomasza Witkowskiego „w trosce o komfort i bezpieczeństwo osób transpłciowych". Ideologicznie im nie odpowiadał. Studencka „policja myśli" nie pozwoliła, zastępując skutecznie policję partyjną. Zapytałem AI, co o tym sądzi. Odpowiedziała m.in.: „Uniwersytet bez sporu, bez ryzyka, bez prowokacji intelektualnej jest tylko elegancką szkołą ideologicznego konformizmu". Naturalna inteligencja takimi kategoriami już nie myśli. Osiągnięto ideał. **GP**

FELIETON

{ WRZUTKA }

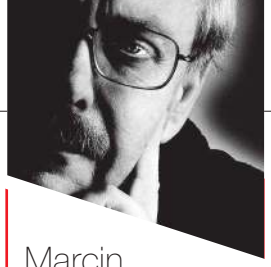

Marcin
Wolski
albicla.com/MarcinWolski

STRACHY PANI SZCZEPKOWSKIEJ

Od początku wiadomo było, że Karol Nawrocki będzie prezydentem niemalowanym. Otwarte pozostawało pytanie, kiedy dotrze to do jego przeciwników: Żurka z siekierą i jego szefa z pianą na ustach. Najzabawniejsze, że prezydent nie robi niczego nadzwyczajnego, a jedynie skrupulatnie realizuje swoje uprawnienia wynikające z konstytucji i obowiązujących ustaw. Nie będzie mianował ambasadorów, którzy od lat szkodzą sprawom Polski, nie będzie awansował sędziów, którzy sprzeniewierzyli się etyce zawodu, pozwalając się napuszczać na kolegów i upolityczniając sędziowskie togi ponad miarę, że aż chciałoby się zobaczyć, co jest pod spodem. Chwilowo wszystkie oczy zwrócone są na nowego rotacyjnego marszałka. Na razie towarzysz i jego lewicowa komórka nazywani są grupą rekonstrukcyjną PZPR-u, choć sam jak najusilniej się od tego odcina, twierdząc, że komunistów w Polsce nigdy nie było. Może się tu podeprzeć autorytetem pani Szczepkowskiej. Pamiętacie, jak przed laty w telewizji ogłosiła koniec komunizmu? Jak się okazało – przedwcześnie. „To miał być wpis radosny, na jaki zasługuje święto naszej ojczyzny" – stwierdziła na Facebooku. „Trudno mi jednak to pisać, kiedy za oknem, niedaleko swojego mieszkania, słyszę pijane krzyki niedobitków z marszu. Wrzeszczą i klną. (…) Dlaczego zresztą mają nie wrzeszczeć, jeżeli wrzeszczy »ich prezydent«? Hitler też wrzeszczał". Cóż, każdy widzi to, co chce widzieć. Ja widziałem międzypokoleniowe święto radości i dumy, choć obserwować było trudno, zwłaszcza gdy służby Trzaskowskiego wyłączyły światło na moście Poniatowskiego. A może to była tylko przymiarka? Wyłączyć światło podczas manifestacji, a potem wypuścić elementy chuligańskie i nieznanych sprawców. Ale tego się pani Joanna nie obawia. I dlatego jej współczuję. Nie dostanie ani Nobla, ani Orła Białego. Za to publiczność – ta ciemna, ksenofobiczna i nacjonalistyczna – prędzej czy później wyklaszcze ją ze sceny! **GP**

> Na razie towarzysz Czarzasty i jego lewicowa komórka nazywani są grupą rekonstrukcyjną PZPR-u.

FELIETON

{ MYŚLI NIENOWE }

Tomasz
Łysiak
albicla.com/TomaszLysiak

OBYWATELE Z PREZYDENTEM, PREZYDENT Z OBYWATELAMI

Z prawdziwym wzruszeniem odebrałem klimat i styl tego, w jaki sposób prezydent Karol Nawrocki podziękował Obywatelskiemu Komitetowi, który wysunął jego kandydaturę w wyborach prezydenckich. To ważna rzecz – mamy bowiem prezydenta naprawdę obywatelskiego. Gdy wypowiadamy słowo „obywatel", przypomina mi się okres walk o niepodległość 1914–1918. Wtedy właśnie środowiska związane z Józefem Piłsudskim, strzelcy, a następnie legioniści używali słowa „obywatel", zwracając się do siebie. Mówili na przykład: „obywatelu komendancie!", a nie „panie komendancie!". Miało to głęboko uzasadniony sens – przecież w okresie zaborów nie istniało państwo polskie, a zatem Polacy w różnych częściach zagrabionej ojczyzny posiadali obywatelstwo państw zaborczych. Nie mieli tego właściwego – polskiego. Za tym szło ważne pytanie, które niejeden wówczas sobie stawiał: co oznacza dla mnie bycie Polakiem bez państwa? Czy czuję jednak, że to państwo istnieje jako idea, do której mogę się odwołać? A zatem poczuć się obywatelem polskim i wyciągnąć z tego konsekwencje: czynić i działać tak, jak powinien czynić i działać obywatel polski? Wypowiadano więc słowo „obywatel" z naciskiem, z akcentem – bo gdy ono zawisło w powietrzu, to jakby się Polska nagle objawiła, pomimo tego iż jeszcze jej na mapach nie było. Podobnie rzecz się ma z obywatelskością obecnie – szukajmy jej sensów i wynikających z niej kontekstów. Tak bardzo więc cieszy, że mamy prezydenta, który znakomicie rozumie ideę obywatelskości, a sam czuje się głową państwa wyniesioną na najwyższy urząd właśnie ze wskazania i z woli obywateli. W całym tym zalewie niezbyt dobrych wiadomości, które nas otaczają w tym dość parszywiejącym świecie, dobrze jest widzieć błyski tego, co dobre i wartościowe: jak to, że obywatele z prezydentem, a prezydent z obywatelami. **GP**

> Tak bardzo cieszy, że mamy prezydenta, który znakomicie rozumie ideę obywatelskości.

Krzysztof
Wołodźko

Polska lumpenliberałów, CZYLI TUSK Z POPCORNEM W STRÓŻÓWCE Z DYKTY

Ultraliberalne siły polityczne przez dekady III RP przekonywały nas, że tanie państwo jest odpowiedzią na wszystkie wyzwania społeczno-gospodarcze. Koncepcja demoliberalnego końca historii, długoletnie bagatelizowanie imperialnych dążeń Rosji albo w pełni świadoma współpraca partii Donalda Tuska z reżimem Putina, korupcyjne interesy części staro-nowych elit pospołu prowadziły do demontażu państwa jako realnej siły sprawczej. Dziś, gdy mierzymy się z aktami dywersji i terroru, władza próbuje starej sztuczki – odwraca uwagę od własnych przewin i skupia atak na prezydencie Karolu Nawrockim.

PUBLICYSTYKA

Wiemy coraz więcej o akcie dywersji/terroru niedaleko stacji Mika w pobliżu wsi Życzyn (powiat garwoliński, województwo mazowieckie). Z kolejnych informacji medialnych wynika, że z trzech podłożonych ładunków dwa eksplodowały, a trzeci zawiódł. Co prawda wybuchł, ale nie spowodował takich zniszczeń, jakie chcieli spowodować Ukraińcy pracujących dla rosyjskich służb. Prawdopodobnie dzięki temu nie wykoleił się żaden z 12 pociągów, które przejechały po uszkodzonych torach. Eksplozja pod Garwolinem miała najprawdopodobniej na celu wysadzenie pociągu na trasie Warszawa–Dęblin – bardzo ważnej z militarnego punktu widzenia. Widać wyraźnie, że mamy do czynienia z kroczącą wojną hybrydową: następuje stopniowa eskalacja działań. Tylko sporemu łutowi szczęścia polskie społeczeństwo i obecna władza zawdzięczają to, że w ciągu ostatnich dwóch lat nie mieliśmy do czynienia z o wiele bardziej tragicznymi w skutkach zdarzeniami.

Atak wyprzedzający Sikorskiego

Jak reaguje polskie państwo rządzone przez liberalno-postkomunistyczną władzę? W środę, 19 listopada, minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski przypuścił z sejmowej trybuny gwałtowny, demagogiczny atak na prezydenta Karola Nawrockiego, oskarżając go wręcz o przygotowywanie gruntu pod polexit i bagatelizowanie rosyjskiej napaści na Ukrainę. Było to uderzenie wyprzedzające – dzień wcześniej niemałą krytykę opinii publicznej wzbudziło zaprzysiężenie Włodzimierza Czarzastego na marszałka Sejmu. Przemysław Czarnek przypomniał liderowi postkomunistycznej lewicy jego obrzydliwe, serwilistyczne wypowiedzi na temat Wojciecha Jaruzelskiego i emocjonalne potępienie Ryszarda Kuklińskiego. Dla Czarzastego – przypomnijmy – ten drugi jest zdrajcą, a ten pierwszy, jak się zdaje, mężem stanu. Równocześnie rząd musiał mierzyć się z falą niechętnych głosów po medialnym cyrku z popcornem i iście łukaszenkowskim w stylu rąbaniem drewna, jaki zafundowali rozbawionej gawiedzi Donald Tusk i minister sprawiedliwości Waldemar Żurek.

Okazało się, że gdy czołowi rządzący politycy usiłują jeszcze bardziej podkręcić skierowane przeciwko prawicowej opozycji emocje, po Polsce hasają dywersanci i terroryści, których działania mogły spowodować liczone w dziesiątkach lub setkach ofiar katastrofy kolejowe w kraju. Nie jest to jedyny moment, gdy rzeczywistość coraz mniej skutecznie puka do głowy zaślepionego pychą władzy Tuska. Tuż przed wrześniową powodzią w 2024 roku premier z wielką pewnością siebie ogłaszał suflowany z Niemiec pomysł na „demokrację walczącą". Efekt był nieciekawy. Skupiony na folgowaniu politycznej nienawiści lider dysfunkcyjnej koalicji zbagatelizował in-

FOT. TOMASZ JEDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

formacje o nadciągającej katastrofie i przedstawił zbyt optymistyczne prognozy rozwoju sytuacji. Jak się to skończyło, dobrze wiemy – zmyleni przez premiera ludzie z rejonów dotkniętych niszczycielską powodzią do dziś mierzą się z jej tragicznymi skutkami. Państwo z przemokłej dykty? Ale jakie uśmiechnięte!

Nocny stróż i ciężar historii

To wszystko ma znacznie szerszy kontekst. Ultraliberalny dogmat, który gorliwie praktykowano przez niemal całą III RP, głosił, że państwo nadaje się co najwyżej do roli nocnego stróża albo syndyka masy upadłościowej. Miało to najróżniejsze wymiary – gospodarczo dotyczył on wielkiej fali prywatyzacji i reprywatyzacji. Szybko się okazało, że w grę wchodzi nie tyle przestawienie narodowej gospodarki z trybu centralnego planowania na tryb mniej lub bardziej wolnorynkowy, lecz systemowe sprowadzenie polskiej gospodarki do rangi pośledniejszego podwykonawcy w łańcuchach globalnej gospodarki. Jestem nawet skłonny zgodzić się – zgłaszając szereg zastrzeżeń – z tezą korwinistów i neokorwinistów, że żadnego wolnego rynku w krystalicznie czystym wariancie nie było i nie ma. Realistyczna odpowiedź na ich obiekcję brzmi następująco: wielkiemu i mniejszemu kapitałowi nigdy nie zależało na ściśle wolnorynkowych zasadach, o wiele bardziej na monopolach i/lub wsparciu prywatnych firm publicznymi środkami i dobrze ukierunkowaną polityką państwa. I to jest stan normalny dla kapitalizmu, a nie żadne wolnorynkowe bajania. To casus nie tylko powojennych Niemiec, Francji, lecz także USA, Japonii, Korei Południowej i Chin – szczególny miks kapitalizmu i etatyzmu, zawsze uwzględniający kulturową specyfikę poszczególnych państw i narodów budował rynkową hegemonię najsilniejszych globalnych graczy. I tylko narodom półperyferyjnym ich własne kompradorskie elity skutecznie wmówiły, że kapitał nie ma narodowości. Takie poglądy czyniły z ludzi miarodajnych ekspertów w polskojęzycznych mediach – choć powinny ich skazywać na wyśmianie i marginalizację na rynku opinii.

Polska w momencie przekształceń ustrojowych, gdy sowiecki model gospodarczy przegrał globalny wyścig, także wsiadła do tego pociągu. Szybko się okazało, że prorynkowe hasła mają jeden główny cel: zrównać z ziemią to, co pozostało jako przemysłowe dziedzictwo PRL. Od polskich stoczni po lokalne zakłady przetwórstwa spożywczego, od wrocławskiej „Odry", produkującej rodzimy sprzęt komputerowy, po liczne zaawansowane jednostki techniczne – wszystko to wskutek kolejnych szybkich fal przekształceń własnościowych albo trafiało w ręce zachodniego kapitału, który zagospodarowywał to zgodnie ze swoją dobrą lub złą wolą, albo szło na zmarnowanie. To jest historia kapitalizmu po polsku opisana przez Witolda Kieżuna czy Jacka Tittenbruna. Tak zwana pułapka

średniego wzrostu, w którą wpadliśmy po wielkiej wyprzedaży majątku narodowego (tak mocno krytykowanej choćby przez Joannę i Andrzeja Gwiazdów), najbardziej negatywnie odbiła się na naszej innowacyjności. Ale skutkowała też czymś innym: kapitałowym przejęciem, które sprawiło, że zagraniczny biznes, naprawdę marnie opodatkowany, ciągnął z polskiej pracy i dobrego usytuowania logistycznego potężne zyski.

Gwaranci „gospodarki taniej montowni"

Patronami tego modelu ekonomicznego byli przede wszystkim liberalni i postkomunistyczni politycy. Platforma Obywatelska, dziś znana jako Koalicja Obywatelska, jest dziedziczką Balcerowiczowskiej koncepcji rozwoju przez degradację rodzimego kapitału jako rzekomo nazbyt obciążonego najpierw grzechami socjalizmu, a później ekonomicznego, prawicowego populizmu. I choć dzisiaj Donald Tusk lubi raz po raz napomknąć o repolonizacji gospodarki, to nawet jego wyborcy doskonale zdają sobie sprawę, że to PR-owska zagrywka, marketingowy humbug. Za swoich poprzednich rządów KO wraz z Polskim Stronnictwem Ludowym skutecznie torpedowały wszelkie przedsięwzięcia infrastrukturalne, zmierzające do wydobycia nas z energetycznej zależności od Rosji. Nie był to przypadek, nie była to wyłącznie kwestia żyrowania układów Merkel–Putin, lecz mocno osadzona w ustrojowych fundamentach III RP polityczna strategia postkomunistów, także tych, którzy ukryli się za chłopskim szyldem. Były to lata, w których nawet intelektualiści sprzyjający Tuskowi wskazywali, że mamy do czynienia z poważną zapaścią inwestycji i innowacji, że liberałowie ciągną gospodarkę jeszcze głębiej w koleiny „gospodarki taniej montowni".

Drugi element tej antyrozwojowej strategii, który tworzył potencjalne kłopoty w razie nadejścia trudniejszych czasów, opierał się na instytucjonalnym osłabieniu państwa. Bardzo mocno zwraca na to uwagę Ryszard Legutko w „Rekapitulacji", wskazując nie tylko na ideowe i kulturowe konsekwencje bezkrytycznego podejścia do liberalizmu. Odrzucenie etatyzmu jako naturalnej zasady, którą powinni kierować się odpowiedzialni politycy, sprawiło, że ultraliberałowie, politycznie doskonale usadowieni bodaj we wszystkich partiach politycznych ważnych w dziejach III RP, mogli niszczyć instytucje publiczne, zachowując synekury dla samych swoich. I znów – Koalicja Obywatelska okazała się dziedziczką balcerowiczowskiej strategii państwa minimum. Opowiadając nieustannie o biurokracji, administracyjnych przerostach, konieczności cięć etatów, odchudzania budżetów, reform i deform, ultraliberalni politycy na długie lata wyhamowali choćby rozwój polskiej kolei (dziś już po mapie kolejowej „nie widać rozbiorów": lepiej rozwinięte kolejowo regiony doszlusowały do standardów Kongresówki).

Choć Donald Tusk lubi raz po raz napomknąć o repolonizacji gospodarki, to nawet jego wyborcy doskonale zdają sobie sprawę, że to PR-owska zagrywka.

Tusk z popcornem w stróżówce z dykty

Na tym nie koniec: za poprzednich rządów Koalicji solidnie wzięto się za posterunki policji, placówki sanepidu (do kasacji poszło kilkadziesiąt laboratoriów epidemiologicznych, które bardzo przydałyby się w czasach pandemii). I oczywiście likwidowano jednostki wojskowe. W czasie narastających geopolitycznych napięć za rządów PO–PSL zlikwidowano na wschodzie kraju 1 Siedlecki Batalion Rozpoznawczy, 1 Warszawską Dywizję Zmechanizowaną im. Tadeusza Kościuszki w Legionowie oraz 3 Brygadę Zmechanizowaną Legionów im. Romualda Traugutta w Lublinie. Tłumaczono to oczywiście „odmienną sytuacją geopolityczną" i zasłaniano się polską obecnością w NATO. Jak skrajnie nieodpowiedzialne były to działania i retoryka, dzisiaj widzimy gołym okiem.

Ultraliberalna ideologia taniego państwa ma jeszcze jeden słony koszt. Odtwarzanie niezbędnych w czasie większych zagrożeń struktur bardzo dużo kosztuje. Nie chodzi wyłącznie o finanse. O wiele większym problemem są merytorycznie przygotowane kadry – specjaliści każdej branży doskonale wiedzą, jak cenna dla stawiających na rozwój firm jest zastępowalność pokoleń. To samo dotyczy administracji i instytucji, również tych, które działają na przecięciu usług publicznych i sektora prywatnego. Niszczenie ochrony zdrowia – co właśnie widzimy na własne oczy – już przynosi negatywne konsekwencje. W ostatnim czasie znów przybywa doniesień, że pielęgniarki wyjeżdżają z Polski do pracy do krajów skandynawskich. Brak kadr, coraz bardziej dojmujący, łatany coraz bardziej egzotycznymi pracownikami i pracownicami: tak jest właściwie w każdym sektorze życia gospodarczego i instytucjonalnego, po którym jak walcem przejechali się ultraliberałowie. Narodowi i europejscy ultraliberałowie mówią, że nie ma w tym nic złego, że przecież w rzeźni pracować może każdy. Ale Polska to nie czyjaś prywatna rzeźnia. Jednym z najtragiczniejszych skutków terapii szokowej jest potężna fala migracji zarobkowej z Polski, potężny odpływ ludzi pracowitych i zdolnych, dla których zbyt długo ojczysty kraj był skrajnie nieprzyjazny. Wyobraźmy sobie puste miejsca po polskich pracownikach na kolei, w szpitalach, w krytycznych sektorach administracji, w gospodarce narodowej, w wojsku. To dojmująco smutne wyobrażenie, a jego realny koszt to również dramatyczne wskaźniki demograficzne. Donald Tusk był przez lata jednym z autorów taniego państwa. I dalej mu ono w głowie. Dziś rozsiadł się przed telewizorem, szczuje na swoich politycznych przeciwników i podjada popcorn. Szkoda tylko, że to my żyjemy w stróżówce z dykty, w którą on i jemu podobni zmienili nasz kraj. **GP**

FELIETON

{ LUBIĘ DINOZAURY }

TO ICH WINA

Dawid **Wildstein**

Analiza reakcji w internecie na dywersyjne akty, jakich dokonali Rosjanie na terytorium Polski, pokazuje niebywale niebezpieczną dla Polski sytuację. Dominowały komentarze (aż 42 proc.) zrzucające odpowiedzialność za wysadzenie torów na Ukrainę. Trudno o lepszy dowód na to, jak mocno rosyjska propaganda jest w stanie wpływać na naszą przestrzeń informacyjną. Rzecz jasna część z tych komentarzy to rosyjskie boty, niemniej, niestety, podchwytują to także normalni użytkownicy internetu, często bez złej woli. To efekt braku zaufania do państwa, a także ośmieszenia samego tematu „rosyjskich wpływów". Pytanie, kto jest za to odpowiedzialny? A kto z Tomasza Piątka, ewidentnego paranoika, przy okazji cyngla Giertycha, zrobił medialny autorytet? Kto jego spiskowe, absurdalne manipulacje lansował w swoich mediach ile się dało? Kto Dukaczewskiego, powiązanego z rosyjskim GRU, namaścił na pierwszego bojownika walczącego z moskiewskimi agentami? Kto z kontaktów Rubcowa vel Gonzaleza zrobił ekspertów od rosyjskich wpływów? W końcu kto usiłuje od kilku lat zrobić z najbardziej antyrosyjskiej partii w Polsce, PiS, agenturę Putina? Takie przykłady można mnożyć w nieskończoność. Dodajmy jeszcze fakt, że ta władza świadomie dezinformowała obywateli, okłamywała ich. Przypomnijmy fejka o rzekomo zniszczonym przez rosyjski dron domu. Ta władza kłamała też, dopóki mogła, w sprawie ostatnich aktów dywersji – wysadzenie torów opisywała jako wydarzenie, do którego doszło bez udziału osób trzecich (jak widać, w uśmiechniętej Polsce metr szyn potrafi sam z siebie zniknąć), ewentualnie jako efekt zabawy jakichś żartownisiów. Jak widać, nikt nie zrobił tyle w sprawie ośmieszenia kwestii „rosyjskich wpływów w Polsce", ile zrobiła uśmiechnięta władza. Co gorsza, czyni to nadal, w pełni świadomie. Tylko w ten bowiem sposób może ukryć swoją przeszłą (w wielu aspektach jednak wciąż aktualną) prorosyjskość. Nietrudno się domyślić konsekwencji – coraz więcej Polaków, słysząc: „To Rosja", kojarzy to z kretynizmami Piątka czy Sikorskiego. Dziś więc Tusk i jego media zbierają plony tego, co sami zasiali i cały czas sieją. I – to najsmutniejsze – są zapewne z tego powodu zadowoleni. **GP**

Nikt nie zrobił tyle w sprawie ośmieszenia kwestii „rosyjskich wpływów w Polsce", ile zrobiła uśmiechnięta władza.

REKLAMA

FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

PODSTAWOWYM CELEM FUNDACJI JEST WSPIERANIE I PROMOWANIE KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ

BUDUJEMY SPOŁECZEŃSTWO OBYWATELSKIE

DANE DO PRZELEWU W POLSCE
74 2490 0005 0000 4500 8274 0046

DANE DO PRZELEWU Z ZAGRANICY
PL 41 2490 0005 0000 4600 2469 2784
SWIFT CODE – ALBPPLPW

TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ
FUNDACJA KLUBÓW GAZETY POLSKIEJ ul. Bracka 15 I piętro 31-005 Kraków

DZIĘKUJEMY
WWW.KLUBYGAZETYPOLSKIEJ.PL

Jakub
Maciejewski

KOPIŚCI SOWIECKICH wzorców

Jest wiele niestosownej przesady w eurosceptycznym porównywaniu Unii Europejskiej do Związku Sowieckiego, ale że w Brukseli siedzą też komuniści, socjaliści i sympatycy Sowietów – to już fakt. Teraz Unia chce zreformować europejską kulturę i kradnie wzorce od Andrieja Żdanowa, komunistycznego specjalisty ds. kultury i edukacji.

PUBLICYSTYKA

Zwłaszcza po pandemii brukselscy urzędnicy przyspieszyli z wprowadzaniem nowych porządków w każdej dziedzinie życia, a za pretekst służy im wszędzie troska o „odporność na przyszłe kryzysy". I tak oto od 2023 roku forsuje się w państwach koncepcję edukacji inkluzywnej, włączającej, zaś nad nauką poszczególnych krajów ma czuwać specjalny parasol ochronny, który de facto będzie pozwalał badaczom… kłamać. Trudno w to uwierzyć?

Gdy Christian Ehler, europoseł niemieckiej chadecji, przedstawiał Komisji Europejskiej raport na temat ochrony badań naukowych, apelował o specjalny status dla naukowców prześladowanych w swoich krajach. Za przykład w sprawie polskiej podał… krytykowanie prac Jana Grabowskiego i Barbary Engelking na temat Holokaustu w Polsce. Trudno nie widzieć tu politycznej ochrony dla autorów głoszących pożądane przez europejskie salony treści. Jak Stalin miał swoich pseudonaukowych ulubieńców ze szkoły Miczurina i Łysenki, którzy głosili, że geny nie istnieją, tak i Bruksela może mieć pseudobadaczy, którzy będą – nie Niemcom, a Polakom – przypisywali Holokaust.

Inkluzywność jako narzędzie unifikacji

Podobnym projektem, tyle że w dziedzinie edukacji, jest „Europejski obszar edukacyjny", który ma zmienić szkolnictwo na inkluzywne, czyli takie, które de facto będzie promować pozaeuropejskich imigrantów, nierozumiejących różnic kulturowych w obrębie UE. Po co uczyć o bitwie pod Grunwaldem, skoro dla małego Ahmeda z Syrii polskie i niemieckie rycerstwo będzie jednym i tym samym tworem, prawda?

Także ojczyzna światowego proletariatu zrównywała poziom – choć nie przez powszechne zaniżanie, ale przez punktowanie osób z rodzin robotniczych i chłopskich. „Włączano" zatem grupy społeczne odgórnym nakazem.

Nie trzeba dodawać, że Barbara Nowacka podjęła unijną koncepcję ze szczególnym zaangażowaniem, a brak prac domowych też jest przygotowaniem pod to ogólnokontynentalne obniżanie poziomu.

„Kompas kultury" – dokument bez definicji

Podobnie teraz minister kultury Marta Cienkowska wchodzi w rolę implementatorki kolejnych unifikacyjnych projektów Unii Europejskiej. O co więc chodzi w „Kompasie kultury", który został już zatwierdzony przez Glenna Micallefa, unijnego komisarza ds. kultury, młodzieży i sportu? „Jest to strategia długo oczekiwana przez sektor, instytucje, parlament i radę, ale co ważniejsze, przez artystów" – mówił urzędnik na początku listopada.

Zabawne, że na stronach internetowych czy w oficjalnych wypowiedziach urzędników tak naprawdę nie ma jednej kompletnej definicji, czym ten kompas jest. Wielostronicowe dokumenty toną w nowomowie podkreślającej, jak kultura jest ważna i jak trzeba ją wspierać.

„Kultura i dziedzictwo kulturowe stanowią fundamenty naszej tożsamości. Stanowią też fundamenty Unii Europejskiej rozumianej jako wspólnota wartości, głęboko osadzona w naszej bogatej historii" – czytamy w kolejnych opisach.

Aby pojąć sedno projektu, należy przekopać się przez rozwlekłą nowomowę i zapewnienia, by wyłuskać esencję sprawy.

Jedyny realny atut

Trzeba przy tym wskazać na pewien potencjał unijnego programu w zakresie nowych technologii. To, co Unii Europejskiej czasem wychodzi, to postawienie się międzynarodowym molochom technologicznym w stopniu, na jaki pojedyncze państwa narodowe nie miałyby szans.

Kiedy więc Micallef opowiada o wyzwaniach związanych ze sztuczną inteligencją, może mieć rację. Bruksela potrafiła na cyfrowych korporacjach wymusić ochronę danych osobowych albo zunifikować końcówki do ładowarek.

FOT. MACH-1-ART - STOCK.ADOBE.COM

Gdy podczas rządów Zjednoczonej Prawicy Ministerstwo Kultury próbowało wprowadzić podatek dla producentów technologii cyfrowych, który miał być przeznaczony na opłacanie na przykład składek ZUS dla artystów, lobbyści sprawną kampanią marketingową zablokowali ten projekt. Gdyby jednak Bruksela podjęła się analogicznej akcji, miałaby duże szanse ją wygrać.

Jaką kulturę ma wspierać UE?

Komisarz chce opracować rozwiązania, które pomogą przetrwać artystom wypieranym przez sztuczną inteligencję: grafikom, muzykom, ilustratorom. AI kompiluje także ich pracę – można więc to artystom jakoś wynagrodzić.

Choć przy takich projektach zapewne skorzystają też całe armie biurokratów, sama troska o kulturę mogłaby budzić uznanie. Trudno jednak zaufać kompasowi, który dyskretnie, podstępnie wskazuje nie tylko, jak wspierać kulturę, ale jaką kulturę wspierać.

Ideologia projektodawców jest lewicowa i podszyta ignorancją. Dokumenty zadaniują kulturę pod kątem użyteczności politycznej. „W czasach niepewności i zmian kultura wzmacnia naszą demokrację, spójność społeczną, konkurencyjność i odporność". Gdzie indziej autorzy zapewniają, że będą wspierać artystów, „uznając potencjał kultury do jednoczenia".

Ale skąd eurokraci wzięli te założenia? Przecież bogactwo kultury zawiera także odwrotne tendencje.

Unijny budżet na kulturę: kogo wyniesie, kogo pominie?

Nie wszystkie wartości narodowych kultur się tu pomieszczą i nie wszystkie będą mile widziane. Podobnie w tomach unijnych dokumentów nie ma wsparcia kultury religijnej, katolickiej, a przecież to ona stworzyła Europę. A Kościół nie jest ani demokratyczny, ani tolerancyjny – trudno oczekiwać, że sztuka sakralna otrzyma wsparcie.

Postulat podwojenia unijnego budżetu na kulturę w latach 2028–2034 oznacza transfer do ulubieńców politycznych salonów. Performerki malujące nago czerwone fallusy są bardziej „tolerancyjne i inkluzywne" niż powieści Wiesława Helaka demaskujące pułapki kosmopolityzmu.

Centralizm kulturowy

Tworzenie wielkiego budżetu, który zasili twórców o określonym profilu, przypomina leninowski centralizm demokratyczny. Sowieckie ministerstwa kultury też ogłaszały konkursy na prace uwzględniające socjalistyczne potrzeby – do dziś muzea i domy kultury w Rosji zawalone są wariantami portretów Lenina, robotnika czy kołchoźnicy.

Zwraca uwagę internacjonalizm projektu. Tymczasem kultura rozwijała się najczęściej w kontrze – nie w duchu „demokratycznego jednoczenia". Chopin pisał „Etiudę rewolucyjną" przeciw rosyjskiej dziczy. Pieśni ludowe z początku XX wieku bywają antyniemieckie. Epopeje filmowe i literackie to opowieści o walce z sąsiadami.

Ze względu na prawdziwą różnorodność to państwa narodowe powinny wspierać kulturę, która gdzie indziej może być niezrozumiała. A tymczasem unijny komisarz – maltański socjalista i ekonomista – ma stworzyć system finansowania tak zniuansowanej mozaiki ludzkiej twórczości, jaką są kultury narodowe. Z całego więc słowotoku tęgich unijnych głów wynika jeden wielki projekt kulturowej kontroli Brukseli nad różnorodnością państw narodowych. Jest już skandalem to, że projekty w Brukseli powstają w ciszy i bez rozgłosu, nie mając precyzyjnych definicji. Dalej już jest przewidywalnie – promowanie jednej wizji świata z narzucaniem mniejszym wspólnotom kierunku internacjonalistycznego.

A niestety jest to właśnie styl, który w 1945 roku opracował dla wszystkich państw komunistycznych jeden z ideologów ZSRS – Andrij Żdanow. W jego założeniach kultura miała być dotowana przez państwo sowieckie, dzięki czemu „różnorodność artystów" wielonarodowego imperium była pod kontrolą. Każdy lud i każda społeczność mogły różnić się w strojach i codziennych obyczajach, ale wszystkie musiały wspierać socjalizm i władzę komunistyczną. „Żdanowszyczna" co prawda walczyła z kosmopolityzmem, a unijna kultura ma ten kosmopolityzm wyznawać, ale w ogóle sam mechanizm tworzenia takich wytycznych jest po prostu przebrzmiałym despotycznym wzorcem. Co zabawne, twórcy europejskiego „Kompasu kultury" uznają, że europejskie dziedzictwo jest naprawdę wielkie i bogate – nie wyciągają jednak wniosku, że ta wybitność powstała bez odgórnego zarządzania urzędników zza biurka. **GP**

Mateusz
Matyszkowicz

Rosja i kamienie NA CHIŃSKIEJ PLANSZY

Zachód z niepokojem patrzy na rosyjsko-chińską współpracę, widząc w niej sojusz dwóch autorytarnych reżimów, skierowany przeciwko światu liberalnemu. Z naszej perspektywy najbardziej niepokojący jest fakt, że Chiny realnie podtrzymują rosyjską gospodarkę i przemysł wojenny, umożliwiając Moskwie dalszą wojnę przeciw Ukrainie. W analizach zachodnich pojawia się stały motyw: relacje chińsko-rosyjskie są asymetryczne, a Rosja staje się słabszym partnerem, gospodarczo i technologicznie zależnym od Pekinu.

PUBLICYSTYKA

Ale można spojrzeć na tę relację w sposób jeszcze bardziej radykalny – jako na sytuację, w której Rosja nie realizuje już własnego interesu strategicznego, lecz powoli wślizguje się w rolę narzędzia chińskiej gry. Nie „sojusznika", lecz funkcji w szerszej strategii działań Pekinu. Jeśli słowo „agent" brzmiałoby zbyt sensacyjnie, to tylko dlatego, że na Zachodzie brakuje nam odpowiedniej metafory: w języku chińskiej strategii jest to po prostu kamień, który w odpowiednim miejscu kładzie się na planszy, by zamknąć przestrzeń przeciwnika.

A żeby dobrze zrozumieć, co właściwie znaczy „być kamieniem na chińskiej planszy", trzeba wczuć się w chińskie kategorie myślenia.

Na Zachodzie gramy w szachy i uważamy, że to właśnie ta gra jest synonimem strategicznego myślenia. Uderzenie w centrum, niszczenie figur przeciwnika, szybkie rozpoznanie silnego i słabego punktu – to znajduje echo w filozofii wojny Clausewitza. Strategia, która zakłada, że wojna jest liniowym starciem dwóch woli politycznych i że wygrywa się przez złamanie tej drugiej.

W Chinach jest odwrotnie. Tam nikt z poważnych strategów nie myśli w kategoriach frontalnego przełamania. „Siła" nie jest wartością absolutną, lecz relacją dynamiczną. Stąd ich archetypiczną grą strategiczną nie są szachy, ale weiqi (na Zachodzie znane jako go).

W weiqi nie liczy się zbijanie pionów. Liczy się przestrzeń – jej zdobywanie, odcinanie, zamykanie, rozciąganie, modulowanie. Celem nie jest zniszczenie przeciwnika, lecz powolne ograniczenie jego możliwości, aż do utraty przez niego „qi", oddechu, zdolności do operowania na planszy. To właśnie miał na myśli David Lai w znakomitej książce „Learning from the Stones", czyli „Ucząc się od kamieni", pisząc, że Chiny „myślą planszą, nie figurą". Tak jak Clausewitz ma swój odpowiednik w zachodnim sposobie myślenia, tak weiqi jest myśleniem Sun Tzu: najskuteczniejsza wojna to ta, której nie trzeba toczyć.

Na Zachodzie gramy figurami, w Chinach gra się całą przestrzenią. Jak Chiny zatem zagrały przestrzenią i gdzie umieściły Rosję jako kamień? Zacznijmy od fuseki, czyli początkowego etapu gry w weiqi: fazy, w której nie chodzi o zdobywanie punktów, lecz o rozłożenie pierwszych kamieni, tak by w przyszłości móc rozwinąć dominującą pozycję. Fuseki to nie atak – to fundament sytuacji strategicznej, rozmieszczenie sił w narożnikach i na brzegach, która z czasem rozwija się na centrum planszy.

Fuseki w relacjach chińsko-rosyjskich zaczyna się w 1991 roku

Rozpad Związku Sowieckiego stworzył dla Pekinu coś, co w chińskich kategoriach można by nazwać „pustą planszą". Azja Środkowa przestała być nadzorowana przez imperium, Rosja stała się państwem w kryzysie, a Stany Zjednoczone były skupione na Europie i Bliskim Wschodzie.

Chiny, zgodnie z zasadą ze „Sztuki wojny", że największą przewagę osiąga się poprzez działania, „których przeciwnik nie dostrzega", rozpoczęły cichą dyplomatyczną ofensywę, zawierając z Rosją pierwsze kontrakty surowcowe w latach 1992–1995, kiedy same były izolowane po masakrze na placu Tiananmen. W 1996 roku stworzyły szanghajską piątkę (Chiny, Rosja, Kirgistan, Tadżykistan, Kazachstan) – format, który Zachód uznał za marginalny, ale dla Chin był otwarciem gry o środkową Azję, aż wreszcie w roku 2001 zawarto traktat o partnerstwie strategicznym z Rosją.

Z zachodniej perspektywy był to etap nudnej „normalizacji". Dla Chin była to natomiast kluczowa część fuseki. Bo w weiqi pierwsze kroki nie służą natychmiastowemu zyskowi, lecz stworzeniu architektury przyszłego potencjału („shi"). Fuseki two-

rzy ramę całej gry – jeśli rozmieścisz się właściwie, późniejsze ruchy będą wymuszone przez samą strukturę planszy.

Geometria pola sprzyja Pekinowi

Po Krymie Chinom samo się układa. To dokładnie ten moment, w którym zaczyna działać shi – sytuacyjny potencjał, konstelacja korzystnych napięć. Shi nie jest siłą w sensie zachodnim; to raczej układ pola, który skłania zdarzenia do określonego biegu. W 2014 roku Rosja, pragnąca powrotu imperialnej chwały, dokonuje aneksji Krymu. W logice Moskwy jest to ruch z kategorii frontalnego uderzenia – dalej w stronę Europy, wciąż w tym samym kierunku, w którym od dwóch dekad próbowała odbudować swój wpływ.

Ale konsekwencje geopolityczne są dla niej zabójcze, choć jeszcze niewidoczne: międzynarodowa izolacja zaczyna wpychać Rosję w objęcia jedynego dużego partnera, który wciąż chce z nią robić interesy.

I w tym miejscu działa shi – Chiny nic nie robią, a sytuacja sama pracuje dla nich. Dla Pekinu to podręcznikowy przykład tego, co Sun Tzu nazywa „wygraniem wojny bez bitwy". Rosja już w 2014 roku przyjmuje rolę państwa zależnego od chińskich kredytów, inwestycji, technologii i – przede wszystkim – od eksportu surowców, które musi sprzedawać z coraz większym rabatem. Wtedy zawierane są wieloletnie umowy energetyczne, transgraniczne projekty infrastrukturalne, a Pekin po raz pierwszy zaczyna negocjować z pozycji absolutnie dominującej. W weiqi jest na to termin: związanie ręki.

Nie chodzi o zniszczenie przeciwnika, lecz o zawężenie jego możliwości, aż pozostaną mu tylko ruchy korzystne dla gracza dominującego. Geometria pola sprzyja Pekinowi. Wytrawny gracz w weiqi od razu widzi, kto kontroluje sytuację: ten, kto ma więcej przestrzeni, nie ten, kto robi bardziej spektakularne ruchy.

I co najważniejsze: Rosja na tym etapie nie potrafi tego odczytać. Brnie dalej. Dokonuje pełnoskalowej agresji na Ukrainę.

Rosja – peryferyjny kamień

W przeciwieństwie do Chin, które prowadzą rozgrywkę na pełnej planszy, Rosja stosuje strategię prymitywnie jednowymiarową – to marsz do przodu, obsesyjny ruch w stronę fetyszyzowanej przez samą Rosję Europy Zachodniej. Zachód to jej wróg, a zarazem mokry sen ubogiego krewnego z prowincji. Kilometr za kilometrem. W zachodniej metaforyce mogłoby to wyglądać jak ambitne posunięcie; w chińskiej logice jest to samobójstwo strategiczne. Gracz, który idzie tylko w jednym kierunku, traci całą resztę planszy, nie widząc, że jego własne terytorium staje się coraz bardziej odsłonięte i zależne.

W tym momencie Rosja przestaje być dla Chin partnerem, a staje się peryferyjnym kamieniem – elementem układu sił położonym na obrzeżu planszy, który ma jedno zadanie: wiązać uwagę i zasoby przeciwnika, tak by Pekin mógł swobodnie rozkładać kolejne piony na globalnej planszy. W logice weiqi takie peryferium nie jest samodzielnym graczem; to narzędzie kontroli przestrzeni, wykorzystywane do odciągania zachodnich sił w jednym kierunku, podczas gdy właściwa gra toczy się gdzie indziej.

Dla Chin sytuacja układa się idealnie: Rosja, coraz słabsza strukturalnie, ale jednocześnie owładnięta własnym fantazmatem imperialnego powrotu, sama kontynuuje ruchy, które pogłębiają jej zależność od Pekinu. Chiny pozostają chłodne, zdystansowane, kalkulujące; Rosja – przeciwnie, działa w logice obsesji, szarżuje w jednym kierunku, nie zauważając, że każdy jej ruch tylko wzmacnia chiński układ.

Dla Polski to układ śmiertelnie niebezpieczny: Rosja, choć globalnie coraz bardziej marginalna i funkcjonalnie podporządkowana chińskiej strategii, pozostaje aktywnym zagrożeniem w naszym bezpośrednim otoczeniu. Wewnętrzne szaleństwo jej zachodniej ekspansji – tak korzystne dla Pekinu – czyni nas krajem przyfrontowym, podczas gdy Chiny z zimną krwią obserwują, jak Rosja rozprasza siły Zachodu, biorąc na siebie koszty konfrontacji, których Pekin nie musi ponosić.

Rosja gra wojnę – Chiny grają planszę. Dla nas kluczowe jest, by ta gra nie zakończyła się po myśli Pekinu. Może się to zdarzyć tylko w dwóch wypadkach: gdy chińska kroplówka okaże się zbyt słaba, by podtrzymać rosyjski wysiłek wojenny, albo gdy Stany Zjednoczone wciągną Chiny w tak intensywną rywalizację ekonomiczną lub na Pacyfiku, że Pekin straci z oczu europejski fragment planszy, pozwalając Rosji opaść z sił na naszych oczach. **GP**

FOT. POOL/ABACA / ABACA PRESS / FORUM

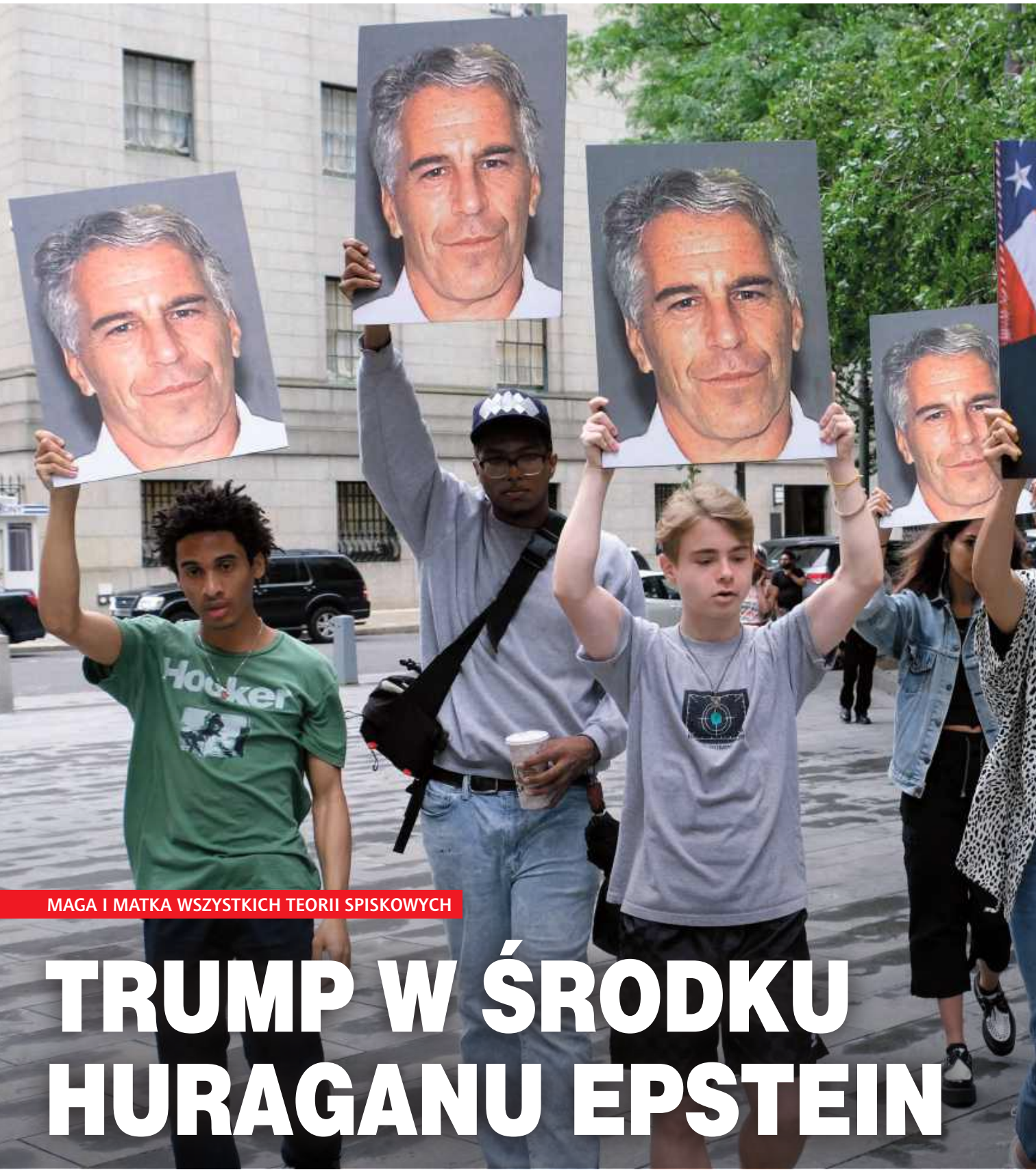

MAGA I MATKA WSZYSTKICH TEORII SPISKOWYCH

TRUMP W ŚRODKU HURAGANU EPSTEIN

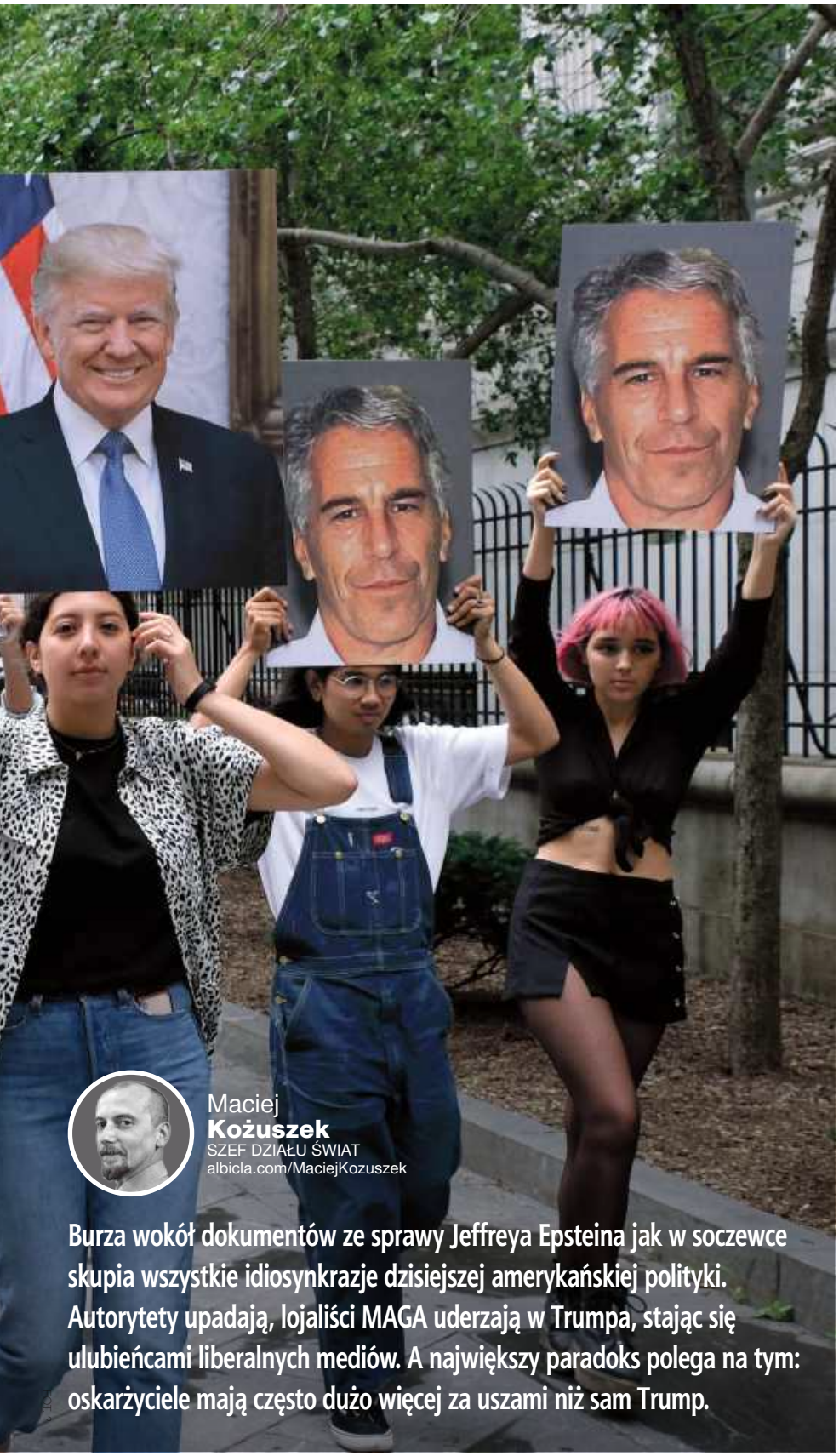

Maciej
Kożuszek
SZEF DZIAŁU ŚWIAT
albicla.com/MaciejKozuszek

Burza wokół dokumentów ze sprawy Jeffreya Epsteina jak w soczewce skupia wszystkie idiosynkrazje dzisiejszej amerykańskiej polityki. Autorytety upadają, lojaliści MAGA uderzają w Trumpa, stając się ulubieńcami liberalnych mediów. A największy paradoks polega na tym: oskarżyciele mają często dużo więcej za uszami niż sam Trump.

Nie wiedziałem, że to sięga tak wysoko" – mówi zwolennik teorii spiskowych, po tym jak trafia do nieba, a Bóg wyjaśnia mu, że Kennedy'ego zabił Lee Harvey Oswald. To musi sięgać wysoko, bo teoria jest po to, by jedno zjawisko było kluczem do wszystkiego, co jest nie tak ze światem, w którym żyjemy. Tak jest ze sprawą Jeffreya Epsteina, milionera i kiedyś ulubieńca liberalnych salonów, który z przestępstw seksualnych, dokonywanych także na nieletnich, uczynił obrzydliwy sport wyczynowy. Trump, o którym nikt nie powiedziałby pewnie, że jest przykładem wzoru moralności, szczególnie jeśli chodzi o relacje damsko-męskie, akurat w swoich relacjach z Epsteinem zachował się bardziej moralnie niż dziesiątki innych. Publikowane przez liberalne media sensacje okazują się kapiszonami i bledną w porównaniu z rewelacjami na temat innych uczestników dramatu.

Ale prezydenta trzeba było do sprawy włączyć, bo bez tego traciłaby ona moc wyjaśnienia wszystkiego. Dla Marjorie Taylor-Greene, kiedyś zatwardziałej lojalistki prezydenta, związek Trumpa z Epsteinem wyjaśnia, dlaczego USA uczestniczyły w uderzeniu na instalacje nuklearne Iranu. Dokumentów śledztwa jest tyle, że każdy znajdzie coś dla siebie. Nic dziwnego, że autorka teorii, że pożary w Kalifornii mogły być spowodowane „żydowskimi laserami kosmicznymi", też nie miała z tym problemu.

Saga Epsteina i „wina Trumpa"

Warto prześledzić kluczowe daty w sprawie Epsteina, bo one pokazują też, dlaczego robienie z Trumpa wspólnika w zbrodni nie trzyma się kupy. Pierwsze śledztwo w sprawie molestowania seksualnego rozpoczęło się w 2005 roku, rok później sprawę przejęło FBI. W 2008 roku Epstein poszedł na układ z prokuraturą, który potem będzie wzbudzał wiele kontrowersji. Dwa zarzuty, do których przyznaje się Epstein, dotyczyły uczestnictwa w prostytucji, w tym nakłaniania do prostytucji osoby nieletniej. To kluczowa data, bo można założyć, że od 2008 roku wiedza o przestępstwach seksualnych milionera trafia do opinii publicznej, a na pewno wiedzą o niej członkowie liberalnej socjety, w której Epstein odgrywał eksponowaną rolę. W 2018 roku

sprawa powraca, w 2019 roku sąd uznaje, że prokuratorski deal z 2008 roku naruszał prawa ofiar, Epstein trafia do aresztu, gdzie 10 sierpnia 2019 roku zostaje odnaleziony martwy. Do wszystkich pytań w sprawie, którymi żyje Ameryka, dołącza kolejne: czy naprawdę było to samobójstwo?

Trump znał Epsteina, spotykał się z nim, a nawet wymieniał listy. W latach 1993–1997 w sumie siedem razy był pasażerem prywatnego odrzutowca milionera. W dokumentach z majątku Epsteina publikowanych w tym roku znajduje się kartka urodzinowa z 2003 roku, którą najprawdopodobniej Trump (prezydent zaprzecza) wysłał Epsteinowi. Na kartce jest rysunek, który „New York Times" nazwał „pornograficznym obrazkiem kobiety" (ang. „sexually explicit"). Ale obrazek składa się z czterech kresek, dwie są obrysem kobiecego torsu, dwie zaznaczają piersi. Rysunek można byłoby bez problemu i bez cenzury pokazać o każdej porze w telewizji, a rodzice dziesięciolatka nie byliby chyba specjalnie zaniepokojeni, gdyby taki bazgroł znaleźli w zeszycie swojej pociechy.

Ostateczne zerwanie relacji Trumpa z Epsteinem miało nastąpić w 2004 roku albo najpóźniej w 2007 roku, w każdym razie przed rokiem 2008. Problemem są tu jednak nie tylko daty, ale też fakt, że jedynym źródłem, które obciąża Trumpa, jest sam Epstein. Wspomniany „New York Times" opublikował „bombę" opartą na ujawnionej teraz komunikacji milionera. W jednym z maili z roku 2011 Epstein stwierdza, że Trump spędził „godziny" w jego domu w towarzystwie „jednej z ofiar". Nazwisko ofiary zostało ocenzurowane przez demokratów z Izby Reprezentantów. Wcale nie chodziło jednak o troskę, bo tą rzekomą ofiarą była osoba, która już wcześniej wielokrotnie występowała pod nazwiskiem: Virginia Giuffre. W 2016 roku Giuffre złożyła zeznania pod przysięgą, a potem napisała pamiętnik, w którym jasno stwierdza, że „nigdy nie widziała, by prezydent Trump uczestniczył w tym, co się działo", a w nielicznych interakcjach, które z nim miała, zachowywał się bez zarzutu. Zresztą Trump wykluczył w 2007 roku Epsteina z listy członków swojego klubu w Mar-a-Lago. Według dokumentów jednej ze spraw Epsteina z 2011 roku decyzja obecnego prezydenta była związana z próbą molestowania, której miał dopuścić się Epstein na terenie klubu.

Bradley Edwards, adwokat, który reprezentował wiele ofiar Epsteina w sprawie z powództwa cywilnego, stwierdził w 2019 roku, że gdy podczas budowania sprawy szukał informacji wśród byłych znajomych, Trump był wyjątkiem, bo był „jedynym, który z własnej woli chciał pomóc".

Bitwa o schedę MAGA

Lektura nowych doniesień o sprawie Epsteina może sprawiać wrażenie współczesnego „Dekameronu" albo „Niebezpiecznych związków" (przynajmniej zanim ten tytuł był kojarzony z dziełem de Laclosa o francuskiej arystokracji, a nie nazwą programu średnio utalentowanej dziennikarki). Larry Summers, główny doradca ekonomiczny Obamy, profesor Harvardu i główny ekonomista Banku Światowego w latach 1991–93, prowadził ożywioną korespondencję z Epsteinem, właściwie do dnia jego aresztowania w 2019 roku. Jej najbardziej obrzydliwy moment to ten, gdy Summers w latach 2017–2018, a więc 10 lat od momentu, gdy wiedza o pedofilii Epsteina była publiczna, szuka porady ws. romansu ze swoją dużo młodszą podwładną. Epstein udziela szczegółowych wskazówek, a podstarzały i żonaty profesor pyta nawet wykolejeńca z Florydy, jak ten ocenia szansę, że jego relacja z podwładną „zakończy się horyzontalnie".

Człowiek z duszą w miarę uporządkowaną chciałby się od tego trzymać jak najdalej. Problem jednak w tym, że tzw. obyczajówka, szczególnie w polityce, nigdy nie jest tylko obyczajówką. Dla demokratów i ich medialnych przyjaciół sprawa Epsteina jest kontynuacją wieloletniego projektu uderzania w Trumpa i „odbierania godnościowych podstaw prezydentury" – jak to się nazywało w Polsce. Osobna dynamika obecna jest w Partii Republikańskiej. Co ciekawe, w Trumpa uderzają dzisiaj ci, którzy w polityce i mediach swoje powodzenie zawdzięczają zmianom, które przyniosła ze sobą jego epoka. Jest to w jakimś sensie zrozumiałe. Donald Trump za nieco ponad dwa lata nie będzie już prezydentem. Co mogłoby być większym dowodem na to, że ktoś jest prawdziwym następcą idei MAGA, niż pokazanie, że zachowaliśmy się bezkompromisowo, nawet w momencie, gdy lider ruchu dał się wciągnąć w niebezpieczny układ z zepsutymi elitami. Kontekst jest jeszcze szerszy, skrzydło nacjonalistyczno-izolacjonistyczne, które reprezentują na przykład Taylor-Greene, Tucker Carlson czy Steve Bannon, chciałoby przesterować tory polityki zagranicznej USA na takie, które byłyby bliższe ich ideom. Poparcie dla Izraela i aktywna polityka Trumpa na Bliskim Wschodzie są tu głównym punktem zapalnym. A jakieś tajemnicze związki z Izraelem nie są dodawane tylko do sprawy Epsteina. Bliska tej frakcji Candace Owens stwierdziła wprost, że Charlie Kirk, który sam określał się mianem „chrześcijańskiego syjonisty", krótko przed śmiercią zmienił swój stosunek do Izraela i dlatego został przez Izrael zabity.

Trump gasi pożar

Trump, który w ostatniej chwili zmienił zdanie i wobec buntu na pokładzie opowiedział się za kongresowym projektem ujawnienia „dokumentów Epsteina", jak na razie opanował pożar. Zresztą w epoce Trumpa los zwykle nie jest łaskawy dla niewczesnych buntowników, którzy wczoraj byli najwierniejszymi z najwierniejszych. Bo to gra, w której mistrz jest jeden. Marjorie Taylor-Greene już została nazwana przez Trumpa „zdrajczynią" (Marjorie Traitor-Greene), a akurat, patrząc kategoriami MAGA, to przezwisko jest wyjątkowo trafne. Bo Greene zawarła sojusz z demokratami, nie tylko głosując z nimi w Kongresie, ale odbywając rundkę po wszystkich świątyniach liberalnego uniwersum medialnego. CNN, ABC News, CBS News, NPR – wszystkie gościły i ze zrozumieniem wysłuchiwały racji kobiety, która jeszcze niedawno opowiadała o ukrytych w kosmosie żydowskich laserach. To raczej materiał na amerykańskiego Giertycha w spódnicy, a nie Trumpa 2.0.

Zresztą, Steve Bannon, który także gościł Taylor-Greene i domagał się, by Trump nie chronił zepsutych elit, tuż przed ponownym skazaniem Epsteina w 2019 roku, wymienił z nim setki maili i wiadomości tekstowych, czasem po kilka jednego dnia. Bannon kibicował Epsteinowi i dodawał mu otuchy, gdy sąd decydował, czy jego umowa z 2008 roku zostanie unieważniona. Ten drugi z kolei doradzał temu pierwszemu w jego problemach prawnych, w sprawach wizerunkowych, a także w tym, jak opisywać medialnie najważniejsze sprawy polityczne. **GP**

REPUBLIKA

Jak pobudka, to tylko z nami! Zapraszamy do Republiki na pierwszy program śniadaniowy w Polsce! Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny. **Zapraszają Ilona Januszewska i Karol Kus.**

Od poniedziałku do piątku

5:30

sobota i niedziela

7:05

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

Stany Zjednoczone mają wystarczająco dużo powodów, by militarnie zaangażować się w Nigerii. Na północy kraju panuje szariat, a dżihadyści różnej maści i zwykli bandyci mordują i palą. Głównie ofiarą padają chrześcijanie. Władze federalne nie radzą sobie z islamskimi rebeliantami, których wciąż przybywa – choćby z sąsiednich krajów Sahelu – i są coraz groźniejsi. Sam prezydent Nigerii woli zaś układać się z Francją i Chinami.

INTERWENCJA USA W NIGERII?

SKĄD ZAINTERESOWANIE TRUMPA AFRYKĄ ZACHODNIĄ

FOT. AFOLABI SOTUNDE / REUTERS / FORUM

STOP PRZEMOCY!

Sekretarz obrony USA Pete Hegseth stwierdził wprost, że „zabijanie niewinnych chrześcijan w Nigerii – i gdziekolwiek indziej – musi natychmiast się skończyć”.

Antoni **Rybczyński**

31 października prezydent USA Donald Trump polecił swojemu gabinetowi umieścić Nigerię w kategorii „krajów budzących szczególne obawy” (CPC) i w razie potrzeby opracować plany „zbrojnej interwencji”. Podstawowym powodem jest fatalna polityka rządu Nigerii w zakresie ochrony chrześcijan przed terrorem dżihadystów. Od ponad 15 lat Nigeria boryka się z wieloma problemami związanymi z brakiem bezpieczeństwa, od dżihadyzmu w basenie jeziora Czad i starć między rolnikami a pasterzami w Pasie Środkowym po walkę separatystów we wschodniej części kraju i bandytyzm w północno-zachodniej części kraju, które pochłonęły setki tysięcy ofiar i spowodowały wysiedlenie milionów ludzi.

Zatrzymać rzeź chrześcijan

Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, a zwłaszcza potężny lobbing chrześcijańskich organizacji oraz wytrwałe działania takich polityków jak senator Ted Cruz, decyzja Trumpa była tylko kwestią czasu. Należy pamiętać, że o sytuację chrześcijan w Nigerii pytał już w pierwszej kadencji. Prezydent Muhammadu Buhari w Białym Domu usłyszał wprost: „Dlaczego zabijacie chrześcijan w Nigerii?”. W grudniu 2020 roku, powołując się na „przemoc na tle religijnym w Nigerii, a zwłaszcza zabijanie i prześladowanie chrześcijan”, administracja po raz pierwszy wyznaczyła Nigerię jako CPC, ale prawie rok później, w listopadzie 2021 roku, administracja Bidena cofnęła tę decyzję. Po ponownym objęciu urzędu przez Trumpa w tym roku nasiliły się apele o uznanie Nigerii za kraj łamiący wolność religijną, od jednogłośnej rekomendacji dwupartyjnej Komisji ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej (USCIRF) w marcu po ostatnie projekty ustaw w Kongresie autorstwa senatora Cruza i kongresmena Marlina Stutzmana z Indiany. W liście z 15 października do Trumpa, podpisanym przez 35 przywódców organizacji chrześcijańskich, wezwano prezydenta do odrzucenia „neomarksistowskiej” i „woke” argumentacji, że ataki pasterzy Fulani na głównie chrześcijańskich rolników są spowodowane zmianami klimatycznymi i konkurencją o ograniczone zasoby. W szczególności administracja USA chce ukarać gubernatorów 12 północnych stanów Nigerii, w których obowiązuje prawo szariatu. Chociaż islam dotarł tu około IX wieku, prawo szariatu zaczęto wprowadzać dopiero w 1999 roku. Teoretycznie prawo szariatu ma zastosowanie tylko do muzułmanów, ale wielu chrześcijan twierdzi, że otwiera ono furtkę do prześladowań religijnych.

Trzy scenariusze

Mając to wszystko na uwadze oraz biorąc pod uwagę polecenie prezydenta Trumpa skierowane do Departamentu Wojny, aby „przygotować się do ewentualnych działań”, a także entuzjastyczne poparcie sekretarza obrony Pete’a Hegsetha, który stwierdził, że „zabijanie niewinnych chrześcijan w Nigerii – i gdziekolwiek indziej – musi natychmiast się skończyć”, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Trump w najbliższych tygodniach wyda rozkaz podjęcia działań wojskowych w Nigerii, których formę i czas trwania trudno przewidzieć.

„The New York Times” twierdzi, że Dowództwo Stanów Zjednoczonych w Afryce (AFRICOM) opracowało trzy scenariusze. Warianty określono jako lekki, średni i ciężki. Opcja lekka – to lądowanie wojsk amerykańskich w Nigerii i wspólne z siłami nigeryjskimi eliminowanie dżihadystów z Boko Haram i innych islamskich rebeliantów, którzy porywają i mordują cywilów na północy i wschodzie kraju. Jest ona mało prawdopodobna ze względu na rozległy i bardzo trudny teren, gdzie siły te musiałyby operować. Opcja średnia polegałaby na wykorzystaniu dronów, takich jak MQ-9 Reaper i MQ-1 Predator, do niszczenia obozów bojowników, ich baz i konwojów. I ten wariant ma słabe strony, ponieważ wojsko amerykańskie w sierpniu ubiegłego roku musiało opuścić dwie położone najbliżej Nigerii bazy dronów, w Agadez

i Niamey, w sąsiednim Nigrze. Trzecią z przekazanych Kolegium Połączonych Szefów Sztabów w Pentagonie opcją byłoby rozmieszczenie grupy lotniskowców w Zatoce Gwinejskiej oraz wysłanie myśliwców i prawdopodobnie bombowców dalekiego zasięgu do przeprowadzenia uderzeń na kryjówki bandytów korzystających z osłony gęstych lasów porastających północną Nigerię. Wariant ten wymagałby ścisłej współpracy z nigeryjskim wywiadem, który dotychczas nie radził sobie w walce z bandytami i terrorystami. Ekstremiści z Prowincji Afryki Zachodniej Państwa Islamskiego (ISWAP) ostrzegli już swoich bojowników, aby poważnie potraktowali groźby amerykańskiej inwazji, i poradzili im, aby starali się nie korzystać ze smartfonów i unikali dużych zgromadzeń.

Islamski terror w Nigerii

Nigeria, największa demokracja w Afryce (240 mln mieszkańców), jest krajem wieloetnicznym i wielowyznaniowym, którego północna część zamieszkana jest głównie przez muzułmanów, a południowa – głównie przez chrześcijan. Chociaż zdecydowana większość muzułmanów żyje w pokoju ze swoimi sąsiadami, kraj ten od lat zmaga się z rebelią dżihadystów. Według organizacji non profit ACLED w okresie od stycznia 2020 do września 2025 roku w kraju odnotowano 20 409 ofiar śmiertelnych w wyniku 11 862 ataków na ludność cywilną. Głównym wrogiem jest Boko Haram, grupa terrorystyczna założona w 2002 roku. Nazwa oznacza „zachodnia edukacja jest zakazana". Boko Haram jest najbardziej znane z porwania 276 uczennic ze szkoły w Chibok 15 kwietnia 2014 roku. Dwa lata później doszło do rozłamu i wyłoniła się frakcja, która złożyła przysięgę lojalności ISIS. Tak powstała ISWAP. Od kilku lat obie grupy zaciekle walczą o kontrolę nad obszarami północno-wschodniej Nigerii. Niedawno zginęło około 200 osób w bitwie w Dogon Chiku, w miejscu, gdzie zbiegają się granice Nigerii, Nigru i Czadu.

Przez zbyt długi czas kolejne administracje Nigerii traktowały rebelię Boko Haram lekceważąco, pozwalając tej grupie szerzyć terror w północnych i środkowych regionach kraju. Toleruje się również nieustanne ataki skierowane wyłącznie przeciwko chrześcijańskim rolnikom ze strony muzułmańskich pasterzy z plemienia Fulani, którzy wydają się zdecydowani na siłową islamizację Środkowego Pasa (pas prowincji oddzielających islamską Północ od reszty kraju). Boko Haram i ISWP w północno-zachodniej Nigerii to nie jest jedyny problem. Grupa Mahmuda – kolejny odłam Boko Haram – przeniosła się do środkowej części kraju i atakuje wioski w stanach Kwara i Niger. Z kolei północny wschód kraju terroryzują grupy określane wspólnym mianem Lakurawa („rekruci"), bo początkowo byli najęci przez lokalne społeczności do ochrony przed zbrojnymi bandami łupiącymi wsie. Potem sami zaczęli to robić. Podejrzewa się, że Lakurawa nawiązała kontakty z bojowymi grupami islamskimi w regionie. Jakby tego było mało, na scenę wkroczył kolejny aktor. Święcący dotąd sukcesy w Mali, Nigrze i Burkina Faso bojownicy z regionalnej filii Al-Kaidy, czyli JNIM, przeprowadzili 28 października pierwszy w historii atak na terenie Nigerii, przy granicy z Beninem. Już w czerwcu JNIM ogłosiła, że zamierza w Nigerii utworzyć „katibę", czyli brygadę.

Chińskie ostrzeżenie

Wieści o ataku JNIM doszły do Abudży akurat w momencie, gdy prezydent Bola Tinubu wymienił całe najwyższe dowództwo wojskowe (rzekomo bojąc się zamachu stanu), co na pewno nie pomoże w walce z dżihadystami. Dwa lata temu ten były gubernator stanu Lagos został wybrany na urząd, a jego wiceprezydentem został mieszkaniec Północy. Obaj są muzułmanami. Od momentu objęcia urzędu przez Tinubu między Abudżą a Waszyngtonem narastają napięcia. Zamiast tego Tinubu nawiązał współpracę z Francją, która od 2023 roku stała się najczęściej odwiedzanym przez niego krajem zagranicznym. Abudża liczy też na inne mocarstwa. Chiny oficjalnie przestrzegły USA przed ingerencją w sprawy wewnętrzne Nigerii, która jest jednym z najważniejszych afrykańskich partnerów Pekinu i odgrywa kluczową rolę w Inicjatywie Pasa i Szlaku (BRI). Chińskie firmy poczyniły potężne inwestycje w infrastrukturę, energetykę i projekty górnicze w tym kraju. W sam przemysł przetwórstwa litu od września 2023 roku zainwestowały ponad 1,3 mld dolarów. Rząd federalny Nigerii prawdopodobnie będzie ostrożnie reagował na presję Waszyngtonu, biorąc pod uwagę polityczne znaczenie gubernatorów północnych stanów i miliony głosów, którymi dysponują. Abudża będzie zapewne prowadzić cichą dyplomację zamiast konfrontacji w taki sposób, by uniknąć wściekłości Trumpa, a zarazem nie zrazić Północy, bez której głosów nie da się wygrać wyborów. **GP**

REKLAMA

FUNDACJA „POMNIK OFIAR KATYNIA"

FUNDACJA POMNIK OFIAR KATYNIA
KATYŃ
CUM IAGINI CLAMANT

Zbudujmy Sanktuarium Narodowej Martyrologii

PKO Bank Polski
78 1020 2906 0000 1102 0218 1915 (PLN)

PROSIMY O WSPARCIE IDEI BUDOWY POMNIKA
www.pomnikofiarkatynia.pl

ROSJA **absurdem stoi**

Wiadomości z kraju wiecznej szczęśliwości, czyli cotygodniowy przegląd ciekawostek z Federacji Rosyjskiej. Od Kaliningradu po chińską granicę. Od Moskwy do wiosek na Przywołżu.

Feliks **Kazański**

Rosja: Horror from real Mordor

Jak żywy Z mocnym przytupem wkroczył na scenę Aidol, czyli pierwszy rosyjski antropomorficzny robot wyposażony w AI. Po przytupie zrobił kilka chwiejnych kroków, pomachał niepewnie ręką i padł na twarz. Na tym jego prezentacja dobiegła końca. Trzeba przyznać, że ta antropomorfizacja się udała. Gdyby Aidol pokazał się wieczorem pod dowolnym rosyjskim sklepem monopolowym, można by go pomylić z każdym z żywych klientów.

Bez pracy nie ma kołaczy W rosyjskiej Dumie Państwowej wymyślono genialny w swej prostocie sposób na podwojenie kwoty oczekiwanej emerytury: wystarczy po prostu pracować 10 lat dłużej. Bardzo dobry pomysł. A jeśli w ogóle pracować do śmierci, to będzie żyło się tak dostatnio, że żadna emerytura nie będzie potrzebna!

Żelazna logika Omyłkowo uznany za zmarłego mieszkaniec Orska w obwodzie orenburskim nie doczekał się urzędowego uznania go za żywego, bo w międzyczasie… umarł. I chociaż wszystko się już w sumie zgadzało, to jego rodzina nie mogła go pochować, bo pracownicy USC odmawiali wydania im aktu zgonu. No bo jak mieli potwierdzić, że delikwent umarł dwa razy?

Karp z własnej piwnicy Zdesperowana mieszkanka Biełowa w obwodzie kemerowskim, która w swojej zatopionej piwnicy nie może przechowywać kapusty i ziemniaków, zaczęła hodować w niej… karpie. Jak twierdzi, również po to, by zwrócić na problem uwagę władz. Oj, niech uważa – zaraz naślą na nią sanepid, a skarbówka nałoży podatek od działalności gospodarczej…

SOMMELIER POLECA

Rosjanom przedstawiono wina odpowiednie do kebaba, kaszy gryczanej i kanapek z kiełbasą – informuje gazeta.ru. Ciekawe, ciekawe… Ale do tak wykwintnych dań najlepszym wyborem i tak byłoby chyba Château de Tetrapak.

Muzyka łagodzi obyczaje? Obdarzonej wyrafinowanym gustem pasażerce taksówki w Samarze nie spodobała się puszczana przez kierowcę muzyka, więc kazała mu zmienić playlistę. A swoje żądanie poparła, wygrażając taksówkarzowi wyciągniętą znienacka maczetą. Zaiste, niezbadane są tajemnice damskich torebek… **GP**

RYS. MIROSŁAW ANDRZEJEWSKI

Klin klinem!

Nietrzeźwy pracownik firmy cleaningowej Avia-Clean z Ufy uszkodził stojący na pasie startowym samolot pasażerski ATR-72 linii lotniczej Utair. Podczas sprzątania zrobił dziurę w jego poszyciu przystawioną nieostrożnie metalową drabinką… No cóż, tak to bywa, jak się przychodzi do roboty, waląc sobie z rana porządnego „cleana".

Czytajcie więcej na **www.facebook.com/RosjaHFRM**

WALKI O TAŃSZY PRĄD CIĄG DALSZY

Maciej
Pawlak
SZEF DZIAŁU GOSPODARKA
albicla.com/MaciejPawlak

PREZYDENCKA USTAWA SZANSĄ NA NIŻSZE RACHUNKI ZA ENERGIĘ

Projekt prezydenckiej ustawy „Tani prąd -33 proc." zakłada trwałe obniżenie rachunków za prąd dla gospodarstw domowych (do 33 proc.) i firm (do 20–25 proc.), uproszczenie rozliczeń za prąd, tj. likwidację dodatkowych opłat, dzięki czemu rachunki mają być czytelniejsze dla odbiorców.

Prezydencka propozycja to także obniżka VAT z obecnych 23 proc. do 5 proc. w rachunkach płaconych przez odbiorców prądu. Ponadto projekt ma realizować także zapowiedź prezydenta Nawrockiego dotyczącą obniżenia cen rachunków za energię dla odbiorców indywidualnych, przyczyniając się równocześnie do zmniejszenia kosztów prądu dla przedsiębiorstw i instytucji publicznych, takich jak przedszkola czy placówki ochrony zdrowia.

Taka jest w ogromnym skrócie treść projektu prezydenckiej ustawy, która ma zapewnić obniżenie rachunków za energię elektryczną m.in. wszystkim z 14 mln polskich gospodarstw domowych o około 800 zł rocznie. O powodzeniu projektu przesądzi w głosowaniu obecny parlament, którego członkowie w większości nie należą do zwolenników prezydenta.

– Obniżenie VAT-u na prąd oznacza, że gdzie indziej trzeba byłoby go podnieść – stwierdził na przykład niedawno, komentując prezydencki projekt, minister finansów Andrzej Domański, który równocześnie nie jest w stanie zapanować nad potężniejącym z każdym miesiącem deficytem finansów publicznych.

Nieczytelne rachunki za prąd

Tymczasem, jak czytamy we wspomnianym uzasadnieniu projektu prezydenckiej ustawy, na rachunkach odbiorców prądu, poza samą jego ceną (kosztem energii czynnej) pojawia się „szereg dodatkowych – często nieczytelnych dla odbiorców

FOT. KDHITDG - STOCK.ADOBE.COM

Prezydent idzie zgodnie z tendencjami wymienionych gospodarek światowych, które odchodzą od polityki proklimatycznej, a Unia – przeciwnie: przez cały czas dochodzi do ściany i każe zaciskać pasa.

– opłat, które łącznie stanowią wartość zbliżoną do kosztu samej energii".

Obejmują one m.in. stawki sieciowe (stałe i zmienne), a także opłaty:

- mocową;
- kogeneracyjną;
- OZE;
- przejściową;
- jakościową;
- abonamentową.

A co więcej, w podstawowej części ceny prądu, tj. w „koszcie energii czynnej, oprócz kosztów jej wytworzenia odzwierciedlanych w cenach giełdowych", ukryte są także „koszty zakupu świadectw pochodzenia energii", mających dowodzić, czy pochodzi ona z zielonych źródeł, oraz koszty certyfikatów efektywności energetycznej – dowodzących, że dany producent energii dokonał określonych inwestycji, na przykład termomodernizacyjnych, do których nabywania zobowiązani są sprzedawcy energii.

Wyciąć niepotrzebne obciążenia

„Proponuję, jako prezydent Polski, realny miecz do wycięcia z rachunków Polaków na energię elektryczną tych obciążeń, których Polacy nie powinni ponosić" – mówił Karol Nawrocki, prezentując projekt ustawy.

Według prezydenta „Tani prąd -33 proc." to realizacja jego kolejnego zobowiązania z Planu 21 postulatów przedstawionych jeszcze w trakcie kampanii wyborczej. Sama realizacja prezydenckiego projektu ma przynieść m.in. obniżkę kosztów energii dla firm o 20–25 proc. A to „może znacząco poprawić pozycję konkurencyjną polskiego przemysłu na rynkach europejskich i globalnych".

Ustawa miałaby wejść w życie z dniem 1 stycznia 2026 roku, a zatem od chwili, gdy ceny prądu dla gospodarstw domowych zostaną „odmrożone" przez obecny rząd. Przypomnijmy, że ceny te – obecne i pozostające na tym samym poziomie do końca bieżącego roku (brutto 621,2 zł za MWh, tj. netto 500 zł/MWh) – były ograniczane jeszcze przez rząd PiS, począwszy od października 2022 roku. Wówczas do poziomu 412 zł/MWh netto, który podwyższył do 500 zł/MWh obecny rząd od początku lipca 2024 roku.

Konkretne rozwiązania „Taniego prądu -33 proc."

Projekt przewiduje IV filary strategii obniżki cen:

- likwidację dodatkowych opłat – przeniesienie finansowania systemów wsparcia OZE, mocy i kogeneracji z rachunków odbiorców do środków z ETS;
- wygaszanie starych systemów wsparcia – reformę systemu certyfikatów – redukcję obowiązków umorzeniowych i eliminację nieefektywnych mechanizmów;
- obniżkę tzw. opłat dystrybucyjnych – ograniczenie nadmiernych zysków operatorów sieci poprzez obniżenie poziomu regulowanej tzw. stopy zwrotu (WACC) – miary używanej do oceny opłacalności inwestycji m.in. w energetyce, na przykład przy budowie nowej elektrowni;
- stałą obniżkę VAT – trwałe utrzymanie obniżonej stawki VAT na poziomie 5 proc. zamiast powrotu do 23 proc.

Środki ETS powinny służyć finansowaniu transformacji

W uzasadnieniu projektu prezydenckiej ustawy zwraca się uwagę, że istotną część obecnych kosztów energii obejmują „wydatki na zakup uprawnień w ramach europejskiego systemu handlu uprawnieniami do emisji (ETS), które w przypadku energii wytwarzanej z węgla są jej głównym czynnikiem kosztowym".

Przy czym „zgodnie z pierwotnymi założeniami systemu handlu emisjami, środki uzyskiwane ze sprzedaży uprawnień miały wspierać finansowanie transformacji energetycznej i w dłuższej perspektywie przyczyniać się do obniżenia kosztów energii poprzez modernizację oraz dekarbonizację sektora wytwórczego".

W praktyce jednak – czytamy w uzasadnieniu prezydenckiego projektu – „założenie to nie zostało w pełni zrealizowane". Finansowanie nowych źródeł energii i utrzymanie istniejących mechanizmów wsparcia odbywa się w dużej mierze za pośrednictwem rozbudowanego systemu wspomnianych wyżej opłat pobieranych od odbiorców końcowych. I to mimo że państwo dysponuje znacznymi środkami z systemu ETS, które zgodnie z jego pierwotnym celem powinny służyć finansowaniu transformacji.

– Propozycja ustawowa prezydenta Nawrockiego, która porządkuje strumienie środków z energetyki w budżecie, obejmuje strumienie związane z ETS, trafiające bezpośrednio do budżetu – które jednak w całości nie są przeznaczane przez rząd na energetykę. Taka obserwacja twórców wspomnianej ustawy jest słuszna. (…) Za szczególnie dobre uważam uporządkowanie strumieni kosztów i przychodów na rynku energetycznym. A na pewno skonsumowanie w całości przez budżet dochodów z ETS, tj. podatku od „nadmiarowych" ilości emisji CO_2 do atmosfery płaconego przez zanieczyszczające ją przedsiębiorstwa, które to środki do tej pory były dosyć swobodnie wydawane przez budżet – zamiast być kierowane przez państwo wyłącznie na rozwój OZE – komentuje dla „GP" Marcin Roszkowski, prezes Instytutu Jagiellońskiego.

Rynek mocy i opłaty mocowe do ponownego przeliczenia

Ten sam ekspert zauważa jednocześnie, iż to, co w projekcie ustawy wymaga ponownego przeliczenia, obejmuje tzw. rynek mocy. – Chodzi tu o mechanizm, który ma zapewnić ciągłość i stabilność dostaw prądu, szczególnie w okresach szczytowego zapotrzebowania – mówi Roszkowski. – Czyli o wynagradzanie elektrowni za samą ich gotowość do dostarczenia energii w razie potrzeby, a nie tylko za samą wytworzoną energię. Koszt ten jest widoczny na rachunkach za prąd w postaci tzw. opłaty mocowej. Tymczasem ustawa prezydencka ją wygasza. Jednak jej obowiązywanie nie jest fanaberią obecnego rządu, ale wiąże się z potrzebą sfinansowania i wsparcia dla nowych elektrowni, które będą dostarczać energię ze źródeł zastępujących wyczerpujący się węgiel, który rokrocznie będzie wypadać z naszego systemu energetycznego. To jest wsparcie, które miało obowiązywać jeszcze przez około 15–17 lat. I nie jest zobowiązaniem, które można wygasić z dnia na dzień – dodał ekspert.

Według Roszkowskiego jednocześnie w projekcie ustawy prezydenckiej znajdują się słuszne obserwacje związane z funkcjonowaniem tzw. zielonych certyfikatów, tj. e-świadectw pochodzenia energii, potwierdzających, że określoną ilość jej wytworzono z OZE, i sprzedawanych na Towarowej Giełdzie Energii. – Podobnie słuszne są pomysły rezygnacji z innych dodatkowych opłat za płaconą przez wszystkich energię – dodaje.

Zatrzymać drenowanie portfeli Polaków

– Jest to bardzo ambitna inicjatywa prezydenta Karola Nawrockiego, która ma na celu przywrócenie konkurencyjności w polskiej gospodarce i zatrzymanie drenowania portfeli Polaków – gospodarstw domowych, ale i firm – podkreśla w wypowiedzi dla „GP" Wojciech Dąbrowski, prezes Fundacji SET, były prezes PGE Polskiej Grupy Energetycznej SA.

– Nie zapominajmy bowiem o tym, że do tego właśnie przyczynia się obecnie unijna polityka klimatyczna. A inicjatywa pana prezydenta ma zaś na celu obniżenie danin publicznych, które są narzucone nam przez politykę klimatyczną UE. Bo wiadomo, że obecnie gospodarka UE traci konkurencyjność – podąża w energetyce w zupełnie odwrotnym kierunku niż świat. Oprócz USA powrót do eksploatacji ropy naftowej, węgla, gazu łupkowego i energetyki jądrowej stosują Chiny, które są dziś światowym liderem OZE, a jednocześnie budują elektrownie węglowe czy jądrowe, a także Indie. Tymczasem Europa niestety zmierza w odwrotnym kierunku – wyjaśnia Wojciech Dąbrowski.

– Prezydent idzie zaś zgodnie z tendencjami wymienionych gospodarek światowych, które odchodzą od polityki proklimatycznej, a Unia – przeciwnie: przez cały czas dochodzi do ściany i każe zaciskać pasa. (…) Prezydent wychodzi z założenia, że najważniejsza jest nasza gospodarka i jej konkurencyjność. W tej sytuacji wszystko zależy od rządu – bowiem w Polsce prezydent ma inicjatywę ustawodawczą, ale nie ma mocy sprawczej, by ustawy wcielać w życie. A więc chodzi o to, czy rząd będzie chciał zmierzać w kierunku obniżania rachunków za energię, a jednocześnie przywracać konkurencyjność naszej gospodarki i zatrzymać drenowanie portfeli Polaków – dodaje Dąbrowski. **GP**

LOBBING W BRUKSELI

UE stoi przed wyzwaniem: zbyt dużą ilością nowego prawa, które zamiast służyć solidarności i wspólnemu rozwojowi, coraz częściej staje się narzędziem w rękach najsilniejszych graczy. Raport Warsaw Enterprise Institute „Prawo dla najsilniejszych. Założenia a praktyka legislacyjna UE" szczegółowo opisuje, jak projekt, który miał być ponadnarodowym mechanizmem współpracy, zaczął wzmacniać przewagę najsilniejszych. Raport ilustruje to na dziewięciu przykładach, gdzie prawo UE jawnie wzmacnia pozycję określonych państw i branż kosztem innych.

XV KONKURS „PRACODAWCA GODNY ZAUFANIA"

Wspieranie rodzinnych więzi, tworzenie włączającego miejsca pracy, rozbudowany wachlarz świadczeń motywacyjnych czy zrównoważone podejście do wolontariatu – to niektóre działania laureatów XV Konkursu „Pracodawca Godny Zaufania" wybranych w 10 kategoriach. Wśród nagrodzonych znalazły się firmy: Danone, Truvant Europe, Link4 TU SA, Energa SA, Benefit Systems, Stolarstwo Tomasz Wróbel, Nestlé Polska SA, Tokai COBEX Polska, Grupa Żabka i PepsiCo. Cel konkursu to nagradzanie i promowanie firm realizujących innowacyjne projekty z zakresu polityki pracowniczej.

FOT. PIXABAY, MATPRAS.

Wieści z UE

Najnowsze newsy i nie tylko z obszaru Unii Europejskiej

Tomasz **Mysłek**

Europa w skrócie

UE nałoży cła na wszystkie małe przesyłki z Chin i innych krajów Ministrowie finansów państw UE uzgodnili, że cła na przychodzące do krajów UE przesyłki o wartości do 150 euro zostaną wprowadzone już w roku 2026. Ta decyzja uderzy głównie w chińskich sprzedawców internetowych, jak Shein i Temu – ocenił Reuters. A także w miliony europejskich konsumentów, którzy będą musieli opłacać te cła. Już w lipcu komisarz UE ds. ochrony konsumentów M. McGrath „wyraził głębokie zaniepokojenie ogromną liczbą małych przesyłek napływających do UE głównie z Chin" – średnio 12 mln dziennie. Wskazał na „zagrożenia bezpieczeństwa konsumentów i uczciwej konkurencji wobec europejskich firm", bo rzekomo te przesyłki „często zawierają produkty niebezpieczne i niezgodne ze standardami UE".

W Europie rośnie liczba podpaleń kościołów Z nowego dorocznego raportu Obserwatorium ds. Nietolerancji i Dyskryminacji Chrześcijan w Europie (OIDAC Europe) wynika, że w całym roku 2024 w Europie odnotowano 2211 „przestępstw z nienawiści wobec chrześcijan", w tym 274 ataki na osoby – większość z nich we Francji, w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Hiszpanii. Na przykład w ataku w klasztorze w Gilet w Hiszpanii w listopadzie 2024 roku 76-letni zakonnik został zabity, a kilku innych zostało rannych. Okazało się, że już nie Francja, a Niemcy są liderem Europy pod względem liczby podpaleń kościołów: 33 na 94 podpalenia.

Imigracyjny „postęp" w Wiedniu Z raportu urzędu miasta w Wiedniu wynika, że spośród 16,7 tys. uczniów, którzy we wrześniu zaczęli naukę w pierwszej klasie w wiedeńskich publicznych szkołach podstawowych, aż 7386 (44,2 proc.) zakwalifikowano jako mających „wyjątkowe trudności w nauce", bo nie znają języka niemieckiego, co im „nie pozwala na pełny udział w zajęciach". Jeszcze siedem lat temu było ich „tylko" 30,5 proc. Radna Bettina Emmerling wyjaśniała dziennikowi „Der Standard", że „jednym z czynników, które doprowadziły do tej sytuacji, był napływ migrantów". „Czy to z Syrii, czy z Ukrainy: osoby przybywające do Austrii bardzo rzadko mówią po niemiecku", a „kolejna przyczyna to brak asymilacji azylantów".

ZAKAZ

Rząd Portugalii ogłosił, że w nowym roku wprowadzi zakaz używania smartfonów przez uczniów wszystkich szkół średnich, gdyż już obowiązujący taki zakaz dla uczniów podstawówek okazał się „korzystny".

„Graniczny podatek węglowy" Rząd w Warszawie przyjął projekt ustawy o zarządzaniu „emisjami gazów cieplarnianych" – wdrażającej tzw. graniczny podatek węglowy od stycznia 2026 roku. Ma on obciążać import z krajów spoza UE: cementu, energii elektrycznej, nawozów rolnych, żeliwa i stali, aluminium i innych towarów „nieklimatycznych". Ma to być „wyrównanie" za to, że firmy spoza UE nie płacą podatku ETS za emisję CO_2 i innych gazów. Eksperci szacują, że wskutek tego nowego podatku UE na przykład za nawozy azotowe trzeba będzie płacić od 30 do 50 proc. więcej niż obecnie. To oznacza kolejne podwyżki produktów rolnych i żywności. **GP**

FOT. ADOBE STOCK

Kolejne 6 mld euro z UE dla Ukrainy

13 listopada władze Ukrainy otrzymały kolejną transzę pomocy od krajów UE na finansowanie wydatków wojskowych, socjalnych i innych. Z tej kwoty 4,1 mld euro pochodzi z pożyczek programu ERA, a 1,9 mld z „instrumentu UE na rzecz Ukrainy". W październiku Komisja UE przekazała Ukrainie dziewiątą transzę pomocy – 4 mld euro. W sumie od roku 2022 wsparcie UE dla Kijowa przekroczyło 178 mld euro.

KLUBY GAZETY POLSKIEJ

Rozmowy, spotkania, inicjatywy w Klubach „Gazety Polskiej”

Minione dni pokazały, że energia środowisk klubowych nie słabnie, wręcz przeciwnie – przybiera coraz bardziej twórcze formy. W całej Polsce trwały spotkania z ludźmi nauki, kultury i polityki, a także uroczystości upamiętniające święto niepodległości, w których uczestniczyli członkowie i sympatycy Klubów „Gazety Polskiej”.

Klubowicze z wizytą w siedzibie TV Republika.

CHRZANÓW | W chrzanowskim Klubie „Gazety Polskiej” odbyło się spotkanie z dziennikarzem TV Republika oraz autorem książek Jakubem Maciejewskim. Głównym powodem zaproszenia było pojawienie się na rynku wydawniczym jego dwóch wyjątkowych publikacji: „Wojny – reportażu z Ukrainy” i „Historii cenzury”, których tematyka wzbudziła ogromne zainteresowanie. W czasie wystąpienia gościa i jego emocjonującej relacji z frontów wojennych na Ukrainie obecni żywo reagowali, wtrącając swoje uwagi i przytaczając wspomnienia, o równie brutalnym charakterze, swoich krewnych z czasów II wojny światowej. Po interesującej dyskusji uczestnicy mogli dostać autograf od redaktora Maciejewskiego oraz porozmawiać z nim o pracy dziennikarskiej.

STAROGARD GDAŃSKI | W Starogardzie Gdańskim na zaproszenie lokalnego klubu „GP”, na czele z przewodniczącym Sebastianem Kucharczykiem, odbyło się spotkanie z premierem Mariuszem Błaszczakiem i posłem Kacprem Płażyńskim pod hasłem „Czas Polski. Program Polaków”. Przy pełnej sali rozmawiano o tym, co dziś dla Polski najważniejsze: o sądach, przyszłości, obronie i bezpieczeństwie kraju.

MIECHÓW | W Miechowie ponad 300 osób uczestniczyło w spotkaniu z ministrem Przemysławem Czarnkiem. Uroczystość, którą zorganizował Klub „Gazety Polskiej” Miechów, na czele z przewodniczącym Patrykiem Natkańcem, rozpoczęła się od odśpiewania hymnu narodowego. Minister mówił o wyzwaniach edukacyjnych i politycznych kraju, a uczestnicy podziękowali mu za wieloletnie zaangażowanie w sprawy narodowe. Symbolicznym momentem było wręczenie mu repliki kosy kosynierskiej – gestu wdzięczności za służbę dla ojczyzny.

RADOM | W Radomiu na zaproszenie Klubu „Gazety Polskiej” Radom i Ruchu Obrony Granic odbyło się spotkanie z Robertem Bąkiewiczem i dr. Oskarem Kidą. Rozmawiano o bezpieczeństwie granicy, kryzysie migracyjnym i łamaniu praworządności przez obecny rząd. W dyskusji uczestniczyło ponad 200 osób, a atmosfera spotkania była pełna emocji i poczucia obywatelskiej odpowiedzialności.

GDYNIA | Gdyński Klub „Gazety Polskiej” wraz z poseł Dorotą Arciszewską-Mielewczyk zorganizował spotkanie z Jackiem Wroną z Ruchu Obrony Granic. Rozmowy dotyczyły bezpieczeństwa państwa i potrzeby silnej polityki obronnej.

GŁOGÓW | Lokalny klub „GP”, na czele z przewodniczącym Janem Rzepą, zaprosił mieszkańców na spotkanie z prof. Janem Majchrowskim – byłym sędzią Sądu Najwyższego. Wykład zatytułowany „Obronimy naszą niepodległość” zgromadził wielu uczestników zainteresowanych aktualną sytuacją prawną i ustrojową państwa.

DRZEWICA | W Drzewicy miejscowy Klub „GP” zorganizował spotkanie z marszałkiem Antonim Macierewiczem. Polityk mówił o aktualnych wyzwaniach dla bezpieczeństwa Polski, o zagrożeniach płynących z osłabiania armii i struktur obronnych, a także o znaczeniu niezależności państwa w niestabilnych czasach.

DZIERŻONIÓW II | W Dzierżoniowie odbyło się X Patriotyczne Śpiewanie z okazji 107. rocznicy odzyskania niepodległości. Uroczystość zorganizowano w Dzierżoniowskim Ośrodku Kultury, a wspólne śpiewanie prowadził Ireneusz Wagnerowski z członkami Klubu „Gazety Polskiej” Dzierżoniów II. W programie znalazły się pieśni religijne, wojskowe i patriotyczne, w tym: „Polsko, nie umieraj”, „Barka” i „Marsz, marsz Polonia”. Wystąpił zespół folklorystyczny AleBabki, a całość zakończyło wspólne „Te Deum laudamus”.

BUSKO-ZDRÓJ | Z kolei w Busku-Zdroju klubowicze spotkali się, aby uczcić Narodowe Święto Niepodległości. Na zaproszenie przewodniczącej Kasi Gadawskiej do urokliwego Sanato przyjechali przedstawiciele Klubów „GP” ze Świętokrzyskiego, m.in.: z Kielc, ze Skarżyska-Kamiennej, z Jędrzejowa czy Krakowa i Warszawy. Obecni byli również prezes Klubów „Gazety Pol-

FOT. ARCH.

skiej" Ewa Wójcik oraz Paweł Piekarczyk. Wspólna modlitwa, rozmowy i słuchanie pieśni patriotycznych stały się okazją do refleksji nad wartościami, które łączą wszystkich Polaków.

KATOWICE | W Katowicach klubowicze m.in. z Gliwic, Częstochowy i innych miast uczestniczyli w Marszu Gwiaździstym w obronie przemysłu na Śląsku. Na ulicach miasta manifestowało ponad 10 tys. osób – górników, hutników i pracowników zakładów produkcyjnych. Marsz zakończyło wspólne odśpiewanie pieśni „O mój Śląsku, umierasz mi w biały dzień". Uczestnicy podkreślali, że była to demonstracja w obronie miejsc pracy, przeciwko likwidacji przemysłu na Śląsku, Zielonemu Ładowi i innym poczynaniom antyrozwojowym.

WARSZAWA | Członkowie Klubów „Gazety Polskiej" wzięli udział w manifestacji w obronie byłego prezesa Orlenu Daniela Obajtka. Przed gmachem prokuratury zgromadziły się tłumy, które skandowały: „Murem za Obajtkiem!" i „Jesteśmy z tobą!". W trakcie protestu głos zabrał m.in. Adam Borowski, przewodniczący warszawskiego Klubu „Gazety Polskiej", apelując o solidarność i odwagę w obronie sprawiedliwości.

DZIERŻONIÓW | W Dzierżoniowie odbyło się oficjalne zebranie reaktywujące Klub „GP". W spotkaniu uczestniczyli: senator Aleksander Szwed, zastępca przewodniczącego NSZZ „Solidarność" Regionu Dolny Śląsk Piotr Majchrzak oraz przewodniczący Klubu „GP" Świdnica Zdzisław Kołodziej. Podczas zebrania podjęto kluczowe decyzje dotyczące przyszłej działalności klubu, żywiąc nadzieję, że ponownie stanie się on ważnym ośrodkiem lokalnej aktywności patriotycznej.

PLESZEW, PIOTRKÓW TRYB. | Coraz więcej Klubów „Gazety Polskiej" organizuje wycieczki do Warszawy. Klub „Gazety Polskiej" z Pleszewa, na czele z przewodniczącym Krystianem Klakiem, oraz Klub „Gazety Polskiej" z Piotrkowa Trybunalskiego, którego przewodniczącą jest Beata Dróżdż, na zaproszenie ks. prof. Jarosława Wąsowicza uczestniczyli we mszy św. w kaplicy Pałacu Prezydenckiego. Następnie odwiedzili Muzeum Żołnierzy Wyklętych oraz TV Republika, gdzie spotkali się z prezesem Tomaszem Sakiewiczem. Takie inicjatywy nie tylko zacieśniają więzi, lecz także pozwalają na bliższe poznanie historii i dzisiejszego życia publicznego kraju. Już zapowiedziano kolejne grupy klubowiczów, które w najbliższych tygodniach odwiedzą stolicę. Pojawiają się również zapowiedzi wyjazdów do Krakowa, by odwiedzić centralę Klubów „Gazety Polskiej",

ZAPROSZENIA klubowe

WRZEŚNIA – tamtejszy Klub „GP" oraz poseł Zbigniew Dolata zapraszają na spotkanie z Mateuszem Morawieckim oraz Krzysztofem Szczuckim. 26 listopada, godz. 18, Pałac na Opieszynie, Września.

BRANIEWO – spotkanie ze Sławomirem Cenckiewiczem oraz z Andrzejem Śliwką. 27 listopada, godz. 18, Centrum Kultury, ul. Katedralna 9 (Galeria Podziemie), Braniewo.

GOSTYNIN – spotkanie z prof. Wojciechem Roszkowskim. 27 listopada, godz. 17, Sala Posiedzeń w Starostwie Powiatowym, ul. Dmowskiego 13, Gostynin.

INOWROCŁAW – spotkanie z posłami Krzysztofem Szczuckim i Pawłem Kukizem. 29 listopada, godz. 13, Kujawskie Centrum Kultury, ul. Kilińskiego 1, Inowrocław.

RADOMSKO II – Klub „Gazety Polskiej" Radomsko II oraz posłowie Anna Milczanowska i Antoni Macierewicz zapraszają na spotkanie z Tobiaszem Bocheńskim, Jackiem Sasinem, Andrzejem Śliwką. 29 listopada, godz. 15.30, Miejski Dom Kultury, ul. Brzeźnicka 5, Radomsko.

WARSZAWA – Bielańsko-Żoliborski Klub „Gazety Polskiej" oraz Klub „Gazety Polskiej" Milanówek zapraszają na uroczystość upamiętniającą Maurycego Mochnackiego – wybitnego działacza niepodległościowego i publicystę. 29 listopada, godz. 12, cmentarz Powązkowski (d. Wojskowy) w Warszawie. Zbiórka uczestników odbędzie się o godzinie 11.45 przy bramie od strony ul. Powązkowskiej, skąd wspólnie przejdziemy do kwatery Maurycego Mochnackiego (kwatera: C, rząd 6A, grób nr 5).

TYCHY – projekcja filmu pt. „Precz z komuną" połączona ze spotkaniem autorskim z Jędrzejem Lipskim. 2 grudnia, godz. 17, Kino Artystyczne w Pasażu Kultury „Andromeda", plac K.K. Baczyńskiego, Tychy.

MYŚLENICE – spotkanie z Piotrem Grochmalskim. 2 grudnia, godz. 18, Dom Katolicki 1a, ul. 3 maja, Myślenice.

Kontakt dla osób, które chcą założyć klub „GP"

Tomasz Sakiewicz
REDAKTOR NACZELNY „GP"

Ewa Wójcik
PREZES KLUBÓW „GP"

Biuro Klubów „GP": ul. Bracka 15, I piętro, 31-005 Kraków,
e-mail: klubygp@gazetapolska.pl, tel. (12) 422 03 08, 505 038 217, 609 447 449

WIĘCEJ INFORMACJI NA WWW.KLUBYGP.PL

TWARZ ROMANTYKA NAD UMIERAJĄCYM KSIĘCIEM

GDY UMIŁOWANIE WOLNOŚCI ZDERZYŁO SIĘ Z DESPOTYZMEM

Szturm na Belweder zaczął się o godzinie 19.15. Grupa „belwederczyków" podzieliła się na dwa zespoły – jeden atakował od frontu, a drugi od tyłu. Książę, który nie miał żadnej wojskowej asysty, ukrył się w jednym z pokojów na strychu. Ostatecznie uszedł z życiem. Powstanie listopadowe zakończyło się tragicznie.

FOT. ARCH.

Tomasz
Łysiak
SZEF DZIAŁU HISTORIA
albicla.com/TomaszLysiak

„Rzecz dzieje się w Warszawie
29 listopada roku 1830.
Korytarz w Szkole Podchorążych,
przez całą sceny szerza szeroki,
do pół drugiego planu w głąb.
Z lewej księżyca zieleń wpada
przez okna ścianę szklaną;
pośrodku brama, nad tą bramą
chorągwi czworo w pęk złożono;
giwery w rzędów dwa pod ścianą.
Noc – wieczór – pusto; – szum od pola,
z Łazienkowskiego Parku…
Warta gdzieś stąpa – słychać kroki…”.

Gigant ducha i poezji dramatycznej Stanisław Wyspiański nawet didaskalia do „Nocy listopadowej” napisał tak, że czyta się je jak najwyższej klasy literaturę – choć przecież didaskalia to, wedle reguł sztuki, jedynie opis techniczny, swego rodzaju wskazówki dla inscenizatora i aktorów: wskazują, jak autor wyobraża sobie scenę. Tak właśnie Wyspiański widział „narodową scenę”, wokół której rozgrywały się wypadki nocy listopadowej. „Noc” brzmi tu jak słowo wyjęte z liturgii rezurekcyjnych, w których po owej niezwykłej nocy ma nastąpić odrodzenie, zmartwychwstanie.

Lawa narodowa

Nie wystarczy czytać historyków i opracowań naukowych, które pozwalają nam, minuta po minucie, godzina po godzinie, dzień po dniu odkrywać wypadki nie tylko owej nocy 29 listopada 1830 roku, lecz także późniejsze, związane z całą wojną 1830–1831. Nie wystarczą więc Mochnacki czy Tokarz, czy współczesny nam Zajewski – potrzeba jeszcze wielkich poetów i pisarzy, by o powstaniu listopadowym pisać, mówić, starać się je „odczytać”. Już Mickiewiczowskie „Dziady” zbliżały Polaków ku wydarzeniom, które kilka lat po wileńskich represjach Nowosilcowa miały nas do powstania przybliżyć – lawa już buzowała pod powierzchnią. „Kordian” Juliusza Słowackiego przenosił czytelnika do roku poprzedzającego noc listopadową, kiedy to dokonała się koronacja cara Mikołaja I na króla Polski. Młodziutki Kordian chce cara zabić, szykuje zamach, który ma Polskę uwolnić od koszmaru. Notabene gdy obchodzimy rocznicę wybuchu powstania listopadowego, to pamiętać musimy, że poprzedziło je wydarzenie, które miało miejsce pięć lat wcześniej: 1 grudnia 1825 roku zmarł car Aleksander I, zaś tron po nim objął – nie w naturalnej kolejności starszeństwa książę Konstanty, który czapki Monomacha odmówił, lecz młodszy z braci – Mikołaj. Na nic się zdały okrzyki wojska rosyjskiego: „Niech żyje Konstanty i Konstytucja!” (żołnierze rosyjscy sądzili, iż „Konstytucja” to żeńskie imię małżonki księcia) – Mikołaj został carem i od razu zaczął sprawować władzę, w sposób bezlitosny i krwawy rozprawiając się surowo z dekabrystami (grudzień 1825) i rozpoczynając rządy pełne despotycznego wymiaru nie tylko w samej Rosji na naszych „ziemiach zabranych”, lecz także w Królestwie Polskim. Zrobił to pomimo pojawiających się na wstępie deklaracji o zachowywaniu swobód konstytucyjnych w Królestwie Kongresowym.

Lęki carów

Do Warszawy wiadomość o śmierci poprzedniego cara została dostarczona konno – 7 grudnia 1825 roku do stolicy Królestwa Polskiego wpadł, wysłany przez generała Dybicza, konny feldjeger z wieścią o śmierci Aleksandra w Taganrogu. Tenże feldjeger, jak piał August Sokołowski, „rzucił się do nóg W. Księcia Konstantego, powitał go jako następcę zmarłego, jako samodzierżcę Rosji”. A tymczasem wielki książę ani o tym myślał. Rozwodził się właśnie z pierwszą połowicą, księżną sasko-altenburską, a na nową żonę brał Polkę, Joannę Grudzińską. Swe zrzeczenie się tronu wykonał skutecznie, wysyłając jeszcze w 1822 roku list do cara brata – co Aleksander, chcąc nie chcąc, przyjął, a następnie scedował władzę na młodszego Mikołaja. Tak czy inaczej ten ostatni chciał ponownie od Konstantego „oficjalnego” zrzeczenia się praw do tronu i dopiero po tym, gdy stosowny dokument dotarł z Warszawy, wydał manifest o wstąpieniu na tron carów. Spiski tropione w Rosji, sprawa dekabrystów i generalne lęki cara (a także koronowanych głów w Prusach

i w Austrii) powodowały, że wyostrzono także oko służb rosyjskich patrzące na spiskowców polskich. Szubienice i katorgi dysydentów i rewolucjonistów rosyjskich to była zapowiedź tego, co się potem miało stać z Polakami. Na ziemiach polskich nie tylko Mikołaj, lecz także książę Konstanty – obaj bracia – stali się przedmiotem takich myśli i uczuć Polaków, gnębionych represjami i więzieniami (sprawa Łukasińskiego, historie filomatów i filaretów w Wilnie etc.), że za nimi leżały już jedynie pomysły o buntach i zamachach.

Potęga romantyków

Zaczął spiskować Piotr Wysocki, ale też myślano o uderzeniu na Belweder i targnięciu się na życie księcia Konstantego. Pomysł zamachu na Mikołaja ożywił literacką wrażliwość Słowackiego, który „Kordiana" pisał w roku 1833. Naraził się przy tym na krytykę w związku z nie dość wiernym podążaniem za faktami. Sięgam po wydaną w 1910 roku książkę z esejami Szymona Aszkenazego „Nowe wczasy", a tam tekst „Na marginesie Kordiana". Pisze w nim nasz znakomity historyk o poezji doby romantycznej jako wyjątkowej na europejskiej scenie literackiej: „Jakkolwiek głębokie i rozległe było oddziaływanie wielkich romantyków niemieckich, angielskich albo francuskich na swoje narody, żadną miarą równać się ono nie może z potęgą wpływu naczelnych romantyków polskich pod tym właśnie szczególnym względem społeczno-politycznym. Była i jest to potęga całkiem specyficzna i na swój sposób bezprzykładna". Rację miał Aszkenazy – zarówno romantycy, jak i ich epigoni (czy to młodopolscy, jak Stanisław Wyspiański, czy to nam współcześni, jak Jarosław Marek Rymkiewicz) tworzyli literacką, poetycką, dramatyczną nić, która nie tylko robiła wrażenie estetyczno-emocjonalne na czytelnikach, lecz także spajała stare pokolenia z nowymi szczególną więzią serc uniesionych zapałem walki o dobro, niezawisłość i wolność ojczyzny. Literatura romantyczna w Polsce nie była sobie, a wydarzenia polityczno-dziejowe sobie – wszystko szło w parze. Lawa patriotyczna swój gorąc zawdzięczała słowom poetów i pisarzy. I naprawdę mniejsza o to, ile historycznych błędów popełnił Słowacki, pisząc „Kordiana". Aszkenazy punktował zresztą nie tylko nieścisłości związane z datami i wydarzeniami – takie jak niemożność rodzenia się w tym samym czasie ważnych potem, w powstaniu listopadowym, postaci (Chłopicki, Krukowiecki czy sam literacki Kordian) – czy błędy w datowaniu, takie jak złe oznaczenie początku wieku XIX, czy wreszcie opis wyglądu cara Mikołaja i księcia Konstantego: „O, jak ty bracie do ojca podobny!" – krzyczy w „Kordianie" Konstanty do Mikołaja, a tymczasem to on sam był podobny do cara Pawła. Jednak Aszkenazy zauważa też wiele trafnych historycznie obserwacji Słowackiego, jak choćby o wcielaniu do wojska rosyjskiego dawnych więźniów z wojska Księstwa Warszawskiego, którzy do niewoli trafili w roku 1812.

Umiłowanie wolności

Pisze o bohaterach nocy 29 listopada 1830 roku wielki Wyspiański – kreśląc i sylwetkę wielkiego księcia Konstantego Pawłowicza, i jego zastępcy generała Dmitrija Kuruty, i z drugiej strony Seweryna Goszczyńskiego, i Ludwika Nabielaka: powstańców szykujących atak na Belweder. I wreszcie pojawia się tam tak bardzo symboliczna dla powstania listopadowego (a także okresu przed nim) postać majora Waleriana Łukasińskiego, więźnia stanu, który już wówczas, w 1830 roku, był po kilku latach więzienia postacią prawie że mityczną dla polskiej „świętej sprawy". Tak go też widział Wyspiański. W samych wydarzeniach nocy listopadowej brał udział poeta i pisarz Seweryn Goszczyński, który zresztą zostawił po powstaniu drobiazgowy opis pamiętnikarski, pełen znakomitych szczegółów.

Spaja tę wrażliwość poetów i pisarzy pewna myśl, podchwycona w czasach bardziej nam współczesnych przez Jarosława Marka Rymkiewicza: taka oto, że ta polska, odwieczna nasza, genetyczna „przypadłość", jaką jest bezgraniczne umiłowanie wolności, zderzyła się w okresie zaborów z despotyzmem władców: przede wszystkim z niemającym granic imperializmem autokratycznym Rosji. Jedno postawione naprzeciw drugiego nie mogło nie doprowadzać do wrzenia i wybuchów. Nie mogło nie doprowadzać do tego, że krew się polała, nawet jeśli nie w formie rewolucyjnej, to w formie nagłych samobójstw – bo w Polsce romantycznej wieku XIX w łeb sobie strzelali kawalerowie nie w stylu Wertera, lecz raczej młodziutkiego kapitana Wilczka, który ścierpieć nie mógł tego, jak książę Konstanty traktuje polskie wojsko i polskich oficerów, więc odebrał sobie życie. Takie uczucia targały żołnierzami polskimi patrzącymi na upokorzenie, jakiemu poddano Waleriana Łukasińskiego – zgolono majorowi głowę, przykuto do taczek łańcuchem i kazano iść przed frontem własnych podkomendnych: tu już nie tylko młodzi żołnierze czuli upokorzenie, bo płakali nawet starzy wiarusi, widząc upodlenia, jakie funduje książę Konstanty polskiemu wojsku i polskiemu honorowi.

Nieudany zamach

A z tego wszystkiego brała się chęć Mickiewiczowskiej „zemsty na wroga" – czyli wręcz zabicia tych, którzy za całe zło odpowiadali… carów rosyjskich. To stąd złość powstańców listopadowych, którzy pamiętnej nocy roku 1830 zebrali się w Łazienkach Królewskich, by pędzić na Belweder i zamordować wielkiego księcia. Do tego, jak wiemy, na skutek różnych przypadków, nie doszło – zamach spalił na panewce. Rymkiewicz w książce „Wielki książę" docieka, na podstawie pamiętników i dokumentów epoki, dlaczego zamach się nie udał. Szturm na Belweder zaczął się o godzinie 19.15. Grupa „belwederczyków" podzieliła się na dwa zespoły – jeden atakował od frontu, a drugi od tyłu. Książę, który nie miał żadnej wojskowej asysty, ukrył się w jednym z pokojów na strychu. Jego śmierć, jak pisze Rymkiewicz, odbyła się więc „symbolicznie" – spiskowcy zabili bowiem wiceprezydenta Warszawy Lubowidzkiego, strzelając, potłukli lampy oraz lustra, a na podwórzu zabili uciekającego generała Aleksieja Gendre'a. Rymkiewicz pisze, że cios generałowi zadał Goszczyński, sądzący, iż zabija księcia. I w tej właśnie chwili nad twarzą umierającego miał się pochylić polski poeta, słuchający ostatniego tchnienia Moskala. Historia jednak zaśmiała się szyderczo – polski romantyzm zderzył się z realizmem. Wielki książę uszedł z życiem… Powstanie zakończyło się tragicznie… **GP**

PRZEPROWADZKA

sklepu Telewizji Republika oraz Gazety Polskiej!

JUŻ OD 24 LISTOPADA

zapraszamy do nowego,
większego sklepu pod adresem:

Al. Solidarności 129/131
w Warszawie

ZESKANUJ KOD
I OTWÓRZ MAPĘ

Godziny otwarcia:
pon. - pt.: 10:00 - 17:00
sob.: 10:00 - 14:00

TAŃCZĄC Z MOROWĄ DZIEWICĄ

EPIDEMIE DŻUMY W DAWNEJ POLSCE

Straszliwa zaraza tzw. czarnej śmierci, która spustoszyła Europę w latach 1347–1351, pochłonęła życie blisko jednej trzeciej ówczesnej populacji, zapisując się tym samym na kartach historii jako największa katastrofa biologiczna w dziejach. Dramatyczne wydarzenia tego okresu zostały dobrze opisane w zachodnich źródłach, jednak przebieg pandemii na terenach Królestwa Polskiego pozostaje niejasny, co zrodziło mit, jakoby dżuma ominęła nasz kraj.

Łukasz **Czarnecki**

Jeśli zagłębimy się w „Roczniki" Jana Długosza, to znajdziemy w nich potwierdzenie tego, że zaraza dotknęła również poddanych Kazimierza Wielkiego. Jak jednak wykazały badania Piotra Guzowskiego nad rejestrami świętopietrza w diecezji krakowskiej w latach 1348–1351, gdy we Florencji trupy zalegały

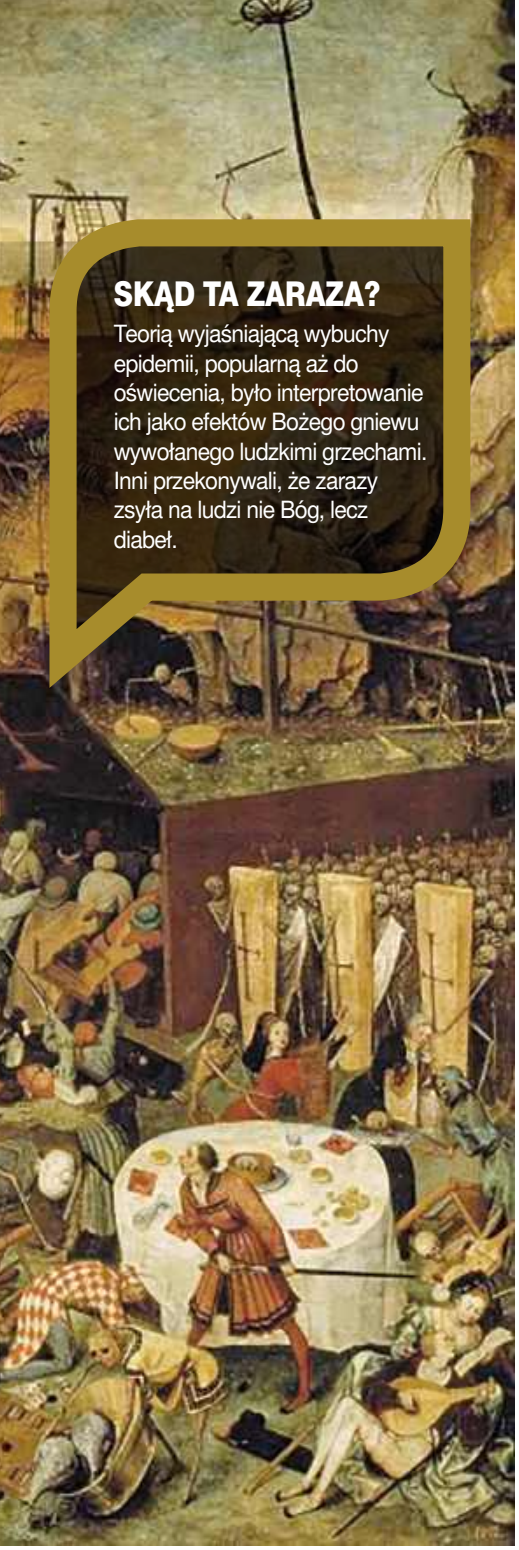

FOT. WIKIPEDIA

SKĄD TA ZARAZA?

Teorią wyjaśniającą wybuchy epidemii, popularną aż do oświecenia, było interpretowanie ich jako efektów Bożego gniewu wywołanego ludzkimi grzechami. Inni przekonywali, że zarazy zsyła na ludzi nie Bóg, lecz diabeł.

na ulicach, w Polsce było o wiele mniej drastycznie. W apogeum pomoru dochody Kościoła z danin płaconych przez ludność wiejską spadły zaledwie o 10 proc. Niestety, już od połowy XIV stulecia Polskę, co dekadę lub dwie dekady, epidemie pustoszyły. Katastrofalny okazał się wiek XVII, ludność – osłabiona głodem wywołanym przez nagłe ochłodzenie klimatu i licznymi wojnami – stanowiła łatwy cel dla dziewicy moru. Gdy nastał wiek kolejny, szwedzkie wojska, biorące udział w wojnie północnej, rozniosły po kraju falę zakażeń, wywołując bodajże największą epidemię dżumy w dziejach Polski, szerzącą terror od Gdańska po Kraków. Ówcześni ludzie, zanoszący bezskuteczne błagania do niebios, nie wiedzieli, że to na szczęście ostatni akord choroby: po 1720 roku dżuma na dobre znikła z centralnych terenów Rzeczypospolitej, z rzadka pojawiając się jeszcze na jej obrzeżach.

Skąd się to bierze?

Odpowiedzialne za wywoływanie dżumy bakterie odkryte zostały dopiero pod koniec XIX wieku w trakcie epidemii szalejącej w Hongkongu. W czasach gdy morowe powietrze stanowiło powracające nieustannie zagrożenie, paradoksalnie nikt nie miał pojęcia o jego przyczynach. Zarówno uczeni, jak i prosty lud byli w tej kwestii równymi ignorantami. Co nie oznacza, że nie próbowano znaleźć jakichś mniej lub bardziej racjonalnych wyjaśnień.

No właśnie, na przykład nazwa „morowa dziewica”… O tym, jakim lękiem napawała naszych przodków dżuma, najlepiej świadczy fakt, że próbując jakoś oswoić swój strach, wymyślili humanoidalną istotę będącą personifikacją choroby. Szczegóły wyglądu demona zarazy różniły się w zależności od rejonu, najczęściej była to jednak chorobliwie blada i rozczochrana dziewczyna. Przemieszczała się, lewitując nad ziemią, lecąc na nietoperzowych skrzydłach lub jeżdżąc czarnym powozem. Na kogo spojrzała, ten umierał. Postać ta okazała się nadzwyczaj żywotna i na trwałe wrosła w kulturę, nie tylko zresztą ludową, bo o dziewicy moru pisał choćby Adam Mickiewicz.

Teorią wyjaśniającą wybuchy epidemii, popularną aż do oświecenia, było interpretowanie ich jako efektów Bożego gniewu wywołanego ludzkimi grzechami. Autorzy wydawanych w XVI i XVII wieku na ziemiach Rzeczypospolitej podręczników dotyczących postępowania w trakcie zarazy, tacy jak Maciej Miechowita, Marcin Ruffus, Sebastian Petrycy czy Walenty Bartoszewski, tyle samo miejsca w swoich dziełach poświęcali zdrowiu duchowemu co cielesnemu swoich czytelników, radząc im w pierwszej kolejności spowiedź, pokutę i modlitwę, a dopiero później zajęcie się bardziej namacalnymi sprawami, mającymi na celu uniknięcie zachorowania.

Inni przekonywali, że zarazy zsyła na ludzi nie Bóg, lecz diabeł. Ten drugi działać miał przez pośredników, którymi były czarownice oraz wstające z grobów upiory tudzież wampiry. Szczególną obsesję na punkcie tych ostatnich wykazywali mieszkańcy Ukrainy. W roku 1738 kosztowała ona życie szlachcica Michała Matkowskiego, który bawiąc na Podolu, natknął się na chłopów ze wsi Humieniec idących w procesji mającej na celu powstrzymanie pustoszącej okolicę zarazy. Wieśniacy wzięli nieznajomego za odpowiedzialnego za ich nieszczęście upiora, ciężko go pobili, po czym spalili na stosie. Na terenie całej Rzeczypospolitej, mimo sprzeciwu Kościoła wobec takich praktyk, częstokroć zdarzało się, że w przypadku wybuchu epidemii zwłoki „pacjenta zero” wykopywano z grobu i obcinano mu głowę, uznając nieboszczyka za rozsiewającego dżumę wampira.

Mazacze morowi

Jak wiadomo, teorie spiskowe cieszą się ogromną popularnością. Nie inaczej było w czasach Rzeczypospolitej szlacheckiej. Społeczności zagrożone anihilacją przez zarazę, której przyczyn nie rozumiały, z łatwością dawały się uwieść najdziwniejszym narracjom. Gdy morowa dziewica tańczyła na ulicach, szczególną nieufność budzili ci, którzy pozostawali z nią w bliższych konszachtach – medycy i grabarze. W roku 1770, w trakcie jednej z ostatnich prowincjonalnych epidemii dżumy na Kresach, mieszkańcy miasteczka Jarmolińce wystąpili przeciw cyrulikowi Józefowi Maronicie. Rozczarowani bezsilnością zielarza w walce z chorobą, oskarżyli go, że miast leczyć, sam rozsiewa zarazę, licząc na zysk. Choć medyk znany był sąsiadom od wielu lat i był cenionym członkiem społeczności, nagle przypominano sobie, że wszak przybył na Ukrainę z Turcji. Fakt, że był chrześcijaninem, nie pomógł nieszczęśnikowi – wsadzono go do beczki ze smołą i spalono żywcem. Wbrew nadziejom oprawców morowe powietrze nie ustąpiło, za to obywatele Jarmolińc na własne życzenie zostali bez opieki medycznej. Grabarzy regularnie oskarżano

o sporządzanie z wnętrzności (zwłaszcza mózgów) zmarłych na dżumę trujących mazideł, którymi owi „mazacze morowi" smarowali później ławki w kościołach oraz klamki i progi domów celem szerzenia zarazy, dającej im zarobek i możliwość okradania mieszkań nieboszczyków. Podczas ostatniej ogólnokrajowej pandemii dżumy w roku 1708 w Warszawie pod takim zarzutem powieszono dwóch grabarzy, rok później w Poznaniu na szafot trafiło ich sześciu, a w roku 1709 w Lublinie, po głośnym w całej Europie procesie, stracono kolejnych trzech rzekomych winowajców.

Stan wyjątkowy

Jak wyglądały realia w objętym epidemią mieście? Za najpewniejsze zabezpieczenie przed zarażeniem dżumą uznawano ucieczkę z zagrożonego przez mór terytorium. W średniowieczu środek ten praktykowali głównie monarchowie i książęta Kościoła, w epoce nowożytnej wiał już, kto mógł. Polecana przez autorytety medyczne rada brzmiała: „Uciekać jak najszybciej, jak najdalej i nierychło wracać". Za najzdrowszą odległość uznawano 20 mil polskich, czyli około 142 kilometrów, zalecając profilaktycznie powstrzymywać się z powrotem do domu przez pierwsze trzy miesiące po ustąpieniu zarazy.

Zwykle jako pierwsze rzucały się do ucieczki władze miejskie, bogaty patrycjat i hierarchowie kościelni. Zbigniew Oleśnicki w roku 1451 chował się przed dżumą na małopolskich bagnach, a dekadę później cała kapituła poznańska przez kilka miesięcy tułała się po lasach. Jeśli chodzi o świeckie elity, to w kolejnym stuleciu, na wieść o coraz liczniejszych przypadkach dżumy, rajcy Poznania ewakuowali się na Śląsk i Pomorze. Nic chyba jednak nie przebije włodarzy Lwowa, którzy w analogicznej sytuacji, w 1623 roku, dali nogę na… Węgry.

Burmistrzowie przed ucieczką powoływali tymczasowe władze, na czele których stali tzw. burmistrzowie powietrzni. Najsłynniejszym z nich był, pełniący ów urząd w Warszawie w latach 1624–1626, Łukasz Drewno, który swą pełną poświęceń służbą zdobył taki podziw współobywateli, że już w spokojnych czasach wybrali go na zwykłego burmistrza.

Do pierwszych zarządzeń burmistrza morowego zwykle zaliczało się wygnanie żebraków i prostytutek, których uznawano za nosicieli choroby, oraz nakaz generalnych porządków na ulicach. Jedna z teorii medycznych głosiła, że dżumę wywołują złe miazmaty unoszące się m.in. ze stojącej wody i nieczystości. Nawet jeśli miazmatyczna teoria, co dzisiaj wiemy, była kompletną bzdurą, to sprzątnięcie śmieci pozbawiało pokarmu szczury roznoszące pchły zarażone pałeczkami dżumy.

Kwarantanna

Jednym z częstych widoków w ogarniętym epidemią mieście były procesje. Wierząc, że mór może być efektem Bożego gniewu, a równocześnie przypisując relikwiom i świętym obrazom moc ochronną, obnoszono je ulicami przy biciu dzwonów, śpiewach pokutnych i błagalnych suplikacjach. Jeśli odwołanie do Najwyższego nie zadziałało, władze ogłaszały kwarantannę. Prawa stanu wyjątkowego były bezlitosne. Każdy obywatel miał obowiązek zgłosić przypadek zachorowania w swojej rodzinie, jeśli taki nastąpił, a wówczas drzwi i okna domu zabijano deskami, na których malowano biały krzyż, często dodatkowo zabezpieczając wszelkie potencjalne wyjścia skoblami. Chorzy i ich bliscy zostawali odcięci od świata. Ci, którzy posiadali zapasy żywności, mieli szanse na ocalenie. Dla uboższych, żyjących z dnia na dzień, kwarantanna oznaczała wyrok śmierci. Nic dziwnego, że niektórzy woleli zatajać obecność chorych pod swym dachem. Specjalni urzędnicy obchodzący ulice stawali pod domami i wywoływali ich mieszkańców po imieniu do okien. Inni w desperacji podejmowali próby ucieczki, ale każdego przyłapanego delikwenta wieszano na szubienicy przed jego domem.

Chciwi grabarze

Charakterystyczny element epidemicznej codzienności stanowili grabarze morowi. Rekrutowali się oni spośród najniższych warstw społeczeństwa. Władze powietrzne przyznawały im odizolowane od reszty społeczności lokum, żywność, wozy z końmi, łopaty, sznury i specjalne drągi z hakami, za pomocą których wywlekano trupy z domostw. Ci budzący grozę i obrzydzenie ludzie nosili specjalne opończe, zwykle czarne z białym krzyżem, choć za kadencji Łukasza Drewny uniform warszawskiego grabarza miał kolor jaskrawoczerwony. Zarówno rzucający się w oczy strój, jak i przyczepione do ich pojazdów dzwonki miały ostrzegać obywateli przed zbliżaniem się morowej służby porządkowej i ustrzec zdrowych przed kontaktem z jej funkcjonariuszami.

O tym, jakim lękiem napawała naszych przodków dżuma, najlepiej świadczy fakt, że próbując jakoś oswoić swój strach, wymyślili humanoidalną istotę będącą personifikacją choroby.

Bywało, iż w domostwach, które grabarze odwiedzali, martwi byli już wszyscy domownicy, wówczas łotrzyki obławiały się na kradzieży, mimo iż proceder ten był surowo zabroniony, a prawo nakazywało niszczyć cały dobytek. Im więcej ludzi umierało, tym mniejszy szacunek okazywano zwłokom, dochodziło do sytuacji, gdy grabarze obdzierali nieboszczyków z ubrań, naśmiewali się z ciał zmarłych kobiet, a nawet przywiązywali zmarłych za ręce do końskich ogonów i wlekli ulicami! Nic dziwnego, że przedstawicieli tej profesji nikt nie lubił i podejrzewano ich o najnikczemniejsze występki, wliczając w to nekrofilię i czarną magię.

Groza dżumy dopiekła więc mocno naszym przodkom, choć w porównaniu z innymi krajami europejskimi możemy mówić o łaskawości morowej dziewicy. Strach przed epidemią na długie wieki zagościł nad Wisłą, by potem na chwilę zniknąć i wrócić w XXI wieku. **GP**

GAZETA POLSKA

STYROPIANOWY MIECZYK JANA KLATY

GŁOŚNA PREMIERA W OLSZTYNIE

Tylko 56 kilometrów od Grunwaldu, na scenie Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie Jan Klata wyreżyserował swoją adaptację „Krzyżaków" Henryka Sienkiewicza. I poległ przysypany niewybredną groteską, w której zginęły wszystkie tragedie, po które odważył się sięgnąć, a które Sienkiewicz wpisał w powieść z siłą wbijanego w krzyżacką pierś miecza.

Sylwia **Krasnodębska**
SZEF DZIAŁU KULTURA
albicla.com/SylwiaKrasnodebska

Ubita ziemia znalazła swoje odzwierciedlenia w scenografii Mirka Kaczmarka, złożonej tylko z białych ścian z zamontowanymi dmuchawami i białej podłogi. Klata od pierwszej minuty manifestował swój dystans nie tylko do Sienkiewiczowskiego dzieła, lecz także do czasów, w których przed bitwą Polacy śpiewali „Bogurodzicę", a ludzkie niedole przeżywano jako kary za grzechy. Zakorzeniona w chrześcijaństwie obyczajowość i obrzędowość nie pierwszy raz była dla Klaty paliwem do ognia napędzającego jego kpinę z patriotycznych postaw i religijności. Nie zabrakło niewybrednego żartu dotyczącego strefy intymnej Jezusa Chrystusa. A wszystko to w atmosferze zabawy, w którą roześmiana widownia weszła jak w dym. Rycerskie zbroje były tu puchowymi, srebrnymi kombinezonami; logotypy orła i krzyża nie różniły się u Polaków i Krzyżaków. Zbyszko, zapalczywy wyrostek z Bogdańca, rozbawiał do łez gimnastyczną figurą mającą nawiązywać do „napinania kuszy bez korby". Jagienka nie musiała już rozgniatać orzechów pośladkiem, bo kupiła je w sklepie. Błyskotliwych porównań i przeniesień w inne czasoprzestrzenie było jednak jak na lekarstwo. A i one ginęły w lawinie banałów, frazesów i pustosłowia. Co mogło znaczyć, że Jurand ze Spychowa, układając dłonie w swastykę, tańczył do wykonywanej po niemiecku kolędy „Cicha noc" w scenerii latających, wyświetlanych na białych ścianach krzyży?

Klata zatracił się w grotesce, przez co zgubił umiejętność sensownego balansowania między komedią a tragedią. I zaśmiał się z samego Sienkiewicza, który „Krzyżakami" podzielił światy na biały polski i czarny krzyżacki. Reżyser spektaklu oddał raczej hołd królującemu w przestrzeni medialnej, społecznej i teatralnej relatywizmowi. Zresztą ci, którzy reżyserię Janowi Klacie powierzyli, nie mogli zakładać, że „ukorzy się" on przed Henrykiem Sienkiewiczem.

Twórcy, choć podkreślają, że Sienkiewicz na podstawie średniowiecznych kronik zbudował pełen rozmachu obraz walki, lojalności i narodowego oporu, sami w praktyce kpili z lojalności, zrównując chwilami ofiarę z najeźdźcą. Chociaż na stronie teatru czytamy, że „»Krzyżacy« to nie tylko literacki klasyk, ale także manifest nadziei i siły kulturowej, która przetrwała mimo politycznego zniewolenia", to na deskach teatru widzimy raczej owoc kontrkultury czy antykultury, która podatna jest właśnie na zniewolenia. Również polityczne. GP

FOT. KAROLINA JÓŹWIAK

ZACISZE MELOMANA

★★★★★★

PODSIADŁO ŚPIEWA MYSLOWITZ

Dawid Podsiadło, Artur Rojek, ZORZA 2025
Pur Pur

Zapis tegorocznego koncertu w katowickim Spodku ucieszy zarówno fanów Artura Rojka, jak i Dawida Podsiadły. Jak zapowiada okładka płyty, to zbiór utworów, „na których Dawid się wychował, a Artur kiedyś wykonywał". Nietrudno zgadnąć, że album wypełniły największe hity zespołu Myslovitz, którego Rojek był przez lata liderem. Okazało się, że piosenki bardzo silnie zapisały się w pamięci młodej publiczności, która pełnym głosem odśpiewała zarówno „Peggy Brown", „Scenariusz dla moich sąsiadów" oraz „Z twarzą Marilyn Monroe". Wśród utworów nie zabrakło również wzruszającej piosenki „Kraków" – w oryginale duetu z Markiem Grechutą – tu w zupełnie innej, zaskakującej aranżacji.

★★★★★★

NA BALU Z RODOWICZ

Maryla Rodowicz, NIECH ŻYJE BAL
Warner Music

O swoich największych przebojach postanowiła przypomnieć również Maryla Rodowicz w ciekawym z założenia pomyśle duetów z młodszymi artystami. Niestety nie wszystkie nowe aranżacje wypadły tak dobrze, jak „Remedium" z Krzysztofem Zalewskim, „Nie ma jak pompa" z Ralphem Kamińskim czy tytułowy „Niech żyje bal" z Błażejem Królem. Saska Kępa w wymęczonej „Małgośce" straciła nie tylko zapach bzu, a „Wielka woda" w nowej wersji okazała się piosenką zbyt „rzewną", by chciałoby się w niej ponownie zanurzyć. Po tym „muzeum polskiej piosenki" lepiej więc poruszać się bardzo ostrożnie – tak by nie popsuć sobie wspomnień.

Przygotował
Marek **Kalinowski**

KSIĄŻKA { RELIGIA }

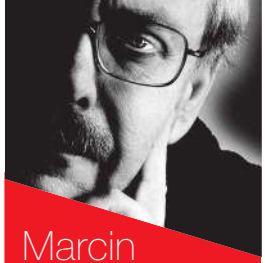

Marcin **Wolski** poleca

★★★★★★

Agresywna neutralność

„Złoty cielec i fałszywi prorocy"
Piotr Mazurkiewicz
Biały Kruk, Kraków 2025

Jednym z dogmatów tzw. świeckiego państwa jest eliminacja religii ze szkół (niektórzy postulują nawet zakaz spowiedzi dla młodzieży). Niech młodzi ludzie, kiedy osiągną dojrzałość, sami wybiorą. Pytanie, z czego mają wybierać, jeśli nie dano im poznać żadnego światopoglądu poza laickim. Praca ks. Piotra Mazurkiewicza „Złoty cielec i fałszywi prorocy" ma mocny podtytuł: „Państwo jako narzędzie walki z Bogiem". Proces rugowania religii z życia publicznego, zamykania jej w sferze życia prywatnego, co de facto prowadzi do jej likwidacji, stał się jednym z głównych postulatów tzw. lewicy od czasów rewolucji francuskiej.

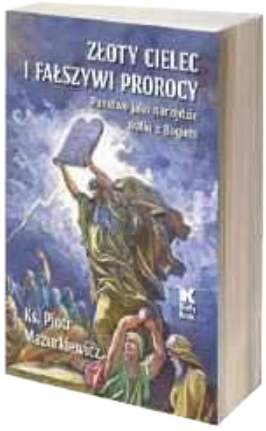

Jest to proces postępujący, choć nie bez zakłóceń. Wojny światowe powodowały wyhamowanie inwazji ateizmu, czasem jego cofnięcie, po czym epoka dobrobytu powodowała powrót na antychrześcijańską ścieżkę. Mogłoby się wydawać, że kompromitacja narodowego socjalizmu i bolszewickiego komunizmu uświadomiła ludziom skutki przymusowego bezbożnictwa, którego symbolem były cerkwie zamienione na magazyny. Niestety, tendencja jedynie uległa przepoczwarzeniu. Zamiast muzeów ateizmu w świątyniach Zachodu otwierane są knajpy.

Jednocześnie wyrzucanie Boga poza nawias życia publicznego nie poszerzyło sfery ludzkiej wolności. W miejsce religii wkroczyło agresywne państwo, lansujące prawo wielokrotnie sprzeczne z prawem naturalnym, za to realizowane z coraz większą brutalnością. „Państwo – pisze autor – podejmuje dziś decyzje moralne, nadając im charakter aktów prawnych. Wystarczy wspomnieć regulacje odnośnie do kary śmierci, aborcji, eutanazji, związków osób jednej płci…". W dodatku terror poprawności politycznej wydaje się skuteczniejszy niż wszelkie zabiegi dawnych komunistów.

Zamów w naszym sklepie pod adresem sklep.gazetapolska.pl | tel. 22 232 37 70

MIX Kulturalny

szykuj się

NA KOSMOS

Ryan Gosling zagra w filmie „Projekt Hail Mary". Produkcja wejdzie do kin za cztery miesiące, a Gosling wcieli się w naukowca, który musi rozwiązać zagadkę tajemniczej substancji powodującej wygaśnięcie Słońca.

czekaj

NA WYŚCIG

Reżyser „F1: Film" zapowiedział sequel hitu. Jedynka była najbardziej dochodową produkcją, w jaką Brad Pitt kiedykolwiek był zaangażowany. „F1" zarobił ponad 630 mln dolarów. Czy „F2" go prześcignie?

GAZETA POLSKA

★★★★★★

Dom jeszcze bardziej zły

„Dom dobry”

dramat obyczajowy, reż. Wojciech Smarzowski

Polska 2025

Frapuje zakończenie „Domu dobrego”. Reżyser pokazuje dwie drogi, dwa rozstrzygnięcia: mroczne i jasne. Mało w tym filmie jednak psychologicznego portretu postaci.

Krzysztof **Wołodźko**

„Dom dobry” Wojciecha Smarzowskiego to nie tylko film o domowej przemocy. To pytanie o wciąż zbyt koślawy system i o to, jak wpływy, możliwości oraz wielkie pieniądze pomagają ukryć zło zamknięte w czterech domowych ścianach.

„Dom dobry” przyciąga do kin tłumy widzów, choć psychologowie ostrzegają, że nie jest to film odpowiedni dla młodszych odbiorców i dla ofiar przemocy. Rzecz zaczyna się jak miłosna sielanka, ale łatwo rozpoznać pułapkę, zastawioną na młodą kobietę. Opowieść ma drugie dno: główna bohaterka Gośka (Agata Turkot) mierzy się z alkoholizmem matki i siostry (Agata Kulesza, Maria Sobocińska), a jej ojciec – prawdopodobnie nieżyjący wojskowy – był człowiekiem wiecznie nieobecnym w domu. Złakniona miłości, skazana na życie z wiecznie obwiniającą ją za swoje problemy matką, Gośka jest przekonana, że trafiła na mężczyznę z przeszłością, który dotąd po prostu nie miał szczęścia w miłości.

Koszmar narasta stopniowo. Smarzowski umiejętnie prowadzi nas do piekła. Retrospekcje, flashbacki, dynamiczne, smartfonowe ujęcia pokazują kolejne kręgi manipulacji i przemocy. Mnożą się znaki narastającej kontroli i znieczulenia na ludzkie cierpienie:

Grzesiek (Tomasz Schuchardt) zwraca uwagę partnerce, gdzie powinny stać kubki w kuchennej szafce. Później stoi obojętny na własnym ślubie w kościele, gdy rodzina i znajomi pochylają się nad ciałem jego teściowej. Kolejne elementy układanki pokazują mężczyznę, który sądzi, że wszystko w życiu ujdzie mu na sucho, bo jest częścią lokalnego układu. Dobry dom to szemrane pieniądze i zbyt słona cena za spełnione aspiracje. Zaznaczmy, że większość związków międzyludzkich w tym filmie jest nieudana.

W obraz Smarzowskiego wkrada się sztampa. Jak zwykle Kościół jest mało pozytywnym bohaterem. Choć sprawa nie jest aż tak oczywista: bezduszny ksiądz czy policjant to jedna strona równania, druga to zatroskana zakonnica, prowadząca dom dla samotnych matek, albo dobra, choć bezradna policjantka. **GP**

FOT. MAT. PRAS., FACEBOOK

uśmiechnij się

DO BRIDGET

Na londyńskim Leicester Square odsłonięto pomnik Bridget Jones, filmowej bohaterki, która uczyła kobiety, jak walczyć z kompleksami. W ceremonii wzięła udział sama aktorka komediowej serii Renée Zellweger.

trzymaj kciuki

ZA TEN FILM!

Znamy nominacje do Europejskich Nagród Filmowych. W kategorii europejskie odkrycie powalczy polski film „Pod szarym niebem” w reż. M. Tamkovich. Film inspirowany jest prawdziwymi losami białoruskich dziennikarzy.

jedź

DO ŻAGANIA

Wystawa „Św. Jan Paweł II. Człowiek, który zmienił losy świata” Rafała Bogdanowicza to sentymentalna podróż dzięki zgromadzonym pamiątkom pontyfikatu Ojca Świętego. Można ją oglądać w Holu Słonecznym Żagańskiego Pałacu Kultury.

Warszawa już nie poradzi sobie z dzikami

OKRUTNA ROZPRAWA Z PROBLEMEM

Jacek **Liziniewicz**
albicla.com/JacekLiziniewicz

CIEKAWOSTKI
O DZIKACH

„Dzik jest dziki, dzik jest zły, dzik ma bardzo ostre kły. Kto spotyka w lesie dzika, ten na drzewo zaraz zmyka".

WYMIARY

Długość ciała dzika wynosi od 90 do 200 cm. Wysokość sięga 110 cm. Masa zwierzęcia dochodzi nawet do 300 kg. Największego dzika zastrzelono w Rosji na Uralu, ważył 320 kg. W Polsce też zdarzały się przypadki dzików przekraczających tę wagę.

DZICZE MENU

Dzik jest wszystkożercą. Żywi się m.in. żołędziami. W runie leśnym wyszukuje dżdżownice, owady, gryzonie, których nory odnajduje węchem. Zjada także kłącza roślin i grzyby, a nawet padlinę. Niszczy również plony rolnikom.

Władze stolicy podjęły decyzję, że chcą zabić kolejnych 500 dzików. Zwierzęta mają najpierw zostać podstępem złapane do pułapek, a następnie otrute. To kolejny rok najprawdopodobniej największego miejskiego polowania w Europie. Niechęć do zrozumienia argumentów doprowadziła dziczą sprawę do jednego wielkiego absurdu.

POLUB NAS /GazetaPolskaPL

FOT. ADOBE STOCK, PIXABAY

Swój pierwszy tekst o dzikach w Warszawie napisałem na łamach „Gazety Polskiej Codziennie" już 11 lat temu. Wtedy włodarze miasta wydawali się wręcz zachwyceni sąsiedztwem tych zwierząt. – Tak jak przyzwyczailiśmy się do dzikich kotów, tak teraz trzeba przyzwyczaić się do dzików – mówił wówczas Józef Mierzwiński zajmujący się dzikimi zwierzętami w Warszawie. Jak twierdził, dziki nie są niebezpieczne, stronią od ludzi. W tamtym czasie liczebność tych ssaków szacowano na 300 osobników. Nigdy nie rozumiałem tego podejścia. Jako człowiek ze wsi miałem obraz dzika, który jest szkodnikiem. Niszczy uprawy i bywa groźny, gdy jest rozwścieczony.

W USA i w Australii od lat dziki są uznawane za gatunek obcy czy inaczej mówiąc – inwazyjny. W obu tych krajach do dzików strzela się na potęgę.

Dziki pokochały stolicę

Miastowi tej perspektywy nie przyjmowali do wiadomości. Szczerze powiedziawszy, przez lata było cicho o temacie. Dziki stały się rezydentami. Ofiary tego sąsiedztwa pojawiają się rzadko i są to incydenty. Co nie oznacza jednak, że nie rośnie liczba osób niezadowolonych z ryjącego sąsiedztwa. Jedenaście lat później dzików w stolicy nie sposób już policzyć. Niech przemówią więc statystyki. Jak się okazuje, w 2024 roku liczba zgłoszeń mieszkańców do służb na temat obecności dzików wyniosła 5128. Oznacza to, że służby podejmują 14 interwencji dziennie. Przez cały rok. To już uprawnia do tworzenia specjalnej służby w stolicy, która ogarniałaby stado dzików. Z danych wynika również, że w 2025 roku nie jest lepiej. Do końca czerwca służby miały 3400 wezwań, więc jak tempo się utrzyma, to na koniec roku będzie blisko 7 tys. (18 dziennie). Podejmowanie takich działań po prostu kosztuje.

Polowanie miejskie

Co ważne, liczba dzików rośnie, pomimo że Warszawa postanowiła ruszyć na polowanie i zmniejszyć liczebność tych zwierząt. Liczba zabitych, blisko pół tysiąca osobników, to jednak jest kropla w morzu potrzeb. Ale stolica kontynuuje wybijanie tych zwierząt. „Warszawa zmniejszy liczbę dzików o 500 sztuk do czerwca 2026 r. Powodem jest bezpieczeństwo mieszkańców" – można przeczytać na stronie Informatora Dzielnicy Białołęka. Informacje, które pojawiły się kilka tygodni temu, nie wzbudziły praktycznie żadnej reakcji aktywistów ekologicznych. Dlaczego? Można zrozumieć, czytając komentarze pod wpisem informatora. „Jeden wieczór, 10 minut jazdy – dziki w trzech miejscach na Modlińskiej, Mehoffera, Światowida, EC Żerań. W 2 przypadkach cudem kie-

SPULCHNIACZE GLEBY

Dziki odgrywają także pożyteczną rolę w ekosystemie. Spulchniają glebę (buchtując w ziemi). Czyszczą lasy z padliny. Żywią się szkodnikami, a także zjadają chore ssaki i ptaki, co zapobiega rozprzestrzenianiu się chorób.

DOM DZIKA

Legowisko dzika jest zagłębione w ziemi, wysłane trawami i liśćmi, tworzy tzw. barłóg. Dziki zakładają je najczęściej w młodnikach, pod osłoną gałęzi starych świerków lub w trzcinowiskach. Jesienią dziki łączą się w stada i tak pozostają przez zimę.

JAK TO SIĘ NAZYWA?

Samica dzika to locha. Samiec to odyniec. Przelatek zaś to dzik, który ukończył już pierwszy rok życia. Kły dolne dzików myśliwi nazywają szablami, a górne – fajkami. Na karku odyniec ma chyb, czyli gęstą szczecinę.

rowcy uniknęli kolizji. Łatwiej trafić autem w dzika w Wa-wie niż na Mazurach. Ktoś tu nie ogarnia..." – pisze jeden z internautów. Kolejna internautka, tym razem młoda matka, dodaje, że dziki są niebezpieczne dla dzieci. „Ostatnio będąc na placu zabaw z dziećmi, dziki wparowały na ten plac z taką siłą, że szybko musiałam z dziećmi uciekać, bo nie wiedziałam, co zrobią. To jest po prostu strach, że zaatakują. Ja mogę być cicho i się wycofać, ale dzieci? One są głośne i widząc dzika, moja córka od razu wpada w histerię, a wtedy nie wiem, jak taki dzik zachowa się wobec nas" – czytamy w wiadomości.

Dużo komentarzy zachęca do zwiększonego wysiłku i zabicia 5 tys. zamiast 500. Jak się okazuje, miasto nie składa się jedynie z pięknoduchów pragnących dzików w tramwajach. Dość absurdalna wydaje się metoda, jaką dokonuje się masowego wybijania tych zwierząt. Dziki mają być odłowione i uśmiercone. Wydaje się więc, że pięknoduchy z Warszawy zgotowały finalnie dzikom los gorszy, niż mają tuczniki w rzeźni. Odłowienie to dla dzikiego zwierzęcia olbrzymi stres. Można też zakładać, że ma być ono uśmiercone za pomocą trucizny. Nie sposób nie zauważyć, że to śmierć o wiele bardziej stresogenna niż dobrze wymierzona kula myśliwego. Będąc złośliwym, trzeba wyjaśnić, że uśpienie znaczy śmierć. Jednocześnie dodajmy, że taka dziczyzna staje się bezwartościowa, a tusze trzeba utylizować.

Druga metoda jest też tańsza. Trudno powiedzieć, ile będzie kosztować odłowienie 400 dzików, ale można się domyślić, że przy stawce 700 zł od osobnika da to około 300 tys. zł.

PRAPRZODEK ŚWINI

Dziki są blisko spokrewnione z naszymi świniami. Przypuszczalnie człowiekowi udało się udomowić dzika około 11 tys. lat temu. Od tego czasu wieprzowina to stały element naszego menu.

665 ŚMIERTELNYCH OFIAR

Badacze postanowili przyjrzeć się odnotowanym ofiarom dzików. Przebadali źródła historyczne i stwierdzili, że w latach 1825–2012 co najmniej 665 osób zostało zabitych przez dziki. Większość przypadków zdarzyła się w Indiach.

ULUBIENIEC KIRGISTANU

Mieszkańcy Kirgistanu wierzą, że pochodzą od dzików. Wiązał się z tym tamtejszy zakaz jedzenia wieprzowiny. Dzik jest również symbolem Miao, jednej z grup etnicznych zamieszkujących Chiny.

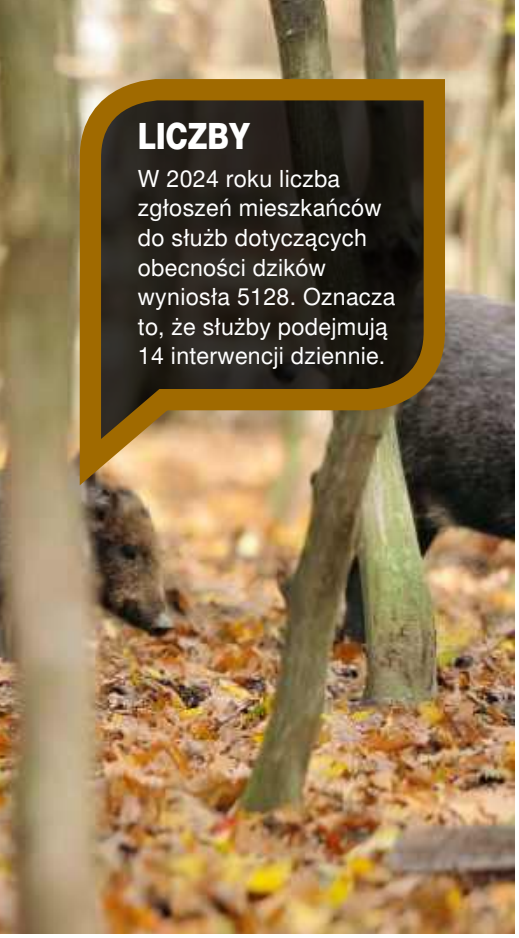

LICZBY

W 2024 roku liczba zgłoszeń mieszkańców do służb dotyczących obecności dzików wyniosła 5128. Oznacza to, że służby podejmują 14 interwencji dziennie.

Walka z wiatrakami

Jednak w tej historii najgorsze jest to, że wysiłki eksterminatorów w Warszawie niekoniecznie doprowadzą do pożądanych skutków. Najprawdopodobniej efekt ich pracy nie będzie zadowalający. Tak się bowiem składa, że dziki to jedne z najinteligentniejszych zwierząt w naszej rodzimej faunie. W wielu państwach na świecie służby próbują sobie z nimi poradzić i w niewielu się to faktycznie udało. Przykładem mogą być USA i Australia, gdzie od lat dziki są uznawane za gatunek obcy czy inaczej mówiąc – inwazyjny.

W obu tych krajach do dzików strzela się na potęgę. Czasami nawet wykorzystuje się do tego celu helikoptery. To jednak nie zmienia faktu, że dziki pozostają. Zawsze gdy liczebność tych zwierząt spada, to gatunek reaguje na ten kryzys liczniejszymi miotami. Co ciekawe, jedynym krajem, w którym udało się całkowicie wytrzebić dzika, jest Dania. Państwo to zdecydowało się na taki krok w związku z koniecznością ochrony produkcji trzody chlewnej przed ASF. Odgrodziło się też płotem od Niemiec, gdzie pojawiły się pierwsze przypadki choroby. Dania nie miała również wielkiej populacji dzików. Gdy ta przekroczy pewną masę krytyczną, bardzo trudno jest ją zmniejszyć. Wszystko dlatego, że występuje zjawisko pewnej eksplozji populacji. Im większa śmiertelność, tym wcześniej lochy zachodzą w ciążę i mają więcej warchlaków. Tak więc w pierwszych latach odstrzału redukcyjnego efekt jest wręcz odwrotny.

Eliminacja dzików nie jest problemem jedynie Warszawy. W skali roku wydajemy z pewnością miliony złotych na odławianie i trucie dzików. W ostatnim tygodniu taką decyzję podjęło Legionowo. Zamiast oświetlać ulice, będą teraz organizować wybijanie dzików. Podobnie robią inne miasta. Czasami dochodzi do prawdziwych absurdów kosztowych. Oto w Kłodzku przeprowadzono przetarg na odłów dzika, gdzie koszt złapania jednego osobnika wyceniono na… 6250 zł. Przetarg unieważniono, bo uznano, że miasta na to nie stać. Problem narasta. **GP**

ROK ŚWINI

Dzik w kulturze japońskiej jest postrzegany jako przerażający i lekkomyślny. Nic dziwnego, że znajduje się on jako ostatni na liście orientalnych znaków zodiakalnych, a urodzonych w roku świni określa się jako osoby porywcze i uparte.

PRZYSMAK OBELIKSA

Dziki występują powszechnie w literaturze i kulturze. Pełno ich w mitologii greckiej, tam czwartym zadaniem Heraklesa było pokonanie dzika erymantejskiego. Zaś w komiksach, na przykład o Asteriksie, zwierzę to robi furorę jako przysmak Galów.

FOT. ADOBE STOCK, PIXABAY, WIKIPEDIA, UNSPLASH

PRZYRODNICZY FLASH

ZA TUSKA ZASTRZELONO TYSIĄCE BOBRÓW

W 2023 i 2024 roku w Polsce zabito blisko 6 tys. bobrów. Dane ujawnił wiceminister środowiska Mikołaj Dorożała, który twierdzi, że świadczy to o… zmianie podejścia do ochrony tych gryzoni. „GDOŚ analizuje teraz dużo dokładniej każdy wniosek. Nie wyłączymy zupełnie eliminacji z uwagi na zbyt głębokie przekształcenie środowiska przez człowieka, ale możemy istotnie zmienić podejście. I to robimy" – stwierdził Dorożała.

LIKWIDACJĘ NADLEŚNICTW ZACZYNAJĄ OD PUSZCZY BIAŁOWIESKIEJ

Dyrektor Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Białymstoku wydał zarządzenie powołujące komisję, która miałaby przeprowadzić połączenie dwóch z trzech nadleśnictw działających w Puszczy Białowieskiej. W obronie leśników stają lokalni mieszkańcy i samorządy. „Jest to działanie szkodliwe dla całego powiatu hajnowskiego i niemające nic wspólnego ze zrównoważonym rozwojem. To kolejny krok do zahamowania rozwoju regionu Puszczy Białowieskiej i degradacji życia lokalnych społeczności. Nie należy również zapominać o skutkach społecznych i wyrządzeniu ogromnej krzywdy dla pracowników wyżej wymienionych nadleśnictw. Cały region płaci dziś cenę za decyzje, za które nie ponosi żadnej winy. To cios wymierzony w mieszkańców, których od lat pomija się w najważniejszych sprawach. Kolejne ograniczenia niszczą nasz rozwój, miejsca pracy i podstawy normalnego życia" – piszą w swojej petycji.

Stefan
Czerniecki
CZERNIECKI.NET

JAK NA KSIĘŻYCU

Płaski szczyt Roraimy to przede wszystkim kamienie, głazy, liczne spękania i skalne ostańce. Ci, którzy tu dotrą, mogą być rozczarowani...

Góra z mistyką w DNA

NAJSTARSZA NA ŚWIECIE RORAIMA

To podobno najstarsze góry świata. Ponoć właśnie tutaj najdłużej żyły dinozaury. Wreszcie to właśnie zainspirowany ich widokiem Arthur Conan Doyle zdecydował się napisać „Zaginiony świat".

Trudno zresztą dziwić się sir Arthurowi – sławnemu twórcy postaci Sherlocka Holmesa. Będąc swego czasu słuchaczem wykładu Everarda Im Thurna, pierwszego zdobywcy tego szczytu, zaczął budować w wyobraźni kolejne obrazy. Opisywana przez podróżnika sceneria samotnej pionowej góry o płaskim wierzchołku idealnie pasowała do historii, w której występować będą dinozaury, małpoludy i śledzący ich naukowcy oraz poszukiwacze przygód. Wszak trudno było wyobrazić sobie bardziej adekwatne do takiej fantazji tło niż właśnie odizolowana od reszty świata tajemnicza góra. Prehistoryczny szczyt. Ściana opisana przez Doyle'a w jego książce „Zaginiony świat".

Dziś zresztą – po przeszło stu latach od opublikowania powieści – dla wielu to nadal zaginiony świat. Region z olbrzymią liczbą endemitów i z pejzażem nieprzypominającym nic podobnego na całej naszej planecie. O tej górze krążą legendy. Indianie Pemón twierdzą, że kiedyś była pniem wielkiego drzewa, na którym rosły wszystkie owoce świata. Pewnego dnia drzewo miało zostać ścięte przez któregoś z bogów, a upadając, wywołało wielki potop. Inna wersja tej legendy opowiada o trzech braciach, którzy mieszkali na pograniczu dzisiejszych Wenezueli, Gujany i Brazylii. Jeden był mądry, drugi chciwy, trzeci zaś pragnący zgody. Chciwcowi drzewo przeszkadzało w uprawie pola. Pragnął je ściąć, by zwiększyć swoje zyski ze żniw. Jego mądry brat nie chciał mu na to zezwolić. Trzeci z braci robił z kolei wszystko, aby pogodzić zwaśnioną dwójkę. Na próżno. Finalnie drzewo i tak zostało ścięte. Zwalony konar szybko zaczęła obrastać bujna selwa – bardzo niebezpieczna, pełna jadowitych węży i insektów. Chciwy brat prędko rozpoczął prace, aby ujarzmić las i zacząć go uprawiać. Szybko jednak zginął.

Wersji tej legendy usłyszymy tutaj na miejscu znacznie więcej. Wszystkie jednak będzie łączył jeden motyw: ta niezwykła skalista góra. Pionowy masyw tepui. Jedna z najstarszych gór całej Ziemi. Roraima.

Dla członków wspominanego plemienia Pemón góra jest miejscem mistycznym. Wierzą, że to przez nią dusze zmarłych przedostają się do krainy wieczności. To m.in. właśnie przez tę wiarę turyści wynajmujący przewodnika Pemón zwyczajowo muszą czekać na pozwolenie, jakiego udzieli mu jego plemienny szaman. To on decyduje, czy ów Indianin jest godny wejścia na świętą górę. Jeśli przewodnik otrzyma pozwolenie, turystów będzie czekać przygoda życia. Wejście na górę Roraima od strony Wenezueli potrwa dwa dni. Wraz z zejściem oraz noclegiem na szczycie całe przedsięwzięcie zajmie 5–6 dni.

Oczywiście wejście na szczyt jest również możliwe od strony Brazylii i Gujany. To jednak właśnie po wenezuelskiej stronie leży 80 proc. płaskiego wierz-

Ponad połowę występujących tu gatunków roślin stanowią endemity. Z powodu niskiej zawartości azotu w ziemi rośnie tu także wyjątkowo dużo roślin mięsożernych.

TEPUI TAJEMNIC

NAZWA Swą nazwę jedna z najstarszych gór świata zawdzięcza zbitce słów z języka Pemón. „Rori" w tym dialekcie oznacza „niebiesko-zielony". Według Indian słowo to symbolizuje połączenie nieba i ziemi. „Ma" znaczy „wielki". Nazwę „Roraima" można by więc tłumaczyć jako: „niebiesko-zielony wielkolud".

GRAN SABANA Najbardziej malowniczy fragment Wyżyny Gujańskiej ze znakomitą przewagą obszarów porośniętych wyłącznie trawami (pozbawioną drzew). W południowej części porośnięty bardziej wilgotnymi morichales – palmowymi zagajnikami. Dalej zaś tropikalnymi lasami galeriowymi, nad którymi dominują izolowane ostańcowe góry stołowe, tepuis.

ZDOBYWCY Pierwszego wejścia na tajemniczą Roraimę dokonali w grudniu 1884 roku Brytyjczycy Everard Im Thurn i Harry Perkins.

KSIĄŻKI Roraima inspirowała nie tylko wspomnianego już Arthura Doyle'a. Jeszcze przed nim Roraimę wspominał choćby Juliusz Verne (w książce „Wspaniałe Orinoco").

FOT. MARIUSZ GŁODZIK

chołka. Turyści rozpoczną więc długi, przeszło pięćdziesięciokilometrowy marsz. Wpierw wędrując przez bujną sawannę. Jeszcze po płaskim. Gdy jednak miną obóz Rio Tok, zacznie się prawdziwe wyzwanie. Przed nimi do przejścia teren, który sprawdzi, czy są gotowi na „dom bogów", jak zwykli nazywać Roraimę Indianie Pemón. Na tym odcinku nie będzie jednak za bardzo kiedy podziwiać przepięknej południowo-zachodniej ściany Roraimy. Wszystko przez coraz bardziej liczne podejścia i zejścia, doliny poprzecinane rzekami, które od czasu do czasu trzeba będzie sforsować. Wreszcie zaś przez gęsty las porastający podnóże skalnego kolosa.

Ostatni odcinek to tzw. rampa. Z obozowiska ulokowanego pod samą górą trasa jawi się niczym wąska ścieżka pionowo wrzynająca się w ścianę Roraimy. Trasa nie będzie łatwa. O niebezpieczeństwie przypomina niewielki drewniany krzyż wbity na brzegu rwącej Rio Kukenan. W 2009 roku jej wody porwały indiańskiego przewodnika torującego trasę turystom.

Groza tajemniczości będzie wzrastała z każdym krokiem. Również na skutek rosnącej wkoło prehistorycznej dżungli. Z kwiatami i liśćmi, których nie zobaczymy nigdzie indziej na Ziemi. 65 procent rosnących pod Roraimą gatunków to wspomniane już endemity.

I wreszcie upragniony finał. Dla niektórych zarazem mocne rozczarowanie. Płaski szczyt Roraimy to przede wszystkim kamienie. Księżycowy krajobraz. Głazy, liczne

Dotarcie na szczyt to nie lada wyzwanie. Czasami nie ma czasu na to, aby podziwiać widoki.

spękania, skalne ostańce. Za niektórymi z nich można się skutecznie schronić przed nadciągającym wiatrem. W przypadku ulewnych deszczy (których nad Roraimą bez liku) część z pewnością schroni się do jednej z dwóch znajdujących się tutaj jaskiń: Cueva de los Pemones lub Cueva Ojos de Cristal. Nie ma jednak co wchodzić zbyt głęboko. Ojos de Cristal to jedna z głębszych jaskiń na świecie. Skrywająca prawdopodobnie jeszcze więcej tajemnic niż i tak obfitujący w niespotykaną niezwykłość „zamek w chmurach", Roraima. Bo ta góra ma sekret i mistykę niejako wpisane w swoje DNA. Tutaj pośród codziennie wstępujących chmur i mgieł – naprzemiennie ukazujących to ukrywających przed wędrowcami sylwetkę stromej ściany – spektakl tajemniczego odkrywania trwa praktycznie nieustannie. Także teraz. **GP**

Leszek
Galarowicz
albicla.com/LeszekGalarowicz

PRAWDZIWY ROBERT LEWANDOWSKI

Robert Lewandowski to jeden z najbardziej rozpoznawalnych polskich sportowców, o którym powstało mnóstwo artykułów i niejedna książka. Sebastian Staszewski odkrywa przed czytelnikiem nowe oblicze najlepszego polskiego piłkarza, a dzięki dociekliwości udaje mu się – jak twierdzi Wojciech Szczęsny – „zbliżyć do prawdy o Robercie".

KSIĄŻKA O „LEWYM"

Świat, który znał, rozpadł się na tysiąc kawałków po trzech słowach [„Tata nie żyje" – przyp. L.G.]. Z prędkością światła przeszyły jego dziecięcą duszę, wypełniły każdą komórkę wątłego jeszcze ciała, jednocześnie zmroziły i rozpaliły serce, umysł przygniotły myślami ciężkimi jak głaz" – tak zaczyna się opowieść o najlepszym polskim piłkarzu w historii, nie bez powodu opisem zapewne jednego z najtrudniejszych i najbardziej bolesnych życiowych doświadczeń „Lewego", bo cała książka Sebastiana Staszewskiego nie unika tematów trudnych.

„Ta epicka opowieść uświadamia nam, jak bardzo nie znamy historii człowieka, którego obsesją stało się zwyciężanie". Słowa dziennikarza Bogdana Rymanowskiego to najlepszy dowód na to, że Sebastianowi Staszewskiemu udało się to, co tylko pozornie wydaje się proste, zwłaszcza w przypadku postaci ikonicznych, które już za życia mają „budowane pomniki". Autor podjął się zadania karkołomnego – odsłonięcia prawdy o sportowcu, człowieku, którego wizerunek jest często niepełny, jednostronny, ugrzeczniony. Sebastian Staszewski konfrontuje czytelnika z obliczem Roberta Lewandowskiego – gladiatora, wielkiego mistrza, tytana pracy, perfekcjonisty, odsłania też te zakamarki osobowości „Lewego", które z pewnością on sam wolałby zostawić w ukryciu.

Tajemnice „Lewego"

Autor wraca do pytań, które najbardziej interesują kibiców, dziennikarzy, futbolowych ekspertów. Jedną z takich niewyjaśnionych tajemnic, wokół której do dziś krążą legendy, jest sprawa nieudanej przygody „Bobka" w Legii Warszawa. Są hipotezy, w myśl których wpływ miały na to kontuzje młodego Roberta, według innych powód był bardziej prozaiczny – kolejny napastnik w tamtym czasie nie byłby Legii potrzebny. Nowe światło na to, co się wtedy wydarzyło, rzuca młody trener Mazurek, który miał przygotować warszawską ekipę do tworzącej się Młodej Ekstraklasy i który przyznaje, że popełnił błąd, bo nie dał mu dłuższej szansy na

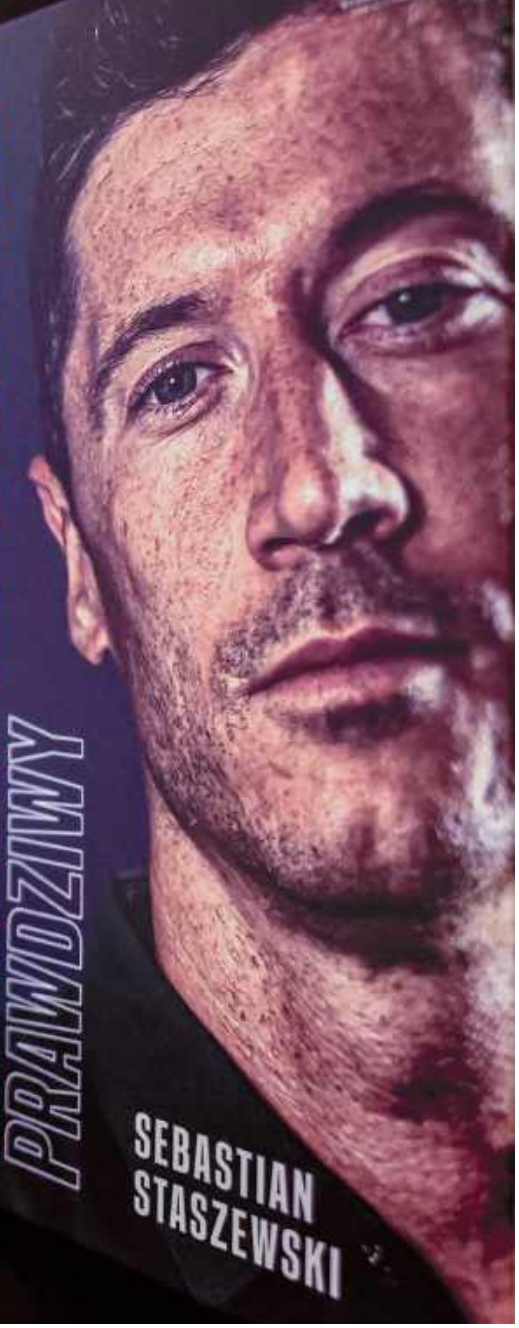

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI

pokazanie swoich umiejętności. „Lewy” po latach przyzna, że tamto doświadczenie było dla niego bardzo trudne, było „ciosem, po którym pojawił się strach”.

Staszewski odgrzewa też konflikt tercetu z Dortmundu, który w istocie był spięciem Lewandowskiego z Błaszczykowskim. W pewnym momencie niechęć doprowadziła do tego, że nawet nie podróżowali tym samym samolotem na zgrupowanie reprezentacji. Czarę goryczy w relacjach dortmundzkiego tria dopełniły słowa „Lewego”, które padły w jednym z wywiadów, w którym stwierdził, że przez pierwsze miesiące pobytu w Dortmundzie musiał liczyć tylko na siebie. Te słowa były dla Piszczka i Błaszczykowskiego niczym uderzenie „mokrą ścierką w twarz”. Inna sprawa, że do dziś trudno znaleźć potwierdzenie, czy w istocie takie słowa padły z ust kapitana reprezentacji Polski. W książce odsłaniającej prawdę o najlepszym polskim futboliście tych spraw trudnych, bolesnych, czasem nawet wstydliwych dla „Lewego”, jest więcej. Przeczytamy m.in. o konflikcie napastnika reprezentacji z menedżerem, o starciu, które przerodziło się w batalię sądową; do dziś niejasne są sprawa rzekomego kupna przez „Lewego” dyplomu studiów magisterskich na jednej z prywatnych uczelni czy afera premiowa, która w 2022 roku rozpaliła pół Polski.

Prawda o człowieku

W książce znajdziemy też echa przejścia opaski kapitańskiej z ramienia Błaszczykowskiego do Lewandowskiego. Przy tej okazji Staszewski odsłania przed nami kawałek prawdy o człowieku, który nie należy do towarzyskich, raczej jest zamknięty w sobie: „Lewandowski nigdy nie socjalizował się z drużyną. Inni piłkarze przed treningiem schodzili do lobby wypić kawę i porozmawiać, ale on pojawiał się na dwie minuty przed odjazdem autokaru, najczęściej z telefonem przy uchu”. „Lewy” nie był specjalnie lubiany przez resztę drużyny. Robert jest „człowiekiem introwertycznym, nieufnym, skoncentrowanym na sobie, niezbyt wylewnym, mającym kłopoty z empatią”. Nie jest on też typem człowieka, któremu można powierzyć swoje problemy, a on cię pocieszy i doradzi. „Lewy” nie miał też cech typowego przywódcy. Motywacyjne mowy nie były jego żywiołem. Koledzy z kadry zgodnie podkreślają, że mówcą był raczej kiepskim, miał też świadomość, że brakowało mu charyzmy, a „jego aura lidera nie dorastała do pięt piłkarskim umiejętnościom”.

Pep Guardiola, hiszpański piłkarz i trener, w jednym z wywiadów powiedział: „Wielkość Roberta Lewandowskiego zaczyna się od dyscypliny i obsesji. Trenerzy i koledzy z drużyny mówią to samo – jest skupiony, nieustępliwy i nieustannie szuka sposobów na rozwój. On nie tylko ciężko trenuje, ale i mądrze”. Wszyscy jesteśmy zakładnikami wizerunku Lewandowskiego jako gladiatora, człowieka zdyscyplinowanego, uparcie dążącego do celu, tymczasem ten wyidealizowany obraz mąci Staszewski, który oddaje głos tym, którzy dobrze znali „Lewego” z boiska. Michał Pazdan wprost twierdzi, że czasami wyglądało tak, jakby po postu mu się nie chciało. „Potruchtał, pomachał rękoma i szedł pod prysznic”. Nie ma powodów, aby nie wierzyć w słowa byłego kadrowicza, bo dziś coraz częściej można zobaczyć „Lewego”, który w czasie meczu truchta po boisku, nie wspominając o wymachiwaniu rękami.

Momenty chwały

W książce „Lewandowski. Prawdziwy” autor nie unika trudnych dla głównego bohatera tematów, ale nie jest ona tylko odgrzewaniem starych konfliktów, trudnych sytuacji i demaskowaniem ciemnych stron osobowości piłkarza Barcy. Czytelnik, spragniony powrotu do momentów chwały kapitana reprezentacji Polski, jego największych sukcesów czy przełomowych wydarzeń w jego karierze, też znajdzie coś dla siebie. Jednym z takich wyjątkowych chwil jest wbicie czterech bramek Realowi Madryt w półfinale Ligi Mistrzów w kwietniu 2013 roku. Żaden zawodnik przed nim ani po nim nie dokonał tej sztuki. Staszewski jest dla „Lewego” sprawiedliwy, bowiem nieraz pokazuje jego wielkość: „Dla Lewandowskiego Monachium stało się tym, czym Florencja dla Leonardo da Vinciego. Właśnie w Bawarii stworzył wszystkie swe największe dzieła: wygrał Ligę Mistrzów, zdobył osiem mistrzostw Niemiec, a także trzy Puchary i pięć Superpucharów Niemiec, Superpuchar Europy i klubowe mistrzostwo świata”.

W komentarzu do książki „Lewandowski. Prawdziwy” dziennikarz sportowy Tomasz Ćwiąkała napisał: „To nie jest obraz człowieka idealnego, bo oprócz wielkości ukazuje słabości i wady. Ale właśnie dzięki temu jest to obraz prawdziwy. Czasem aż do bólu”. Kto chciałby spojrzeć prosto w oczy prawdziwemu Robertowi Lewandowskiemu, a nie polukrowanej kreacji medialnej, ten musi sięgnąć po książkę Sebastiana Staszewskiego. **GP**

Iwona
Balcerak
TEKST I ZDJĘCIA

Słodsza siostra jabłka

Dla wielu osób persymona to owoc odkrycia – subtelny, słodki i niezwykle elastyczny kulinarnie. Warto poznać jej kulinarne oblicza – od prostych przekąsek po eleganckie, wyrafinowane dania. Bo kiedy już zagości w kuchni, szybko staje się jesienno-zimowym ulubieńcem.

KORZENNY DESER Z PERSYMONĄ I RICOTTĄ

- 3 persymony
- 2 łyżki masła klarowanego
- 3 łyżki gęstego miodu
- 1/3 gałki muszkatołowej, świeżo startej
- 1/2 łyżeczki cukru waniliowego
- 1 płaska łyżeczka goździków
- 1/2 łyżeczki ziela angielskiego
- 1/2 łyżeczki mielonego cynamonu
- 1/2 łyżeczki kardamonu
- 100 ml świeżo wyciskanego soku z pomarańczy lub likieru z gorzkich pomarańczy
- garść niesolonych pistacji
- 250 g ricotty

Obierz persymony ze skóry i pokrój je w cienkie plasterki, najlepiej używając mandoliny lub ostrego noża. Rozetrzyj w moździerzu mieszankę przypraw korzennych. Posiekaj pistacje. Rozgrzej na patelni około dwóch łyżeczek masła klarowanego z trzema łyżkami miodu, a gdy się roztopią, stopniowo dodawaj rozgniecione przyprawy, aż uznasz, że mieszanka jest wystarczająco aromatyczna. Wlej około 100 ml soku z pomarańczy i poczekaj, aż płyn częściowo odparuje, a sos lekko zgęstnieje. Dodaj plasterki persymony i delikatnie wymieszaj, aby dokładnie pokryły się korzennym sosem, zachowując ich kształt. Rozprowadź na talerzu kremową ricottę, ułóż na niej persymony w maślano-miodowym sosie, polej całość sosem z patelni i posyp posiekanymi pistacjami. Podawaj od razu. **GP**

CZAS	**30 MINUT**
KOSZT	**20 ZŁ**
STOPIEŃ TRUDNOŚCI	**ŁATWE**
PORCJI	**2**

CZY WIESZ, ŻE...

Persymona, nazywana także kaki lub sharon, ma naturalnie słodki profil smakowy, dzięki czemu świetnie zastępuje cukier w wielu przepisach. Jej purée można wykorzystać do muffinek, ciast ucieranych czy owsianki. Na bazie dojrzałych owoców powstają aksamitne puddingi. Można z niej zrobić również sorbet, konfiturę, a nawet galaretkę podawaną z jogurtem naturalnym. W bardziej eleganckim wydaniu persymona świetnie komponuje się z kremem mascarpone, bezą, orzechami laskowymi i gorzką czekoladą.

Jej łagodna słodycz świetnie równoważy ostre przyprawy, takie jak chili, imbir czy czosnek. Pokrojona w kostkę, może wzbogacić curry z dyni, dodać kontrastu sałatce z rukolą i kozim serem, a nawet posłużyć jako składnik marynaty do drobiu. W połączeniu z octem balsamicznym i oliwą tworzy wyrazisty dressing.

Persymona jest bogata w antyoksydanty, błonnik i witaminę A, dzięki czemu idealnie wpisuje się w zimową dietę.

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

Jan
Przemyłski
albicla.com/JanPrzemylski

EUROPA RUSZY NA PODBÓJ NAJGORĘTSZEGO ŚWIATA UKŁADU SŁONECZNEGO

POLSCY INŻYNIEROWIE ZAANGAŻOWANI W HISTORYCZNE PRZEDSIĘWZIĘCIE

Ekstremalnie wysokie temperatury i ciśnienie, toksyczne deszcze oraz gęsta jak ocean atmosfera – tak wygląda codzienność na Wenus, najbliższej sąsiadce Ziemi. Europejska Agencja Kosmiczna przygotowuje właśnie misję na nią, która ma dostarczyć najdokładniejszych w historii danych m.in. o strukturze wnętrza planety i jej aktywności geologicznej. Kluczową rolę w operacji odegrają polscy inżynierowie.

Jest sąsiadką Ziemi i jednocześnie najgorętszym światem w Układzie Słonecznym, na którego powierzchni przez całą dobę utrzymuje się temperatura powyżej 460 st. C, a z chmur pada toksyczny kwas siarkowy – mowa o Wenus. Jej średnica jest jedynie o około 600 km mniejsza od średnicy naszej planety, jednak ciśnienie na niej jest ekstremalnie wysokie i odpowiada warunkom panującym na głębokości 900 metrów. Tego typu środowisko sprawia, że żaden lądownik nie przetrwa tam dłużej niż kilka godzin. Stąd też Wenus, mimo iż jest najbliżej Ziemi – bo ta odległość waha się od około 40 mln km do około 259 mln km, w zależności od położenia na orbitach – cieszy się mniejszą popularnością wśród naukowców niż nasz drugi, trochę dalszy sąsiad, czyli Mars. Jednak mając ambicje stania się gatunkiem międzyplanetarnym, musimy poszerzać wiedzę na temat naszego otoczenia, także tego skrajnie nieprzyjaznego do życia, dlatego też Europejska Agencja Kosmiczna zdecydowała o przygotowaniu misji EnVision, która ma na celu najdokładniejsze w historii przebadanie Wenus. Naukowcy chcą się przede wszystkim dowiedzieć, dlaczego Ziemia i nasza sąsiadka mimo podobnego rozmiaru i składu poszły zupełnie odmiennymi drogami ewolucji. Start operacji zaplanowano na 2031 rok. Wówczas wystrzelony ma zostać specjalny orbiter, którego podróż do celu potrwa blisko 15 miesięcy. Następnie przez około 11 miesięcy wykonywane będą manewry aerobrakingowe, które pozwolą wejść na docelową orbitę naukową. Na niej sonda spędzi kolejne cztery lata, w czasie których przeprowadzi precyzyjne radarowe mapowanie powierzchni, przeanalizuje podpowierzchniowe warstwy, co pozwoli ekspertom określić ewentualną aktywność wulkaniczną, a także szczegółowo sprawdzi skład chemiczny atmosfery dzięki wysokorozdzielczym spektrometrom. W związku z opisanymi wyżej ekstremalnymi warunkami orbiter z instrumentami badawczymi będzie operował na wysokości od 150 do 250 km nad powierzchnią Wenus. Misja ta jest wyjątkowa z jeszcze jednego powodu – zaproszeni do niej zostali polscy inżynierowie z firmy Sener Polska, co sami ogłosili w specjalnym komunikacie. Z planów wynika, że nasi rodacy będą odpowiedzialni m.in. za zaprojektowanie i dostarczenie 16-metrowej anteny dipolowej radaru podpowierzchniowego, opracowanie i rozwój zasilania części instrumentów, przeprowadzanie testów wytrzymałości mechanizmów w ekstremalnych warunkach, a także za produkcję poszczególnych komponentów. **GP**

Wenus obraca się w przeciwnym kierunku niż większość planet, przez co Słońce wschodzi tam na zachodzie.

FOT. ALESHA - STOCK.ADOBE.COM

Listy

Do Berlina!

Na haniebne wypowiedzi ambasadora Niemiec Bergera musi być reakcja Polski. Niestety, ponieważ rząd mamy niemiecki i nie ma na kogo liczyć w tej kwestii, pozostaje prezydent. Trzeba powiedzieć temu człowiekowi, gdzie jest jego miejsce, na pewno nie w Polsce!

Barbara S.

Gdzie są, a gdzie nie ma komunistów?

W 1991 roku premierem został Jan Olszewski – pierwszy, który naprawdę chciał rozliczyć komunistów po PRL. Jego rząd planował lustrację (ujawnienie agentów SB), zatrzymanie wyprzedaży majątku narodowego i zbliżenie Polski do NATO. 4 czerwca 1992 roku – tzw. noc teczek. Minister Antoni Macierewicz przekazał listę polityków współpracujących z SB. Na liście znalazł się m.in. Lech Wałęsa (TW „Bolek"). To wywołało wściekłość. Tego samego dnia rozpoczęło się głosowanie nad odwołaniem rządu. (...) Ten moment jasno pokazał, że komuniści nie zniknęli – tylko zmienili szyldy. PZPR rozwiązała się w 1990 roku, ale natychmiast powstała nowa partia: SdRP, a potem SLD. Kadry PZPR – jak Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller, Józef Oleksy – dalej rządziły. Dawni aparatczycy i ludzie służb specjalnych weszli do biznesu, bankowości, mediów. A część dawnych działaczy Solidarności – jak Donald Tusk, Tadeusz Mazowiecki czy Bronisław Geremek – dogadała się z nimi, żeby układ pozostał nietknięty. Minęło ponad 30 lat. Tamci ludzie nadal mają wpływy, wielu z nich i ich środowisk żyje dziś na wysokich emeryturach, a ty zastanawiasz się, dlaczego masz tak wysokie podatki i średni poziom życia mimo ciężkiej pracy. Dlaczego jedni w Polsce dostają wszystko od razu, a inni muszą „flaki sobie wypruwać", żeby do czegoś dojść? Bo stary układ z PRL do dziś działa – tylko w nowym opakowaniu.

Lidia B.

CZARZASTY MARSZAŁKIEM

Teraz wyraźnie widać, jakie poglądy reprezentują KO, Polska 2050 i PSL. Komuchy w Polsce nadal mają się dobrze! Wychodzi gruba kreska Mazowieckiego. Wstyd i hańba tym, którzy głosowali za Czarzastym!

Stanisław N.

Adres redakcji:
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Tel. (+48 22) 290-29-58
redakcja@gazetapolska.pl

redaktor naczelny Tomasz Sakiewicz, zastępcy redaktora naczelnego Katarzyna Gójska i Piotr Lisiewicz, sekretarz redakcji Martyna Hajdo-Trolińska (kier.), Małgorzata Wiankowska

kraj Piotr Lisiewicz (kier.), Piotr Nisztor, Hubert Kowalski, Grzegorz Wierzchołowski, Grzegorz Broński, świat Maciej Kożuszek (kier.), kultura Sylwia Krasnodębska (kier.), gospodarka Maciej Pawlak (kier.) Marcin Wolski, historia Tomasz Łysiak (kier.), publicystyka Piotr Grochmalski, Joanna Lichocka, Grzegorz Wszołek, Konrad Wysocki (Obronność), Jacek Liziniewicz (Środowisko), Stefan Czerniecki (Podróże), Jan Przemyłski (Technika), Iwona Balcerak (Kulinaria), Ryszard Kapuściński (kluby), stali felietoniści Krzysztof Karnkowski, Tadeusz P. Płużański, Michał Rachoń, Józef Wieczorek, Dawid Wildstein

projekt layoutu i logotypu Mariusz Troliński

nadzór Mariusz Troliński, Krzysztof Lach-Kubica
DTP Paweł Chrzanowski, Aleksander Razcwarkow, Paweł Pawluszek, Grzegorz Lipka

sekretariat redaktora naczelnego Anna Kazimierczuk
Druk: P/mint, Wyszków

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za treść ogłoszeń. Nie zwraca niezamówionych materiałów.

Kontakt z czytelnikami, interwencje w godz. 9–13:
Anna Kazimierczuk, tel. 603 117 483;
tel. 505 942 224; e-mail: kontakt@gazetapolska.pl
WYDAWCA
Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
Kontakt z działem reklamy:
e-mail reklama@gazetapolska.pl,
tel. (+48) 603 117 134
Kontakt z działem promocji:
e-mail promocja@gazetapolska.pl,

GAZETA POLSKA
www.gazetapolska.pl

WESPRZYJ DZIENNIKARZY
mediów Strefy Wolnego Słowa
Fundacja Niezależne Media · Gazeta Polska · Gazeta Polska Codziennie · niezależna.pl · Nowe Państwo · R
Zachęcamy wszystkich do wpłaty na FUNDACJĘ NIEZALEŻNE MEDIA
ul. Filtrowa 63/43, 02-056 Warszawa
Nr konta: 62 1240 1053 1111 0010 5517 7864
TYTUŁEM – DAROWIZNA NA RZECZ FUNDACJI NIEZALEŻNE MEDIA
www.fundacjaniezaleznemedia.pl

FOT. WIKIPEDIA

GAZETA POLSKA

1. Która święta jest patronką kolejarzy – ich dzień obchodzimy 25 listopada?

2. W wigilię 25 listopada w dawnej Polsce obchodzono wieczór wróżb matrymonialnych dla kawalerów, czyli…

3. Święto wróżb dla samotnych mężczyzn zostało wyparte przez inny magiczny wieczór, początkowo wyłącznie dla panien, zwany andrzejkami, który przypada zawsze na…

4. W andrzejki w południowo-wschodniej Polsce rozpalano tak zwane ognie św. Andrzeja. Te szczególne ogniska miały chronić mieszkańców. Przed czym?

5. Kiedy my lejemy wosk i wróżymy z butów, inny naród obchodzi wtedy swoje święto narodowe – dzień patrona swojego kraju – Świętego Andrzeja. Tego dnia odbywają się tam jarmarki, koncerty, mężczyźni zakładają narodowe stroje w kratkę. Pije się whisky i je się haggis. Jaki to kraj?

6. W którym europejskim państwie w andrzejki układa się czosnek na parapetach i progach domów, aby ustrzegł przed złymi duchami, które tej nocy są szczególnie aktywne?

ODPOWIEDZI:
1. ŚWIĘTA KATARZYNA ALEKSANDRYJSKA, 2. ... KATARZYNKI, 3. NOC Z 29 NA 30 LISTOPADA, 4. PRZED DEMONAMI, 5. SZKOCJA, 6. W RUMUNII

PRENUMERATA
Ceny prenumeraty papierowej „Gazety Polskiej":
rok – 460 zł, pół roku – 244 zł;
kwartał – 129 zł; miesiąc – 45 zł.
Kontakt: prenumerata@swsmedia.pl
www.prenumerata.swsmedia.pl
Tel.: **605 900 002, 22 336 79 06**
Konto do wpłat: Niezależne Wydawnictwo Polskie Sp. z o.o.
konto: Bank PEKAO SA
Nr konta:
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelewy z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW IBAN: PL)

Zamówienia książek na:
sklep.gazetapolska.pl
lub tel.: (22) 232 37 70
Nr konta:
61 1240 6003 1111 0010 7516 5807

ZAPRASZAMY NA
www.prenumerata.swsmedia.pl

GAZETA POLSKA

OKONIEM

Katarzyna
Gójska
albicla.com/KatarzynaGojska

BEZ TUSKA

Przeanalizujmy spokojnie, co takiego wydarzyło się w Polsce w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Mieliśmy liczne podpalenia – obiektów przemysłowych, handlowych oraz mieszkalnych. Opinia publiczna dowiedziała się od władz, iż na pewno jedno z tych wydarzeń było działaniem terrorystycznym. O reszcie nie usłyszeliśmy nic pewnego. Doświadczyliśmy serii wlotów dronów (choć należy pamiętać, iż kilka miesięcy temu pojawiały się systematycznie jakieś balony lecące z Białorusi lub z obwodu królewieckiego) – na początku pojedynczych, potem w serii kilku maszyn, a w nocy z 10 na 11 września już kilkudziesięciu, w części uzbrojonych bezzałogowców. Kilka dni temu zostały zaatakowane nasze linie kolejowe i kilkaset lub kilka tysięcy Polaków znalazło się w sytuacji potencjalnego zagrożenia. Ile dokładnie? Nie wiemy – premier nawet się o tym nie zająknął, mamy sprzeczne informacje dotyczące liczby pociągów, które cudem pokonały uszkodzenia torów. Tych kilka ostatnich incydentów wpędziło instytucje państwa w rozedrganie. We wszystkich przypadkach wystąpiły chaos komunikacyjny i brak ostrzeżeń dla ludności. Za każdym razem służby działały w następstwie zdarzeń, a nie przed nimi. Akcja GRU wobec pociągów pokazała także brak ochrony granicy z krajem, który jest kolonią rosyjską i uczestniczy w aktach agresji realizowanych przez Moskwę. Służby specjalne, dedykowane właśnie wyłuskiwaniu zagrożeń i osób mających je spowodować, poległy w tym starciu. Rosja wręcz prowokacyjnie wybrała jednego z zamachowców – w internecie można bez trudu znaleźć jego wizerunek i historię współpracy ze służbami rosyjskimi. Mimo to nawet ktoś tak łatwy do zdemaskowania, nie niepokojony przez nikogo wjechał na teren Rzeczypospolitej, zrealizował wrogie działania – na szczęście nieskutecznie – i wyjechał bezpiecznie poza nasze terytorium. To co zatem w tej sprawie nam się udało? Działania jakiej instytucji lub służby zakończyły się pozytywnie? Jeśli cokolwiek ma się zmienić w polskim systemie bezpieczeństwa, to takie pytania muszą być zadawane rządzącym. I to nie jest podważanie zaufania do struktur państwa, lecz objaw rozsądku nakazującego drążyć temat, bo skutki odstąpienia od tego mogą się okazać opłakane. Rząd postanowił wzmocnić policję kilkoma tysiącami żołnierzy, być może nawet 10 tysiącami. To najlepiej pokazuje skalę braków w służbach cywilnych i ich niemoc. Ale jest inny problem – jak wyjęcie kolejnych tysięcy żołnierzy (a przecież już inne kilka tysięcy wspiera Straż Graniczną) wpłynie na ich macierzyste jednostki wojskowe? Czy to „pożyczenie" nie zdezorganizuje ich pracy, ich ćwiczeń czy szkoleń? O tym nic nie wiemy. Widzimy jednak, że relatywnie niewielkim kosztem Federacji Rosyjskiej udało się zachwiać systemem naszego bezpieczeństwa, wprowadzić chaos i dezorganizację. Premier ma rację, mówiąc, iż mamy krańcowo niewiele czasu na poprawę tego stanu rzeczy. Ale jego aktywność po ataku na infrastrukturę kolejową każe przypuszczać, że sam jest zainteresowany wyłącznie rozgrywaniem tej sytuacji do walki politycznej, i to jak najbardziej zajadłej i pogardliwej. Z jednej strony ogłasza potrzebę jedności, z drugiej wypuszcza swoich podwładnych do chamskich ataków na głowę państwa. Stosuje swoje stare metody rozkręcania wewnątrzpolskiej bijatyki, ale w zupełnie innych realiach. Stoimy bowiem przed bezpośrednim zagrożeniem naszej państwowości. Wygląda na to, że Rosja testuje możliwość agresji bez wprowadzenia wojsk. Jakby chciała przystąpić do destabilizowania sytuacji w naszej części Europy działaniami zbliżonymi do tych stosowanych wobec zachodniej Ukrainy. Niszczenie infrastruktury, ataki dronowe na osiedla i budynki użyteczności publicznej. Oczywiście plany to jedno, a możliwości ich zrealizowania – drugie. Nawet jeśli głowy ludobójców w Moskwie snują wizje agresji, to mamy realną siłę, by je powstrzymać. Jednak do tego potrzeba autentycznego współdziałania wszystkich środowisk politycznych i zacieśniania sojuszu ze Stanami Zjednoczonymi. To jest możliwe, ale bez Donalda Tuska. **GP**

REPUBLIKA

Pierwszy poranny wywiad Republiki z czołowymi postaciami polskiej sceny politycznej o bieżących wydarzenia z kraju i ze świata.

Zadaj pytanie do gościa na X
#PIERWSZAROZMOWADNIA

ANDRZEJ GAJCY

#PIERWSZA ROZMOWA DNIA

PONIEDZIAŁEK - PIĄTEK

6:50

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA